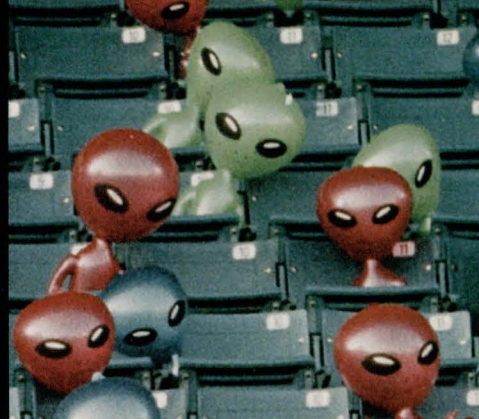


PRZE KRÓJ

NUMER 19/2916 • 13 MAJA 2001 r.
Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)

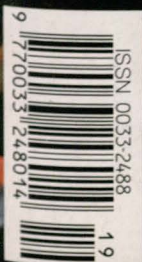


EXPO we Wrocławiu

Boska Marlena Dietrich
Kłopoty z UFO

Cattelan – człowiek,
który „ukamienował”
papieża

WIECZORY KAWALERSKIE



BATYCKI

LEATHER COLLECTION

■ BURSZTYNOWA KOLEKCJA TEL. 055 247.23.50 e-mail: batycki@post.pl ■ SKLEP FIRMOWY 'BATYCKI' UL. ZGODA 9 WARSZAWA ■
■ CENTRA HANDLOWE: GDYNIA - 'KLIF' ■ POZNAŃ - SWADZIM - 'AUCHAN' ■ WARSZAWA - 'PROMENADA' ■



10 WROCŁAW WYEKSPONOWANY. 6 czerwca upływa termin składania oficjalnego wniosku o przyznanie Wrocławowi światowej wystawy Expo 2010. Dla kraju organizatora impreza oznacza 15 lat dobrej koniunktury – **ZBIGNIEW MORAWSKI.**



40

BŁĘKITNY ANIOŁ.

Marlena Dietrich – mit po prostu. Pomogło jej szczęście i zbieg okoliczności. A może i jej własna zawodowa świadomość oraz determinacja? Czyli genialna umiejętność prowadzenia własnej kariery i wykorzystania na swoją korzyść – wszystkiego, co może się zdarzyć – **MARIA MALATYŃSKA.**

20

NAJLEPSZE DZIEŁA NOSIMY W GŁOWIE.

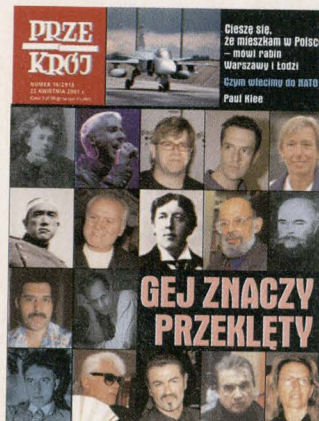
Maurizio Cattelan – artysta, który ukamienował papieża, ukradł koledze wystawę, zmusił do samobójstwa wiewiórkę i przykleił do ściany własnego marszanda – **WOJTEK KOCOŁOWSKI**



NUMER 19
13.05.2001

OKŁADKA:
FOT. STUDIO PRZEKRÓJ,
REUTERS/FORUM

Listy	4
Od redakcji i CZECHOT w „Przekroju”	5
Przekrój tygodnia	6
Zbigniew Morawski	
Czy Wrocław zorganizuje światową wystawę Expo 2010	10
Człowiek „Przekroju”	
– Aleksander Janicki	15
Eugeniusz Januła	
Kulisy incydentu ChRL-USA	16
Plebiscyt na najśmieszniejszą książkę świata	18
Wojtek Kocołowski	
Artysta, który ukamienował papieża	20
Świat – Wielki Brat patrzy na Londyn	26
Andrzej Ruchałowski	
Ofiara Szmula Zygielbojma	28
Barbara Pajchert	
Wieczory kawalerskie	30
Zdrowie – Dobre wiadomości dla cukrzyków	34
Tu i tam – Jak w Norwegii zarobić na obrazkach	36
Galeria – Boska Marlena	40
Formy – Człowiek, który kocha plastik	48
Hoff – Moda militarna	50
Adama Wiedemanna Dzienniczek lipski	51
Euzebiusz Vindeks	
Kosmici są wśród nas	52
Instrukcja obsługi telewizora	58
Film – „Hamlet”	60
Teatr – „Romeo i Julia” po litewsku	62
Muzyka – Cecilia Bartoli	66
Książki – Rzec o Stanisławie Barei	68
Klub Smakosza	
Bikont, Makłowicz i Pióro	70
Szatnia – Podsiadło	72
Kwestionariusz Prusa	
– odpowiada Jadwiga Staniszkis	74
Mieszanka firmowa	76
Bikont grzebie w starych „Przekrojach”	78
Krzyżówki	80
Co Pan na to, Panie LEM	82
Rozmaitości	84



Będąc świeżo po lekturze artykułów w numerze 2913, w których tak trafnie opisałeś sytuację polskiego środowiska homoseksualnego, nie mogłem się oprzeć potrzebie napisania tych krótkich podziękowań.

Publikacje te nie tylko wspierają nasze działania na rzecz propagowania postaw tolerancji wobec homoseksualizmu w naszym kraju, ale także umacniają nas w wierze, że to, co robimy, jest słuszne i potrzebne. (...) Polska prasa obfituje ostatnio w artykuły opisujące nasze środowisko. Niestety, większość z tych tekstów nie zalicza się do nam przychylnych. Z prawdziwą przyjemnością mogę powiedzieć, że Państwa publikacje nie zawierają niedomówień ani przekłamań, jakie znajdujemy w innych artykułach.

Docieranie do środowiska heteroseksualnego z informacją o osobach homoseksualnych jest jednym z najważniejszych obowiązków naszego stowarzyszenia. Wynika to z faktu, że brak tych informacji jest według

nas podstawową przyczyną braku tolerancji w naszym kraju. Tym bardziej cieszy nas fakt, że razem ze swoimi współpracownikami przyczyniliście się Państwo do wspomnienia naszej walki o równouprawnienie. (...)

Szymon Niemiec,
Cultural ambassador of Poland
in International Lesbian & Gay
Culture Network

DO RED. PIOTRA BIKONTA

Z wielkim zainteresowaniem czytuję „P” oraz „Gazetę Wyborczą”, a w nich Pańskie artykuły dotyczące restauracji w Krakowie. Także bardzo, bardzo interesujący był obszerny artykuł Pana red. Makłowicza zamieszczony w „Magazynie”. Chciałabym przede wszystkim pogratulować Panu nadania obywatelstwa m. Krakowa – tego pięknego metafizycznego miasta, które sama też często odwiedzam. Mam jednak do Panów żal, że preferujecie tylko najdroższe restauracje, praktycznie niedostępne dla zwykłych, przeciętnych ludzi (...) nie będących dziennikarzami.

Otóż są znakomite, moim zdaniem, jadłodajnie u pani Stasi, gdzie fenomenalne pierogi + zupa + kompot kosztują 7–10 zł, „U babci Maliny”, gdzie są bardzo smaczne, ogromne porcje, „U Polewkowej” i pewnie wiele innych, których opisanie i podanie adresów oczekuje wielu ludzi kochających Kraków i odwiedzających to cudowne miasto.

dr Bronisława Małecka,
Warszawa

RENEZANS CZOSNKU

Artykuł Tadeusza Pióro „Zrozumieć czosnek” („P” 2913) jest bardzo poży-

teczny. Czosnek jest bowiem od najdawniejszych czasów stosowany jako roślina lecznicza (choroby pasożytnicze, infekcje – zwłaszcza dróg oddechowych, a nawet w postaci maści w leczeniu ran). Współczesne badania wykazały, że ma on także właściwości normalizujące gospodarkę tłuszczową ustroju. Warto więc stosować czosnek w celach profilaktycznych i leczniczych w przypadku miażdżycy tętnic, która jest plagą ludzkości.

Bezsporne działanie bakteriobójcze czosnku może uzupełnić (zastąpić?) antybiotyki. Narody Bliskiego Wschodu – w tym także nasi Starsi Bracia w Wierze – stosują go tradycyjnie w medycynie ludowej.

Nie zrażajcie się przykrym dla niektórych zapachem czosnku. Ostatnio dostępne są jego bezwonne i równie skuteczne preparaty.

dr med. Jerzy Durkalec, Poznań

DUPA WCHODZI NA SALONY

To może nieładny tytuł, ale aktualny, a ja – stary Wasz czytelnik – usiłuję dostosować się do nowego stylu. No bo jak inaczej zacząć, skoro w poważnych tygodnikach ogląda się (czyta też, ale to można znieść) coraz częściej tę naszą sempiterną, która dawniej była wstydliwie czymś zakrytą.

I tak np. czytałem artykuł pt. „Naga prawda” o jakimś P.A., który – uważając się za przebojowego „artystę” – pokazuje swój nagi pryszczaty autoportret fotograficzny od stóp do głów w profilu i en face, i z ledwo widocznym penisikczkiem. Albo „artystki”, panie K. i D. pokazują swój wspaniały goły brzuch w ósmym

miesiącu ciąży. Chwalą się, że nadrabiają to, czego nie mógł zrobić P.A. swoją malizną. I to jest dobre, bo ratują nasz naród przed upadkiem demograficznym.

Nie będę wymieniał różnych pseudopokazywania sztuk wrzasku i cyków. (Pamiętam dawne hasło na igrzyskach studenckich „Lepszy cys janczy” – teraz to pokazują).

A poważnie – to jest powolny upadek kultury europejskiej, taki sam jak w starożytnym Rzymie 1600 lat temu.

Za pośrednictwem „P” chciałbym jeszcze wyjaśnić Polakom, dlaczego w Holandii mężczyźni zawierają ślub między sobą: to biedny kraj i tylko dwóch takich może wiązać koniec z końcem.

Ludwik Sieczko, Gliwice

PANIE PIEKARCZYKI!

Czytałem Pana artykuł o karze śmierci (nr 2908) i szlag mnie trafiał. Wydaje mi się, że solidny dziennikarz, jak píše artykuł, powinien przedstawić argumenty i rację wszystkich stron. (...)

Ponieważ osobiście jest Pan przeciwnik karze śmierci, więc napisałeś Pan tendencyjny artykuł, w którym przedstawiłeś Pan rację tylko jednej strony. (...) Nie wiem też, na jakiej podstawie wysnułeś Pan wnioski, że surowość kar i kara śmierci nie wpływają odstraszająco na przestępców. (...) Ale ja Pana rozumiem. Życzę, aby Pan po zgwałceniu i skatowaniu Pana córki lub wnuczki okazał wyrozumiałość dla przestępcy. Wynajął mu adwokata, wybronił i dał odszkodowanie na nową drogę życia. Bo tacy liberałowie jak Pan są gorsi od NKWD i gestapo. Ten sam fanatyzm i jeszcze większa obłuda.

Z wyrazami nienawiści i pogardy
Jerzy Kubasiewicz, Radom

PRZEPRASZAMY!...

...i oświadczamy, że nikt nie kwestionuje honoru pana MARIUSZA KUKLIŃSKIEGO, znanego dziennikarza. Autor wywiadu z generałem Sławomirem Petelickim („P” 2914) pytał oczywiście o płk. RYSZARDA Kuklińskiego, co zresztą jednoznacznie wynika z treści odpowiedzi generała.

Redakcja

SIŁY WYŻSZE

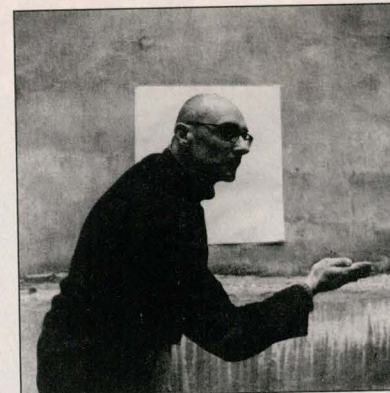
Przestałem wierzyć w horoskopy. W żadnym nie wyczytałem – a czytam je wszystkie: w pismach kobiecych, w tygodnikach telewizyjnych, w prasie fachowej typu „gwiazdy mówią”, w gazetach codziennych – że nie powinienem w danym tygodniu, w danym dniu czy godzinie... wsiadać do samochodu i odbywać długich podróży. Ja odbyłem.

Środek nocy, właśnie przestało padać. Odblask przednich świateł na asfalcie. Jestem zmęczony, liczę na to, że przed trzecią będę w domu. Za chwilę czteropasmówka przed Radomem. Nagle strach, że nie wyjdę z łuku, że jadę za szybko, a potem już tylko głuche uderzenie i małe kwadraki szkła, które jeszcze następnego dnia wytrzępywałem z kieszeni i butów. Nic mi się nie stało. Samochód do kasacji.

Następnego dnia zaczynał się „długi weekend”, a ja obiecywałem sobie wyjazd w góry. Postanowiłem pożyczyć samochód od znajomego. Marek wręczył mi kluczyk i pojechał. Wsiadłem, wysiadłem i napompowałem koło. Kluczyka już nie znalazłem, mimo dwugodzinnego przeszukiwania ośmiu metrów kwadratowych. Przyjechali fachowcy. Wymontowali zamek z drzwi i umówiłem się z nimi następnego dnia. Rano okazało się, że kluczyk świetnie otwiera drzwi i do niczego poza tym nie pasuje. Fachowcy wymontowali stacyjkę i zniknęli na dwie godziny. Kiedy znowu miałem kluczyk, który pasuje do drzwi i stacyjki, samochód przestał zapalać. Stwierdziłem, że nie ma benzyny. Wziąłem bankę pod pachę i udałem się do pobliskiej stacji. Wreszcie zadziałał silnik i wydawało się, że wszystko jest w porządku. Nie było. Przejechałem tylko 800 metrów. Zostawiłem auto na ulicy i taksówką wróciłem do domu. Najlepszym horoskopem jest uważne czytanie znaków rzeczywistości. Świat jest po to, by nas chronić i wysyła w swoim czytelnym języku różne informacje, znaki. Tym razem musiały zadziałać przedmioty i ustrzegły mnie przed wyjazdem w ten weekend.

Dzięki interwencji sił wyższych siedzę w domu i piszę słowo wstępne, w którym chciałem zaprosić Państwa do lektury tego wydania „Przekroju”. Serdecznie zapraszam.

MACIEJ PIOTR PRUS



FOT. IGOR OMULECKI

WYDAWNICTWO „PRZEKRÓJ” Sp. z o.o.

ADRES: 31-012 Kraków, ul. Reformacka 3
lub 30-960 Kraków I, skrytka pocztowa 533,
e-mail: prze_red@przekroj.pl;

TELEFONY – łączą centrala: (012) 422-18-33,
422-18-72, 422-59-54, 422-18-92, 421-91-37
fax (012) 421-49-29, 422-70-61

PREZES ZARZĄDU: Krzysztof Żarnotał
WICEPREZES I DYREKTOR: Leopold Stefański
REDAKTOR NACZELNY: Maciej Piotr Prus
Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO: Piotr Bikont
SEKRETARZ REDAKCJI: Marcin Baran
SEKRETARIAT ODPOWIEDZIALNY: Mirosław Chomko,
Józef Lubiński, Andrzej Ruchalski

DZIAŁY:

Kultura: Benjamin Lazar, Tomasz Przybytkiewicz,
Dobrosław Rodziewicz, Jacek Ziemek (p.o. kierownika)

Ludzie i obyczaje: Izabella Bodnar,
Wojciech Czuchnowski (kierownik), Jakub T. Janicki,
Barbara Pajchert, Roman Polesek, Justyna Tawicka

Nauka i zdrowie: Teresa Bętkowska,
Janusz Marjan (kierownik), Leszek Peters
Formy: Wojtek Kocotowski (p.o. kierownika),
Stefan Rokita, Agnieszka Wrzesień,
Bogna Wernichowska

Publicyści: Ludwik Jerzy Kern, Leszek Mazan,
Jerzy Piekarczyk, Kazimierz Targosz

Pracownia graficzno-komputerowa:
Piotr Gidlewski (kierownik graficzny), Maria Klich,
Jan Kozak, Joanna Sroka (kierownik makiety)

Dział fotograficzny: Joanna Dyczek, Marcin
Kędryna (fotodzytór), Bogdan Kręzel, Jan Zych

Korekta: Anna Rudnicka, Małgorzata Strakowska-
Szczurek, Barbara Wojtanowicz (kierownik)

Produkcja: Michał Kędryna, Andrzej Laurisz

WYDAWNICTWO: gł. księgowa – Halina Zięba,
kolportaż – Barbara Bagińska (kierownik)

DZIAŁ PROMOCJI: Marcin Fedisz (kierownik),
Anna Korwin, Wacław Kaczmarczyk („Złoty Grosz”)

DZIAŁ REKLAMY:

Biurowie w Warszawie – ul. Wolska 45 A,
tel./fax (022) 631-46-68, 631-35-62,
Halina Sułkowska (0607-39-03-36)

Biurowie w Krakowie – ul. Reformacka 3,
tel. (012) 422-70-61, Marzena Kiedacz

NASZE KONTO: Bank Pekao SA – I O/Kraków
nr 12401431-7010439-2700-401112-001
DRUK: Winkowski Sp. z o.o. ul. Okrzei 5,
64-920 Piła, tel. (0-67) 210-84-00

PRENUMERATA – krajowa: terenowe oddziały
Ruch SA, wszystkie urzędy pocztowe oraz redakcja;
zagraniczna: Ruch SA, Oddział Krajowej Dystrybucji
Prasy, 00-958 Warszawa, ul. Jana Kazimierza 31/33
Konto: Pekao SA IV O/Warszawa, nr 12401053-
40060347-2700-457872-001,
tel. +48(22) 5328-731,

fax +48(22)5328-732 oraz redakcja
(wpłata na podane wyżej konto bankowe)
Artykułów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów
w nadesłanych artykułach i listach.

Nakład: 80 000 egz.



NAJSTARSZY GDYŃSKI RYBAK

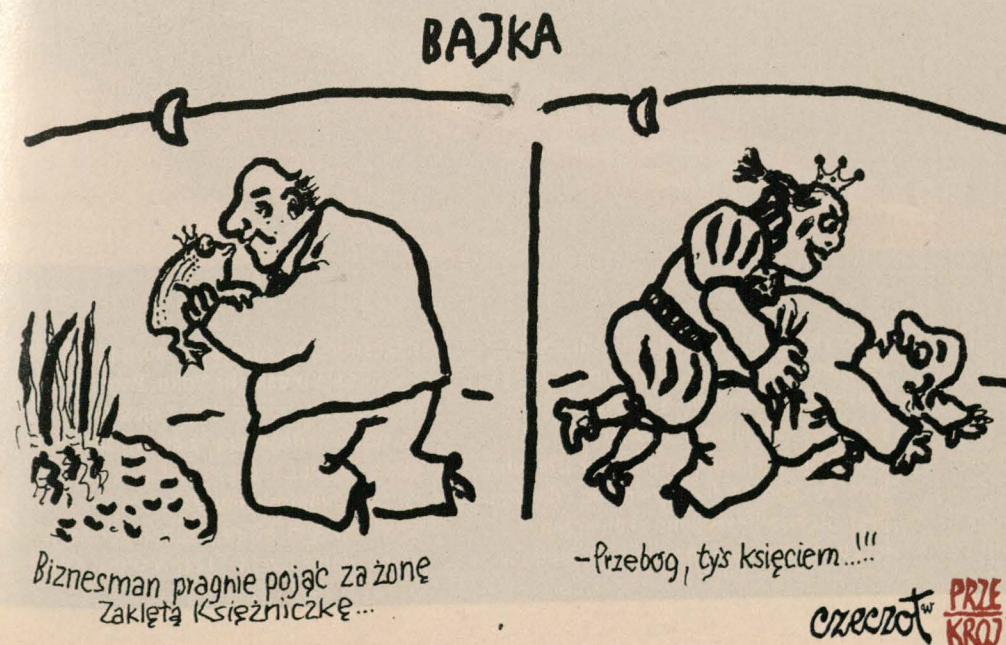
Gdynia obchodziła w lutym jubileusz 75-lecia nadania praw miejskich. Budowano ją m.in. po to, by odrodzona Polska mogła swobodnie rozwijać rybołówstwo morskie. Z tej okazji pozwalałam sobie zaprezentować historyczne zdjęcie. Wykonano je w 1932 lub 1933 r. na pokładzie jednego z pierwszych polskich kutrów zakupionych w Danii.

Na „Starnii” (nr boczny Gdy-90) Józef Kur (pierwszy z lewej), pionier polskiego rybołówstwa morskiego, był szyprem. Przed I wojną światową jako jedyny Kaszuba płynął na jachcie cesarz Wilhelm II dookoła świata. W latach 20. uczył Kaszubów pe-

nomorskiego rybołówstwa, organizując wyprawy na Bornholm i do Cieśnin Duńskich.

Po wojnie, gdy na Helu trwały jeszcze walki (kapitulacja – 10.05.1945 r.), on już w kwietniu i maju jako pierwszy rozpoczął nocne połowy w rejonie portu – posługując się łodzią żaglowo-wiosłową.

Nie znam mężczyzny z fajką – centralnej postaci. Do załogi kutra raczej nie należy. Młody rybak w bosmance (na fot. z prawej) to mój szwagier, Feliks Hohn; wtedy na kutrze był praktykantem. Michał Sikora, Gdynia





MOSKAŁ PRZYBYŁ

Uczestnicy Zjazdu Polonii skarżyli się, że w polskich mediach relacje ze zjazdu zdominowała sprawa wypowiedzi Edwarda Moskala o Nowaku-Jeziorańskim. O to samo miał pretensje prezes Wspólnoty Polskiej, Andrzej Stelmachowski. Uścisk dłoni, który wymienił z prezesem Kongresu Polonii

Amerykańskiej (z lewej), miał nie tylko charakter religijny „znaku pokoju”. Potem z żalem mówił o nieprzychylnym przyjęciu w mediach „niektórych uczestników zjazdu”, a przecież wiadomo było, że chodzi tylko o jednego. Zdaniem prof. Stelmachowskiego „konieczna jest wzajemna aprobata takich, jakimi

jesteśmy”, ale różnić się można pięknie, i różnić się można brzydko. Poglądy prezesa KPA budzić mogą niesmak, wszystko jednak zależy od wrażliwości podniebienia. Prezes Moskał opuścił Polskę uhonorowany Orderem Jasnogórskim, który posiadali do tej pory papież Jan Paweł II i Lech Wałęsa. Order



FOT. PAP/ACEK TURCZYK, PAP/AP (2), PAP/EP

przyznano mu za finansowe wspieranie sanktuarium. Komitet Obrony Dobrego Imienia Jedwabnego chce go uczynić honorowym obywatelem miasta. Jedynie Kapituła Orderu Uśmiechu uznała, że wręczenie przyznanego wcześniej odznaczenia nie pasuje do klimatu, jaki wytworzył wokół siebie laureat.

EPISKOPAT O JEDWABNEM

Konferencja Episkopatu postanowiła, że biskupi polscy „przepraszają Boga za zbrodnie dokonane na Żydach w Jedwabnem i innych miejscach”. prymas Polski, Józef Glemp, oczekuje, że strona żydowska też dokona rachunku sumienia.

MNIEJSI LEPSI

Prezydent Aleksander Kwaśniewski podpisał nową ordynację wyborczą. Poprzednia sprzyjała większym ugrupowaniom. Wraz z obecną żegnamy listy krajowe otwierające drzwi do parlamentu politykom, którzy przegrali w swoich okręgach.

PEWNIER NA PLATFORMIE

Unia Wolności opowiedziała się za wspólnym startem w wyborach z ugrupowaniem, które stworzy premier Jerzy Buzek. Deklaracja Bronisława Geremka nie wpłynęła jednak na decyzję Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego, które woli pozostać na Platformie Obywatelskiej, niż wracać na tony AWS.

ZŁODZIEJE CZY POLICJANCY

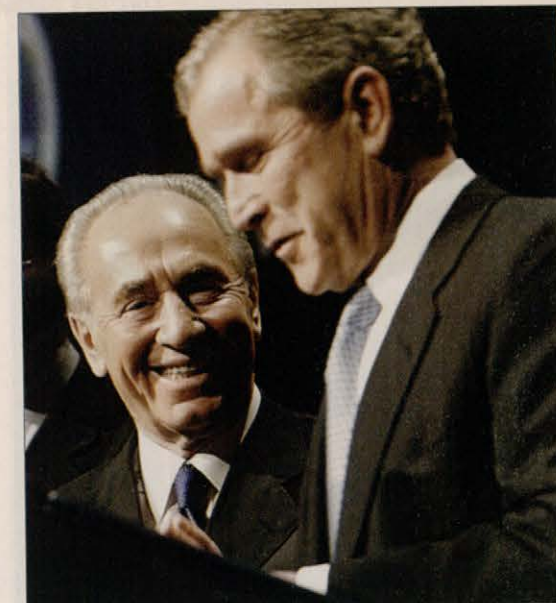
Prokuratura katowicka zlikwidowała przestępczą siatkę w warszawskiej policji. Śledztwo dotyczyło „sekcji samochodowej” gangu z Pruszkowa, z którym współpracowali wyżsi funkcjonariusze policji, od sześciu lat gwarantując bezkarność złodziejom samochodów.

WIARA I ŻYCIE

W Polsce nie zadziałały mechanizmy, które w krajach Europy Zachodniej doprowadziły do masowego odchodzenia od religii. Nadal ponad 90 proc. ankietowanych przez CBOS uważa się za katolików, choć do kościoła chodzi w niedzielę tylko 58 proc. Bazą religijności, której poziom zwiększa się wraz z wiekiem, jest polska prowincja.

Z OJCEM DO IZBY

W dyskusji, której przysłuchiwał się w Sejmie o. Tadeusz Rydzik, występujący w obronie Radia Maryja posłowie zaczęli swe przemówienia od słów: „Ojciec dyrektorze, Wysoka Izbo”. Wybory blisko i trzeba zadbać o elektorat.



Pierwsze „sto dni” George’a Busha (na zdjęciu rozmawia z szefem izraelskiej dyplomacji, Szimonem Peresem) wypadło lepiej, niż myśleli przeciwnicy, ale gorzej w stosunku do oczekiwań zwolenników. Zwolennicy wierzą w wielką prezydenturę, przeciwnicy przepowiadają wielkie rozczarowanie.



Rząd filipiński wprowadził w Manili tzw. stan rebelii, dający policji większe uprawnienia w tłumieniu demonstracji zwolenników byłego prezydenta Estrady, którego aresztowano za korupcję, nepotyzm i zagarnięcie prawie 80 mln dolarów.



Różne formy demonstracji pierwszomajowej. Uczestnik tej uważał, że – siedząc goły na znaku zakazu wjazdu – w wystarczający sposób daje odpór kapitalizmowi, który panoszy się w Londynie.





Przywódca centrowprawicowej opozycji, Silvio Berlusconi, przemawia na wiecu przedwyborczym w Neapolu. Wybory parlamentarne we Włoszech odbędą się 13 maja. Wtedy się okaże, czy Berlusconi zostanie premierem.



Członkowie opozycyjnego „gabinetu cieni” i premier rządzącej Partii Pracy, Tony Blair, w odmiennym stanie. Plakat podpisano: „Cztery lata porodu i wciąż nie ma rozwiązania”. Labour (praca) oznacza w angielskim również poród.

KAPITAŁ MEDIALNY

Kapitał zagraniczny w rosyjskich mediach nie będzie mógł przekroczyć 50 proc. Pierwszy projekt ograniczał udział obcych inwestorów do 30 proc., ale okazał się zbyt radykalny.

NIEMIERNY FIDEL

Dla szefa dyplomacji amerykańskiej Fidel Castro to „starzejąca się polityczna gwiazdeczka”. Colin Powell przyznał jednak, że w niektórych dziedzinach El Comandante zrobił „wiele dobrego dla swego narodu”. Był to pierwszy od 40 lat komplement pod adresem 74-letniego kubańskiego dyktatora ze strony administracji USA.

PODRÓŻE Z KASĄ

Peruwiańczycy dowiedzieli się wreszcie, skąd się wzięło u byłego prezydenta zamiłowanie do podróży zagranicznych (123 w ciągu 10 lat). Z ujawnionych dokumentów wynika, że Alberto Fujimori za każdym razem wywoził za granicę walutę i kosztowności.

SPOSÓB NA UNIĘ

Niemieccy socjaldemokraci widzą w przyszłości Komisję Europejską jako europejski rząd, a Radę Ministrów UE jako „izbę państwa” wzorowaną na Bundesradzie. Kanclerz Schroeder widzi Unię Europejską jako federację państw narodowych, ale Niemcy są dość osamotnieni w swych reformatorskich ambicjach.

SKOKI NA BOKI

Nowe prawo chińskie przekreśla uświęcony tradycją zwyczaj utrzymywania konkubin, który przyjął się wśród nowych elit, stając się oznaką wysokiego statusu społecznego.



MYŚL TYGODNIA

Na pewno będziemy d'Artagnanem dobrze władającym szpadą i muszkietem.

Jan Maria Rokita o roli SKL na Platformie Obywatelskiej



Pierwszy w świecie kosmiczny turysta, 60-letni Amerykanin, Dennis Tito, zrealizował marzenie swego życia. Rosyjski „Sojuz” zawiózł go na pokład międzynarodowej stacji kosmicznej za 20 mln dol.



Rok i cztery miesiące więzienia za znieważenie prezydenta i dwóch wicepremierów. Po wysłuchaniu wyroku lider Samoobrony, Andrzej Lepper, nie zmienił zdania.



W Sydney doszło do starć z policją, kiedy przeciwnicy globalizacji próbowali przerwać prace giełdy i centrów handlowo-finansowych, które uznają za symbol dominacji pieniądza.



Tysiące demonstrantów domagało się w Petersburgu wyższych płac i poprawy opieki społecznej. Wśród nich członkowie narodowo-bolszewickiej partii, których pamięć jest krótka.



Cielak Feniks dwukrotnie uniknął uboju wywołanego przyszczyką. Ostatecznie rząd brytyjski darował mu życie.



Papież Jan Paweł II rozpoczął pielgrzymkę śladami św. Pawła Apostoła. Plakat informuje o wizycie papieża w Syrii, ale Grecja jest pierwszym krajem na świecie, w którym przybycie głowy Kościoła katolickiego wzbudziło tak silne protesty. 90 proc. Greków jest wyznawcami prawosławia.

Wrocław wyEXPOnowany

ZBIGNIEW MORAWSKI



6 czerwca upływa termin składania oficjalnego wniosku o przyznanie Wrocławowi światowej wystawy Expo 2010. Dla kraju-organizatora impreza oznacza 15 lat dobrej koniunktury.

Wniosek do władz Biura Wystaw Międzynarodowych (BIE) w Paryżu powinien złożyć polski rząd. Sejm we wrześniu ub. roku podjął uchwałę popierającą kandydaturę Wrocławia.

Przed wojną trzykrotnie uczestniczyliśmy w wystawach światowych. W 1935 r. w Brukseli, w 1937 w Paryżu i w 1939 w Nowym Jorku. Po wojnie świat zachodni nie brał poważnie pod uwagę krajów Europy Środkowej i Wschodniej jako organizatorów wielkich imprez, w tym wystaw Expo. A i kraje te takich chęci nie przejawiały. Tak było do wystawy w Sewilli w 1992 r.

Wystawa pierwszego kontaktu

Wrocław był jedynym polskim miastem, które na wystawie w Sewilli miało swój dzień. Bogdan Zdrojewski, prezydent Wrocławia, pojechał do Hiszpanii, żeby doglądać ekspozycji. Wrócił z postanowieniem organizacji Expo u siebie.

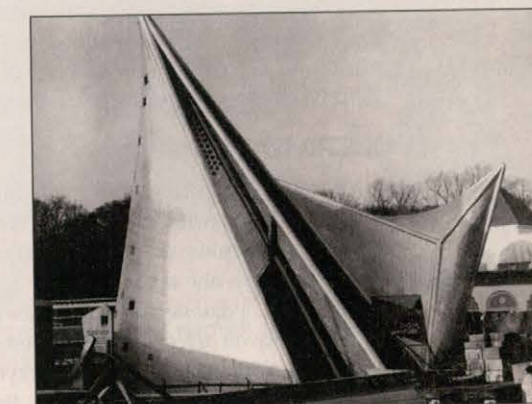
Pomysł był śmiały, by nie powiedziec szalony. Oponenty pukali się w głowy i przekonywali, że miasto ma poważniejsze problemy niż projekty, na które i tak brakuje pieniędzy. Entuzjaści powtarzali hasła o globalnym myśleniu i wychodzeniu z zaścianka.

Rozpoczęło się rozpoznawanie terenu. Najważniejszym argumentem dla światowych władz przyznających organizację Expo jest nie tyle zasobność kraju-organizatora, ile stosunek mieszkańców do imprezy. Tu Zdrojewski znalazł pierwszego sojusznika. W przeprowadzonych na zlecenie władz miasta badaniach 78 proc. obywateli opowiedziało się za zorganizowaniem Expo.

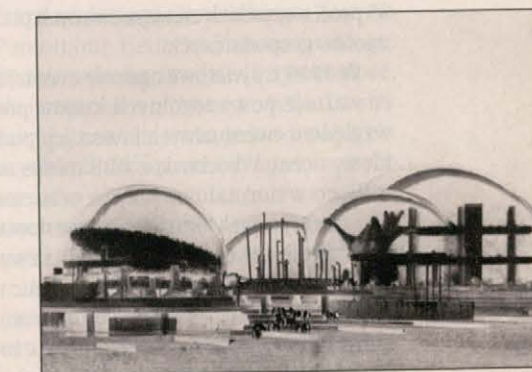
Jeszcze wciąż nasz kraj jest odbierany jako ten, który po latach zapaści dogania demokratyczny świat i robi to w dobrym tempie. Ale taka sytuacja nie będzie trwać wiecznie. Coraz rzadziej gościmy na pierwszych stronach największych gazet, coraz rzadziej zajmują się Polską naj-



Wejście do głównego pawilonu na targach Expo 1900 w Paryżu



Expo 1958 Bruksela, pawilon Philipsa



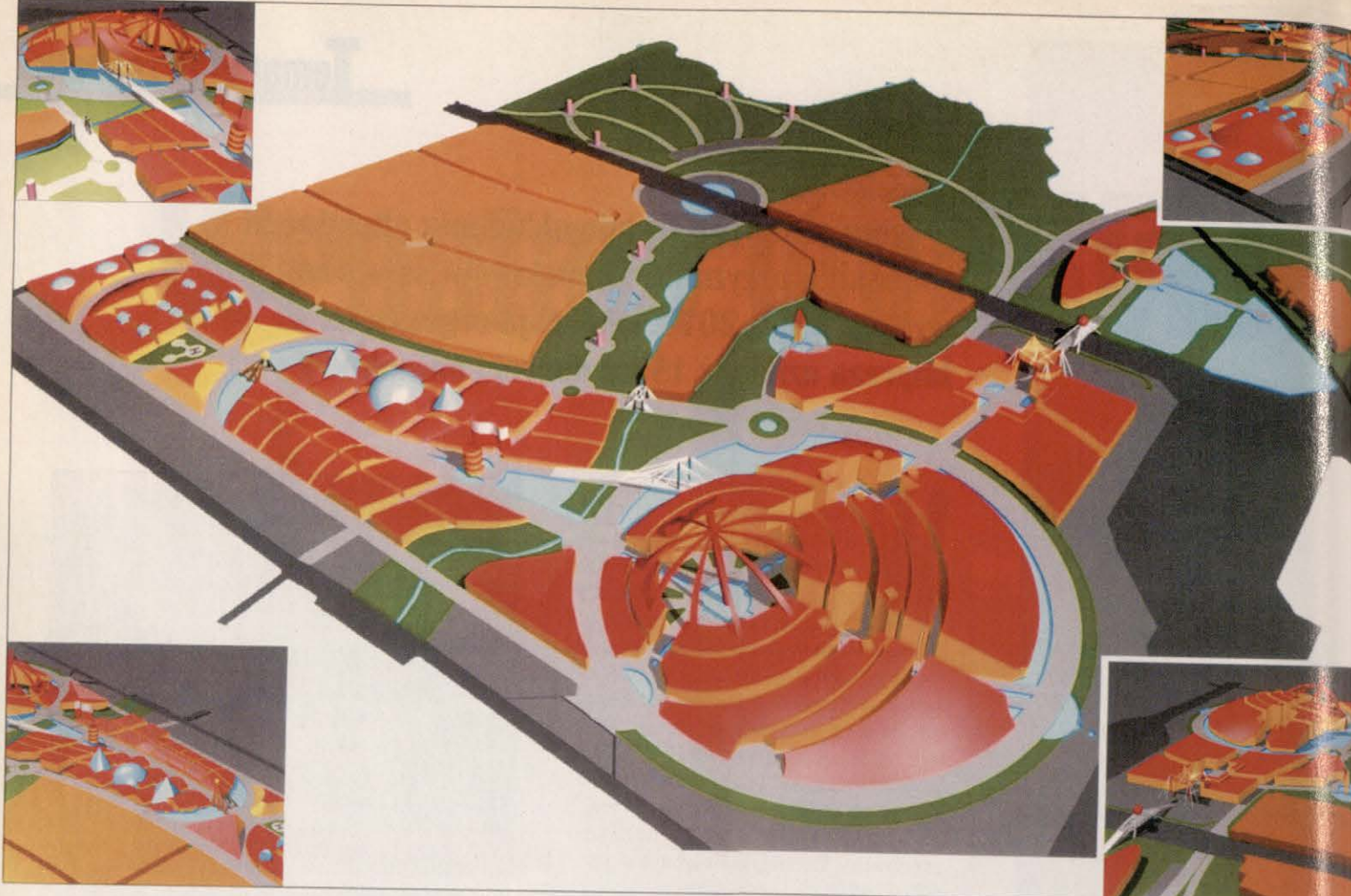
Pawilon francuski na wystawie Expo 1970 w Osace

FOT. M. CHMIELEWICZ/AG

FOT. EAST NEWS

FOT. EAST NEWS

FOT. EAST NEWS



Projekt terenów wystawowych Expo 2010 we Wrocławiu

większe stacje telewizyjne. Stajemy się normalnym partnerem. To dobrze, ale z drugiej strony zostało nam niewiele czasu na wykorzystanie swoich pięciu minut.

Miasto trzech kultur

Jan Nowak Jeziorański podczas jednej z wizyt we Wrocławiu powiedział, że miasto ma swoje *genius loci*. Tu nie tylko rodzą się pomysły, one są realizowane.

W ostatnich dziesięciu latach pojawili się we Wrocławiu przedstawiciele inwestorów z 46 krajów świata. Miasto otworzyło się na międzynarodowe inwestycje. Powstało ponad 2 tys. spółek z udziałem kapitału zagranicznego. Stanowią one prawie 35 proc. wszystkich zarejestrowanych podmiotów gospodarczych.

W 1999 r. światowe agencje oceniające wartość poszczególnych krajów pod względem ewentualnych inwestycji podniosły ocenę Wrocławia z BBB minus na BBB, co w normalnym języku oznacza, że z pozytywnych warunków inwestowania zmieniły się one na stabilne. Dla zwykłego śmiertelnika to niewielka różnica, dla finansisty, który ma zainwestować miliony dolarów – kolosalna. Znaczący to: inwestycje przyniosą zysk, a pieniądze będą tam bezpieczne.

Bardzo ważne jest położenie stolicy Dolnego Śląska. Tak samo stąd blisko do Warszawy, jak Pragi, Berlina czy Wiednia. W tym kręgu żyje dziś około 40 mln ludzi. Organizatorzy liczą, że korzystając z centralnego w stosunku do stolic trzech państw Europy Środkowej położenia Wrocławia, Expo powinno odwiedzić około 25 mln Polaków, Niemców i Czechów. W połączeniu z proveniencją Wrocławia jako miasta trzech kultur – polskiej, czeskiej i niemieckiej, położenie takie daje olbrzymie możliwości zainteresowania wystawą wszystkich trzech narodów.

Wręcz entuzjastycznie przyjęły pomysł organizacji wystawy światowej we Wrocławiu władze nadgranicznego Goerlitz. Uważają, że ich miasto stanie się naturalną bramą z Zachodu na Śląsk. Wykorzystując pomysł wrocławskiej imprezy, starają się, by Goerlitz w 2010 r. był europejską stolicą kultury.

Mieliśmy wielką powódź

Na początku 2000 r. Zdrojewski odwiedził paryską siedzibę Biura Wystaw Międzynarodowych (BIE). Jej prezydent, Gilles Noghes, miał dla polskiego gościa 15 minut. Po 10 minutach poinformował sekretarkę, że dziś dla nikogo już go nie będzie.

Wrocław okazał się propozycją trafioną w dziesiątkę. Od 1960 r. BIE przyjęła zasadę nieprzyznawania organizacji Expo stolicom państw ani miastom, które organizowały olimpiady. Powodów takiego postępowania jest kilka, z których najważniejszy to ucieczka od wielkiej polityki.

W czasie paryskiego spotkania Bogdana Zdrojewskiego z Gillesem Noghesem odbyła się nieco kuriozalna rozmowa.

– Przyznając organizację jakiegось miastu, chcemy mu pomóc, ale dobrze, jeżeli jest ważny powód ku temu. Nie mieliście tam jakiegось katastrofy?

– Mieliśmy wielką powódź.

– To świetnie!

Szybko okazało się, że o wiele więcej wysiłku wymaga przekonanie rodzimych oponentów niż światowych władz przyznających prawo organizacji Expo. Jak to często u nas bywa, odezwała się polityka. Bogdan Zdrojewski jest najdłuższym urzędującym prezydentem dużego miasta w Polsce, osobą popularną i to nie tylko we własnym mieście. Dość powiedzieć, że podczas ostatnich wyborów parlamentarnych, w których ubiegał się o mandat senatora, głosowało na niego około 250 tys. wrocławian. Poparcie ludzi wzbudza szacunek, ale i zawiść. Kie-

POCZĄTKI EXPO

Nie wiadomo, kto wpadł na pomysł pierwszej Wielkiej Wystawy Przemysłu Wszystkich Narodów w 1851 r. w Londynie, ale z całą pewnością był to Anglik. Idea polegała na pokazaniu światu potęgi przemysłowej imperium brytyjskiego. W następnych latach organizację wystaw na długo przejął Paryż. Tu wypracowano zasady, którymi organizatorzy kierują się do dziś: podział terenów wystawowych na zespoły pawilonów, pawilony narodowe w stylu charakterystycznym dla danego kraju. Ostatecznie skodyfikowano zasady organizacji wystaw światowych w 1972 r. w Paryżu. Jednym z sygnatariuszy tego porozumienia była Polska.

dy ogłosił pomysł organizacji wystawy, wśród wielu polityków zrodziło się przekonanie, że w razie sukcesu Zdrojewski wyrośnie zbyt wysoko.

Nie poprawiła sytuacji jednoznaczna deklaracja przystąpienia prezydenta Wrocławia do Platformy Obywatelskiej Piłsudskiego, Olechowskiego i Tuska.

6 czerwca 2001 r. upływa termin składania oficjalnego wniosku. Do tego czasu Kancelaria Premiera powinna wystosować do władz BIE oświadczenie, w którym stwierdzi: „W imieniu Rządu Rzeczypospolitej Polskiej potwierdzamy chęć starania się o organizację wystawy światowej Expo 2010 we Wrocławiu”.

Oblicza się, że przyznanie organizacji światowej wystawy Expo to dla kraju-organizatora 15 lat dobrej koniunktury.

Zróbmy ten interes

Podczas starań Wrocławia o przyznanie organizacji wystawy stała się rzecz bez precedensu. Miasta, które w przeszłości gościły Expo u siebie, obiecały poparcie. Sewilla, Lizbona, Hanower, a nawet Saragossa, która będzie najprawdopodobniej organizatorem Expo 2008.

Władze Hanoweru przekazały wszystkie materiały przygotowywane

przez siebie dla BIE, wszystkie pytania i odpowiedzi, jakie pojawiały się, kiedy Hanower starał się o organizację. Takiego gestu nie sposób przecenić. Z drugiej strony naiwnością byłoby sądzić, że stało się tak bez przyczyny. Wszyscy widzą w inicjatywie Wrocławia świetny interes. Wystawa to olbrzymie inwestycje. Oblicza się, że w kraju, w którym ma być Expo, poziom inwestycji może osiągnąć nawet 30 mld dolarów. To jest znakomity interes dla wszystkich. Wiadomo, że kraj-organizator nie zrobi wszystkiego sam, jest więc miejsce dla wielu firm. We Wrocławiu będzie można świetnie zarobić.

Za przykład niech posłuży jedna tylko duża firma niemiecka, która podczas wystawy w Hanowerze wydała około 105 mln marek, a zarobiła 110 mln. Mechanizm był prosty: za 30 mln kupiono tytuł Światowego Partnera Wystawy (takich partnerów było 20), pawilon wybudowano za kolejne 30 mln, 10 mln firma wydała na wsparcie udziału w wystawie jednego z państw afrykańskich, 14 mln zapłacono za 200 tys. biletów, za utrzymanie biura przez pięć lat zapłacono 21 mln. Takie były koszty.

Podczas imprezy przyszedł czas na dyskontowanie wydatków. Do Hanoweru przyjechali przedstawiciele większości państw świata, żeby zawierać umowy gospodarcze. Korzystając z tych kontaktów, wspomniana firma zawarła umowy na ponad miliard marek. Po opłaceniu podatków w kasie zostało 110 mln marek zysku. Pozostaje jeszcze ponad 160 mln marek wpływów z zawartych kontraktów, które w postaci podatku VAT wpłynęły do kasy państwa. Świetny scenariusz, który może powtórzyć się we Wrocławiu.

Wrocław musi mieć obwodnicę, konieczne jest wybudowanie autostrady A-4 w kierunku granicy zachodniej, unowocześnienie komunikacji miejskiej itd. Wcześniej czy później wszystko to powstanie, z wystawą czy bez niej. Przewidują to długoletnie plany inwestycyjne rozwoju miasta. Expo może te prace przyspieszyć. Wiele przedsięwzięć ma być finansowane w całości bądź w części przez państwo.

Wrocław jest zresztą w o wiele lepszej sytuacji niż np. Hanower. Ogromne koszty Niemcy ponosili, poprawiając to, co już mieli dobrego. Rozwiązania komunikacyjne, dworce, które wystarczały mieszkańcom, nie wystarczały na przyjęcie milionów turystów i uczestników wystawy. Burzono więc dobre, żeby

zbudować lepsze. Paradoks naszej sytuacji polega na tym, że my nie mamy nowoczesnych rozwiązań. Nam wystarczy „tylko” wybudować.

Olbrzymim kłopotem dla każdego miasta, które chce dla siebie wielkiej, światowej imprezy, są tereny. Zwykle jedyne wyjście to miejsca na obrzeżach metropolii. Inaczej powinno być we Wrocławiu. Wrocławska impreza nie może, według zapewnień organizatorów, stracić kontaktu z centrum miasta. Wybrano teren w zachodniej części miasta, około 200 hektarów połączonych z autostradą A-4, oddalonych od centrum o niespełna 8 km. Powstałe tu obiekty po zakończeniu wystawy mają posłużyć jako akademiki, budynki mieszkalne, miejsca biznesowe i centra konferencyjne.

Kultura, medycyna, media

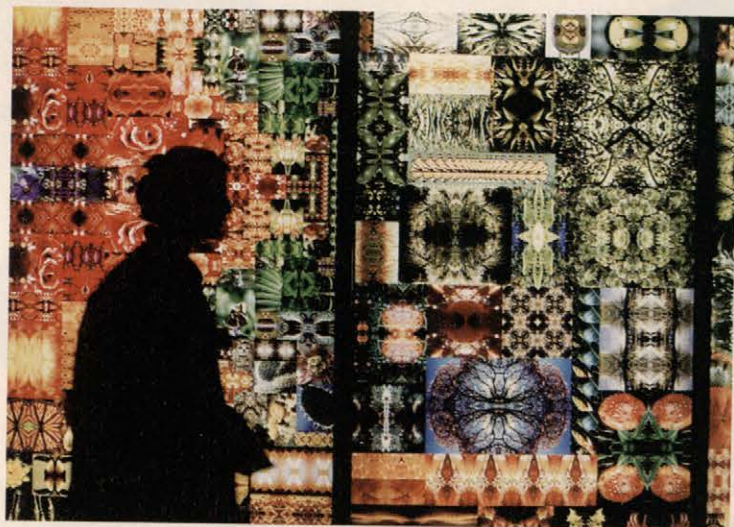
Są dwa rodzaje wystaw światowych. Wystawy rejestrowane, podczas których uczestnicy budują pawilony na własny koszt oraz wystawy uznane, czyli tematyczne. Wrocławska ma należeć do pierwszej kategorii. Odbywać się będzie pod hasłem „Kultura – Medycyna – Media”.



Powódź okazała się ważnym argumentem w staraniach Wrocławia o Expo 2010

Kultura – ponieważ Wrocław jest silnym ośrodkiem kultury z Teatrem Laboratorium Jerzego Grotowskiego, Teatrem Pantomimy Henryka Tomaszewskiego. To wszystko wprowadzie już przeszłość, ale i mająca kontynuację tradycja. Dzisiejsza kultura miasta to jeden z największych w Europie festiwali sztuki nowych mediów WRO, to wciąż jeden z najlepszych teatrów w kraju – Teatr Polski, dziesiątki niezależnych grup teatralnych.

Jest także Wrocław silnym ośrodkiem naukowym z tradycjami. Z Uniwersyte-tem Wrocławskim związanych jest osiem nazwisk niemieckich noblistów. Jako profesorowie czy studenci działali we



Obrazki z wystawy Expo 2000 w Hanowerze

Wrocławiu: Theodor Mommsen – fizyk nagrodzony Nagrodą Nobla w 1902 roku, Philipp Lenard, również fizyk – nagroda w 1905, Eduard Buchner – chemik (1907), Paul Ehrlich – medycyna (1908), Fritz Haber – chemia (1918), Friedrich Bergius – chemia (1931), Otto Stern – fizyka (1943) i Max Born – fizyka (1954).

Poza tym hasło to ma zachęcić uczestników do ciągłego prezentowania dorobku kulturalnego. Spektakli teatralnych, filmów, wystaw, koncertów na największej scenie, która na sześć miesięcy stanie w mieście. Planuje się także stałą prezentację kuchni wszystkich narodów biorących udział w wystawie. Sześć miesięcy prawdziwej etnicznej uczty w środku Europy.

Medycyna to dziedzina, której postępu oczekujemy wszyscy. Dzięki najnowszym technologiom za 10 lat możemy spodziewać się rozwiązania problemów, które dziś są dla świata olbrzymim zagrożeniem. Expo może stać się największą areną prezentacji dokonanych w dziedzinie profilaktyki, ekologii, stylu życia obowiązującego w XXI w.

I wreszcie media. Nikogo nie trzeba przekonywać, jakie jest ich znaczenie. Internet, telefonnia komórkowa, telewizja. Do niedawna media wyłącznie towarzyszyły wystawom, organizatorzy wrocławskiego Expo zamierzają wykorzystać je jako jednego z bohaterów wystawy, ale też do pokazania światu miejsca, w którym wystawa się odbywa.

Każdą podróż zaczyna pierwszy krok

Kroków do Expo 2010 Wrocław zrobił kilka, ale droga wciąż jest długa. Teraz ruch należy do rządu polskiego, który powinien wyznaczyć oficjalnego pełnomocnika ds. organizacji wystawy Expo 2010.

Do tego jednak trzeba się dobrze przygotować. Ustanowienie urzędu pełnomocnika uruchamia oficjalnie procedurę starań o przyznanie organizacji, co wiąże się z kosztami. Już dziś zrobiono jednak bardzo wiele. Wrocławski projekt znalazł poparcie polskich metropolii, parlamentu, lokalnej społeczności.

Z dużym entuzjazmem do kandydatury Wrocławia odniosły się też największe miasta europejskie zrzeszone w organizacji METREX. Jak zapewnia prezydent Zdrojewski, wielkim orędownikiem naszej kandydatury jest również Gilles Noghes. Teraz przyszedł czas, żeby świat poznał Polskę nie z wielkich zrywów i spektakularnych upadków, ale z rzetelnej, przemysłowej pracy.

A że może tak być, niech świadczy niedawna decyzja władz Wrocławia, które wszystkim miejskim urzędnikom dały czas do 2005 r. na naukę języka angielskiego. Miasto postanowiło przeznaczyć pieniądze z funduszu socjalnego właśnie na ten cel. Zamiast wyjazdów na grzyby czy „narad w terenie” pracownicy magistratu będą się uczyć języka. Kto nie zdąży, będzie musiał odejść.

Za pięć lat organizatorem Expo będzie japońskie Aichi. Za dziesięć lat wystawa najprawdopodobniej wróci do Europy. Dlaczego by nie do Wrocławia?

Sztukmistrz przestrzeni publicznej

ALEKSANDER JANICKI, zwany przez przyjaciół Jamnikiem, uprawia sztukę multimedialną: interaktywne spektakle, instalacje, grafikę i scenografię. Ma 38 lat i jest absolwentem wydziału konserwacji krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Po byt na uczelni wspomina dobrze: „były to porządne studia z kawałem konkretnej wiedzy do opanowania”. Jest twórcą Stowarzyszenia Outart, zajmującego się wideo-artem. Niedawno Andrzej Wajda zaprosił go do stałej współpracy z Centrum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha w Krakowie.

Widz akceptuje jego sztukę lub odrzuca – naprawdę mało kto pozostaje obojętny. Alek ceni nawet niemiłą reakcję widzów, bo ta przynajmniej świadczy o zaangażowaniu. Własną twórczość nazywa Sztuką w Przestrzeni Publicznej. Planuje w Nowej Hucie wielki festiwal multimedialny, gdyż owa „pozostawiona sobie dzielnica bez ideologii potrzebuje ożywienia”. Chce, aby tam odbywał się Festiwal Sztuki w Przestrzeni Publicznej, gdzie artyści z całego świata aranżowałiby wybrane miejsca i pokazywali swe wideo-instalacje. Cała impreza ma trwać pięć lat.

Gra

Wideo-art jest pozornie najbardziej hermetyczną i wyrefinowaną dyscypliną sztuki nowoczesnej. Niejednokrotnie jednak okazuje się zabawny i ciekawy nawet dla niewtajemniczonych.

W 1997 roku w ramach niezależnej akcji artysty powstał projekt „Visitor”, wędrujący do dzisiaj po różnych miastach świata. To cztery białe manekiny, uruchamiane przez fotokomórkę, gdy zbliżą się do nich przechodnie. Figury naturalnej wielkości przypominają samego Alka. Rzeźba trafiła już do



W jego najnowszej pracy podglądamy na telebimie przechodniów przeglądających się w krzywych lustrach.

Münster, Kassel i Wenecji, gdzie na placu św. Marka była komentarzem do nikłej obecności polskich artystów na najważniejszym przeglądzie sztuki nowoczesnej.

W 1999 roku Centrum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha, galerie Zderzak i Starmach zaprezentowały zbiór jego prac pt. „Transmisje”. W dolnych pomieszczeniach Centrum Sztuki zainstalowano ekrany telewizji przemysłowej. Kamery były umieszczone w kilkunastu miejscach galerii i Centrum, przekazując obraz do monitorów. Uczestnik mógł sam wybrać dowolną kamerę i obserwować fragment rzeczywistości. W to bezstronne działanie artysta wmontował serię wcześniej zainscenizowanych żartów: okradał płaszcze gości w szatni, symulował zawał serca i odwiezienie do szpitala, demolował jedną z wideoinstalacji. Spragnieni sensacji i zdeorientowani widzowie emocjonowali się, a ludzie znajdujący się w miejscu

domniemanego zdarzenia o niczym nie wiedzieli. Tak oto rodziła się Sztuka w Przestrzeni Publicznej.

Przystanek 2001

Ostatni projekt to artystyczna dyskusja z „Big Brotherem”. Na witrynach teatru Bagatela w Krakowie umieszczone zostały lustra zniekształcające obraz jak w gabinecie krzywych zwierciadeł. Przypadkowi widzowie, oczekujący na tramwaj, przyglądają się sobie. W tym samym czasie są obserwowani przez kamery ukryte za lustrami i nad ich głowami. Obrazy z kamer pokazywane są losowo na ogromnym telebimie nad fasadą teatru. Projekt był transmitowany na bieżąco we Wrocławiu podczas festiwalu WRO 2001 i w Internecie. „Przystanek 2001” będzie trwał do połowy maja. Mogą go państwo znaleźć sami: na żywo, na rogu ul. Karmelickiej i Krupniczej w Krakowie lub wciskając na klawiaturze komputera: www.przystanek.onet.pl

ANNA JANICKA, WOJTEK KOŁOŁOWSKI

EUGENIUSZ JANUŁA

Chiny opanowały budowę „cichych”, czyli niewykrywalnych okrętów podwodnych. Amerykański samolot EP-3 miał rozszyfrować tajemnicę, a lotnictwo chińskie – udaremnić jego misję.

Konflikt między Pekinem a Waszyngtonem, spowodowany incydem z samolotem amerykańskim EP-3, dobiega końca. 24-osobową załogę tego elektronicznego szpiega z honorami powitano w USA, a Waszyngton wyraził ubolewanie z powodu zaistniałego zdarzenia.

Nie ma jednak żadnych gwarancji, że w nieodległym czasie może dojść do podobnych zdarzeń. Samoloty klasy EP-3, chociaż jako płatowce są mocno starawe (ok. 30-letnie), dosłownie nafaszerowane są nowoczesną elektroniką. Służą przede wszystkim do śledzenia okrętów podwodnych.

Niepowtarzalne szumy

Okręt podwodny, poruszając się nawet na głębokościach 300-450 m, wytwarza charakterystyczne szumy pochodzące od śruby. Szmer wytwarza również turbina napędzana pośrednio przez podgrzewający w zamkniętym obiegu parę reaktor atomowy. Amerykańskie instalacje sonarowe wyposażone w niezmiernie czułe sensory nie miały, jak dotychczas, większych problemów

z wykrywaniem, śledzeniem i identyfikacją rosyjskich i chińskich łodzi podwodnych. Każdy pojedynczy okręt, mimo że należący do określonego typu, wytwarza niepowtarzalne dla innych jednostek szumy kawitacyjne. Dzięki nim nie ma problemów, żeby komputer bezbłędnie wskazał, iż jest to ta konkretna jednostka, a nie bliźniaczy okręt tej samej klasy. Nawet wtedy,

gdy łódź znajduje się na dużej głębokości.

Ta podwodna „zabawa” trwa już kilka dziesiątków lat. Amerykanie, oprócz instalacji sonarowych zamontowanych na własnych łodziach podwodnych, samolotach obserwacyjnych i okrętach nawodnych, założyli na Atlantyku dwie linie podwodnych czujników sprzężonych, za pośrednictwem satelitów, z super-

komputerami typu CRAY-2 funkcjonującymi w Dowództwie Systemów Morskich pod Waszyngtonem. Dzięki temu posiadali bardzo dokładne informacje o wszelkich ruchach kiedyś radzieckich, obecnie rosyjskich okrętów podwodnych. Na Pacyfiku podobnego systemu nie instalowano ze względu na koszty. Zadowolono się tylko pojedynczymi czujnikami rozmieszczonymi w rejonie

Hawajów, Guam i na podejściach do Zachodniego Wybrzeża Ameryki Północnej.

Rosyjskie, a szczególnie chińskie okręty przez wiele lat były doskonale słyszalne. Rosjanie, chociaż stosunkowo szybko opanowali technologię budowy atomowych okrętów podwodnych, a potem także sposobu wystrzelania spod wody pocisków balistycznych, nie potrafili zbudować „cichych” jednostek.

Łodzie chińskie zamilkły...

Półtora roku temu Chińczykom udało się przełamać bariery technologiczne. I w efekcie zmodernizowali na razie dwa atomowe okręty podwodne, wyposażone w pociski balistyczne. Są one praktycznie tak ciche jak amerykańskie klasy „Los Angeles” czy brytyjskie „Trafalgary”.

Poza tym jednym elementem te okręty nie są nowoczesne. Stanowią tylko pewnego rodzaju przeróbkę radziecko-rosyjskiego typu „Delta” wywodzącego się jeszcze z przełomu lat 60. i 70. Pociski balistyczne zainstalowane na tych okrętach to też nie najnowsze konstrukcje – przestarzałe, a przede wszystkim mocno niecelne. Ale mają zasięg ok. 1600 km i moc 350 KT (kiloton).

12 takich pocisków zainstalowanych na każdym z dwóch okrętów budzi spore obawy wojskowych i polityków amerykańskich. Bo ciche – czytaj: słabo wykrywalne, na razie – dwa chińskie okręty podwodne stwarzają spore potencjalne zagrożenie dla Zachodniego Wybrzeża USA.

Chińczycy dali już próbkę możliwości tych okrętów. Na przełomie stycznia i lutego br. jeden z nich opłynął Tajwan w odległości ok. 30 mil od jego wybrzeży. Chińczycy z Tajwanu, a przede wszystkim Amerykanie,

dowiedzieli się o tym z... chińskich mediów. A przecież 2-3 amerykańskie okręty podwodne pełnią tam stałą służbę patrolową. A na dodatek rejon ten jest kontrolowany przez amerykańskie samoloty, w tym również EP-3 i jednostki nawodne.

Amerykanie z ponurą miną przyjęli do wiadomości fakt uzyskania przez ChRL technologii budowy „cichych” łodzi podwodnych. A wiedzą już, że modernizuje się dwa kolejne okręty i buduje jeden znacznie nowocześniejszy.

Dowództwo Floty Pacyfiku otrzymało od Szefa Operacji Morskich kategorię dyrektywę: namierzenia szumów chińskich okrętów i naniesienie ich charakterystyki na zapis komputerowy.

Zakłócić rozkazy

Samoloty wywiadowcze floty Pacyfiku zaciekle penetrują przestrzeń nad Morzem Południowochińskim. I jakieś rezultaty z nasłuchu sonarowego US Navy już uzyskała.

Lotnictwo chińskie otrzymało również surowe rozkazy: przeszkodzić amerykańskim EP-3 w nasłuchu. Polega to na tym, że dwa chińskie myśliwce F-8 „Szenjang” zajmują pozycje po obu stronach amerykańskiego samolotu i szumem swych silników zakłócają prowadzenie nasłuchu.

Amerykanie na takie manewry odpowiadali przysyłaniem swoich F-14 „Tomcat”, które odpędzały intruzów. Ale oczywiście „Tomcaty” ognia otwierać nie mogły. A chińskie „Szenjangi” uparcie trzymały się amerykańskich samolotów wywiadowczych. Wszystko to działo się nad wodami międzynarodowymi, w neutralnej przestrzeni powietrznej.

Samoloty amerykańskie zastosowały inną taktykę. Zamiast latać w eskorcie znakomitych skądinąd „Tomcatów”, samoloty EP-3

były same. Ale gdy chińskie F-8 zajmowały miejsca w pobliżu nich, EP-3 redukowało gwałtownie prędkość. Te ciężkie czterosilnikowe samoloty śmigłowe, które latają z szybkością ok. 340-380 km/h, mogą zredukować prędkość do ok. 210-240 km/h. F-8 „Szenjang” to zmodernizowana chińska wersja MiG-21. Dla tego szybkiego i nieźle uzbrojonego, ale mało zwrotnego i trudnego w prowadzeniu samolotu o małej powierzchni skrzydeł kształtu delta nagłe redukcje szybkości mogą być zabójcze.

Skrzydła typu delta przy małych prędkościach tworzą zawirovanie i tracą znaczną część siły nośnej. Jedynie bardzo doświadczony pilot może przyjąć w powietrzu pozycję taką jak przy lądowaniu, czyli nos zadarty do góry pod kątem ok. 24-30 stopni. Przy wysunięciu klap i włączeniu dopalacza samolot ten przez jakiś czas może lecieć z małą prędkością. Ocenia się, że F-8 może w takiej pozycji lecieć ok. 10 minut – pilot musi wtedy ciągle korygować kurs i ciąg, żeby jako tako utrzymać potrzebną w danej chwili szybkość.

Tego typu lot odbywa się na krawędzi utraty sterowności. Jest wysoce prawdopodobne, że samolot, który spadł w wyniku bezpośredniej kolizji z amerykań-

skim, nie był pierwszym. Co najmniej jeszcze jeden F-8 spadł do morza w marcu wskutek utraty sterowności. Też w sytuacji, gdy próbował zablokować „pracę” amerykańskiego EP-3.

Ta runda należy do Chin

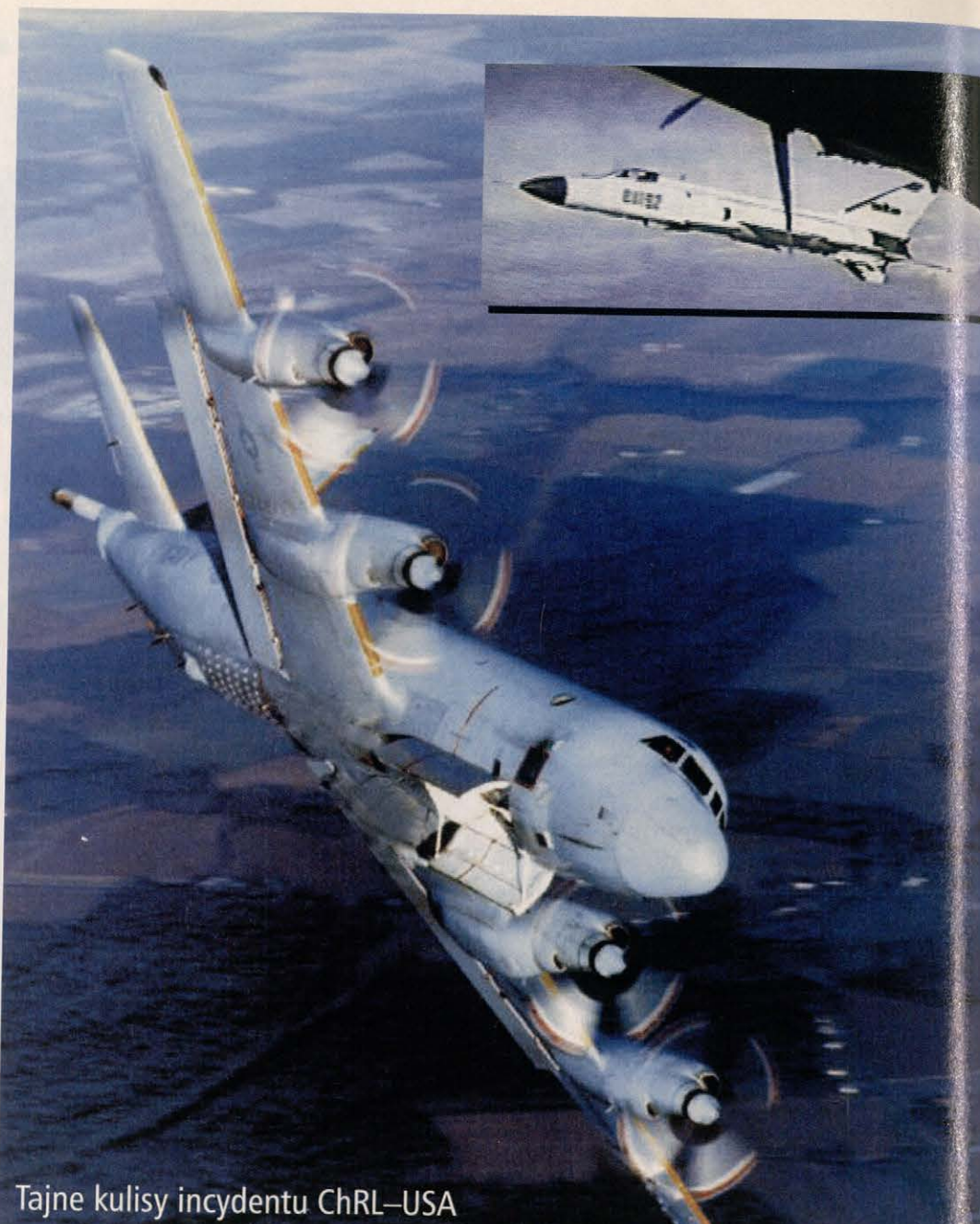
Nastąpiła bezpośrednia kolizja. Chiński „Szenjang” zahaczył o EP-3 i spadł do morza. Pilot zginął. Uszkodzony EP-3 musiał awaryjnie lądować w bazie wojskowej na wyspie Hainan.

Amerykanie domagają się zwrotu maszyny. Chińczycy oczywiście oddadzą. Ale dopiero wtedy, kiedy ich technicy dokładnie zbadają aparaturę elektroniczną na pokładzie samolotu. Prawdopodobnie wzbogacą swoją wiedzę również na temat ich względnie cichych okrętów podwodnych. Niektóre moduły aparatury być może uda im się skopiować. Najprawdopodobniej „zaproszą” do współpracy specjalistów rosyjskich.

Chińczycy uzyskali dostęp do sektora najtańszej technologii USA. Zapewne miną 2 lata, zanim Amerykanie wdrożą nowe typy sensorów sonarowych zdolnych do śledzenia chińskich okrętów podwodnych. W tym czasie Chińczycy też zmodyfikują swoje moduły napędowe... ■

Tajne kulisy incydentu ChRL-USA

KRAKSA NAD MORZEM



Chińskie okręty podwodne są tak ciche jak amerykańskie czy brytyjskie

FOT. REUTERS/FORUM

Najśmieszniejsza książka świata



Plebiscyt „Przekroju” i RADIOWEJ „TRÓJKI”



Już trzeci tydzień trwa nasz plebiscyt. Razem z Państwem czytamy, śmiejemy się i patrzymy końca, który nastąpi w 21 numerze PRZEKROJU. Kto jednak chce wziąć udział w losowaniu upominków książkowych, słusznie uczyni, wysyłając (pod naszymi adresami pocztowym lub e-mailowym) do 15 maja swoje poparcie dla nie więcej niż pięciu, zdaniem nadawcy, najśmieszniejszych książek świata. Dzisiaj po raz ostatni zapraszamy do lektury fragmentów książek, które śmieszą nas, oraz do lektury rekomendacji różnych poważnych ludzi.

JEROME K. JEROME

Trzech panów w łódce, nie licząc psa

Było nas czterech – Jerzy, William Samuel Harris, ja i Montmorency. Siedzieliśmy w moim pokoju, paliło się i rozmawiało o tym, jak źle jest z nami – źle, rzecz jasna, z punktu widzenia medycyny.

Wszyscy czuliśmy się kiepsko i to coraz bardziej nas niepokoiło. Harris miewa takie szalone zawroty głowy, że odchodzi od zmysłów. Jerzy powiada na to, że jemu też czasem kręci się w głowie i nie wie wtedy, co się z nim dzieje. A mnie popsuta się wątroba. Nie może być co do tego żadnej wątpliwości, bo właśnie przeczytałem prospekt patentowanych pigułek na wątrobę, w którym dokładnie opisano rozmaite objawy pozwalające określić, czy

komuś dolega wątroba. Mam wszystkie te objawy.

Bardzo to dziwne, ale jeszcze mi się nie zdarzyło, bym przeczytał ogłoszenie o jakimś najnowszym specyfiku i nie doszedł do nieodpartego wniosku, że cierpię właśnie na opisaną tam chorobę, i to w jej najbardziej złośliwej postaci. Za każdym razem diagnoza ściśle odpowiada temu wszystkiemu, co sam odczuwam. [...]

Wracając jednak do tego prospektu pigułek na wątrobę, muszę przyznać, że pojawiły się u mnie objawy, i to całkiem niedwuznaczne. Najwyraźniej zaś wystąpił „zupełny brak chęci do jakiegokolwiek pracy”.

JULIAN TUWIM, ANTONI SŁONIMSKI

W OPARACH ABSURDU

OGŁOSZENIA DROBNE I RÓŻNE

Pierścionki biorę na wychowanie. Wszelka biżuteria znajdzie u mnie ciche i miłe schronienie na starość. Złotnik i Złotnik, sp. z ogr. od. Więzienie Mokotów.

Udowodnię, że bez pasty „Mikron” zęby nie mogą mieć zastoso-

Bobo do robienia bobków potrzebne od zaraz. Chmielna 2.

TAMARE INDIENNE łagodnie przeczyszcza nie przerywając snu. Dostać można we wszystkich aptekach

Udaję Serbów, Szwedów, Portugalczyków. Ceny przystępne. Ciepła 73 m. 9.

Umawiam się i nie przychodzę, zaklinam się na wszystkie świętości, obiecuję złote góry, z obojętną miną opowiadam wszystko, co trzeba. Telefon w administracji.

Przełożył
KAZIMIERZ PIOTROWSKI

FRANCISZEK RABELAIS

Jak Tęgospust poznał bystrość dowcipu Gargantui po jego wynalazku nowego utrzymadka

Pod koniec piątego roku Tęgospust wracając z porażki Kanaryczyków odwiedził swego syna Gargantui. Ujrawszy go ucieszył się tak, jak mógł się cieszyć taki ojciec oglądając takiego syna. Za czym, całując go i ściskając, wypytawał żartobliwie o to i owo. I popił także co nieco z nim i z piastunkami, które z wielką troskliwością badał, żali go trzymając czysto i ochędźnie. Na co Gargantui odpowiedział, iż on sam zaprowadził taki porządek, iż w całym kraju nie masz schłodniejszego chłopięcia.

– Jakże to? – rzekł Tęgospust.

– Wynalazłem – rzekł Gargantui – po długich i pilnych badaniach sposób ocieplania sobie zadka najbardziej królewski, najbardziej pański, najwyborniejszy, najdoskonalszy, jaki kiedykolwiek widziano.

– Jakież to? – rzekł Tęgospust.

– Wraz go wam opowiem – odparł Gargantui. – Podtarłem się raz aksamitną maseczką jednej panienki i spodobało mi się: miętkość bowiem jedwabiu sprawiała mi w stolcu bardzo lubie łaskotanie.

Drugi raz czapeczką tejże panny i tak też było dobrze. Innym razem chusteczką na szyję; kiedy indziej kłapkami na uszy z karmazynowego atlasu, ale były naszywane jakimiś za...anymi wyłaczanymi kulkami, które mi podrapały cały zadek. Niechże ogień świętego Antoniego sparzy kiszke stolcową złotnika, który je uczynił, i panny, która je nosiła!

To cierpienie mi przeszło, gdy mi się podtarł czapeczką pazia nadobnie ubraną piórami, wedle szwajcarskiej mody.

Następnie wyfajdawszy się za krzakiem znalazłem tegoż kocura i nim się podtarłem, ale mi rozorał pazurami całe krocze.

Z czego uleczyłem się na drugi dzień, podcierając się rękawiczkami matki pięknie woniejącymi piżmem.

Później podcieralem się szatnią, koperkiem, anyżkiem, majerankiem, różami, liśćmi łopuchy, kapusty, buraka, winnej latorośli, topolówki, werweny, sałatą i szpinakiem. Wszystko to zrobiło mi bar-

dzo dobrze na żołądek; dalej szczyrem, rdestem, pokrzywą, żywokostem; ale dostałem od tego lombardzkiego liszaja, który wyleczyłem podcierając się własnym sacczkiem od pludrów.

Później podcieralem się prześcieradłem, kołdrą, firankami, poduszką, dywanem, obrusem, serwetą, chustką do nosa, muślinem. W czym wszystkim znalazłem ot, tyle przyjemności, co świerzbowały, kiedy go skrobiał zgrzeblem.

– Dobrze, ale – rzekł Tęgospust – powiedz, jaka podcierała zdała ci się najgodniejsza? [...]

– Podcieralem się potem – rzekł Gargantui – szlafmycą, poduszką, pantoflem, torbą myśliwską, koszykiem (o cóż za niezyczliwa podcierała!), wreszcie kapeluszem. I zważcie, że kapelusze jedne bywają krótko strzyżone, drugie włochate, inne puszyste, inne z kitajki, inne z atlasu. Najlepszy ze wszystkich jest włochaty, ponieważ bardzo dobrze eliminuje substancje kałowe.

Później podcieralem się kurą, kogutem, kurczęciem, skórą cielęcą, zajacem, gołębiem, kormoranem, torbą adwokata, kapturem, czepek, strachem na wróble.

Ale, przechodząc do konkluzji, powiadam i utrzymuję, że nie ma takiego utrzymadka jak gaska dobrze puchem obrosnięta, byle głowę jej trzymać między nogami. I możecie temu uwierzyć, na honor, doznajecie bowiem przy tym w dziurze zadecznej nieopisanych rozkoszy, tak dla delikatności owego puszcza, jak z powodu umiarkowanej ciepłoty gaski, która ciepłota snadnie udziela się kiszce stolcowej i innym wnętrznościom, aż wreszcie dochodzi do okolicy serca i mózgowicy.

I nie myślcie, iż szczęśliwość bohaterów i półbogów mieszkających na Polach Elizejskich leży w ziele złotogłowia albo w ambrozji, albo w nektarze, jak opowiadają stare baby. Polega ona, wedle mnie, na tym, iż podcierają sobie zadki gaską. I taka jest opinia mistrza Jana ze Szkocji.

Przełożył TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

ŚMIESZNE TYPY poważnych ludzi



KAZIMIERZ KUTŹ
reżyser

Hasek: „Przypadki dobrego wojaka Szwejka” – książka zaliczana do kanonu literatury światowej, jak również do arcydzieł literatury czeskiej.

Poczucie absurdu drzemającego w różnych przejawach życia – świata, losu, władzy. Janos: „Holonek, czyli dobry Pan Bóg z gliny”. Historia o tym, jak w lumpenproletariackiej dzielnicy Zabrza rodzi się przedwojenny faszyzm. Arcydzieło literatury poruszającej tematy związane ze Śląskiem. Dwie książki, które sąsiadują ze sobą jakby „przez miedzę”. Z jednej strony „sprawa czeska”, z drugiej zaś – śląska. Potoczna rzeczywistość przedstawiona poprzez wspaniały kontrapunkt.



ADAM HANUSZKIEWICZ
reżyser, dyrektor warszawskiego Teatru Nowego

Hasek: „Przypadki dobrego wojaka Szwejka” – ponieważ to

klasyka. „Proces” Kafki – albowiem jest to humor absurdu. Przeczytałem niegdyś u Tomasza Manna, że gdy Kafka czytał „Proces”, to przyjaciele wraz z nim śmiali się tak głośno, że sam autor miał kłopot z czytaniem. Wreszcie Woody Allen – cokolwiek pisze. Zapytany na przykład o to, czym chciałby być w następnym wcieleniu, odpowiada: „Palcami Warrena Beatty”.



PROFESOR ALEKSANDER KRAWCZUK
historyk

Rabelais: „Gargantui i Pantagruel” – pierwsza i najczciodsza. Gdziekolwiek

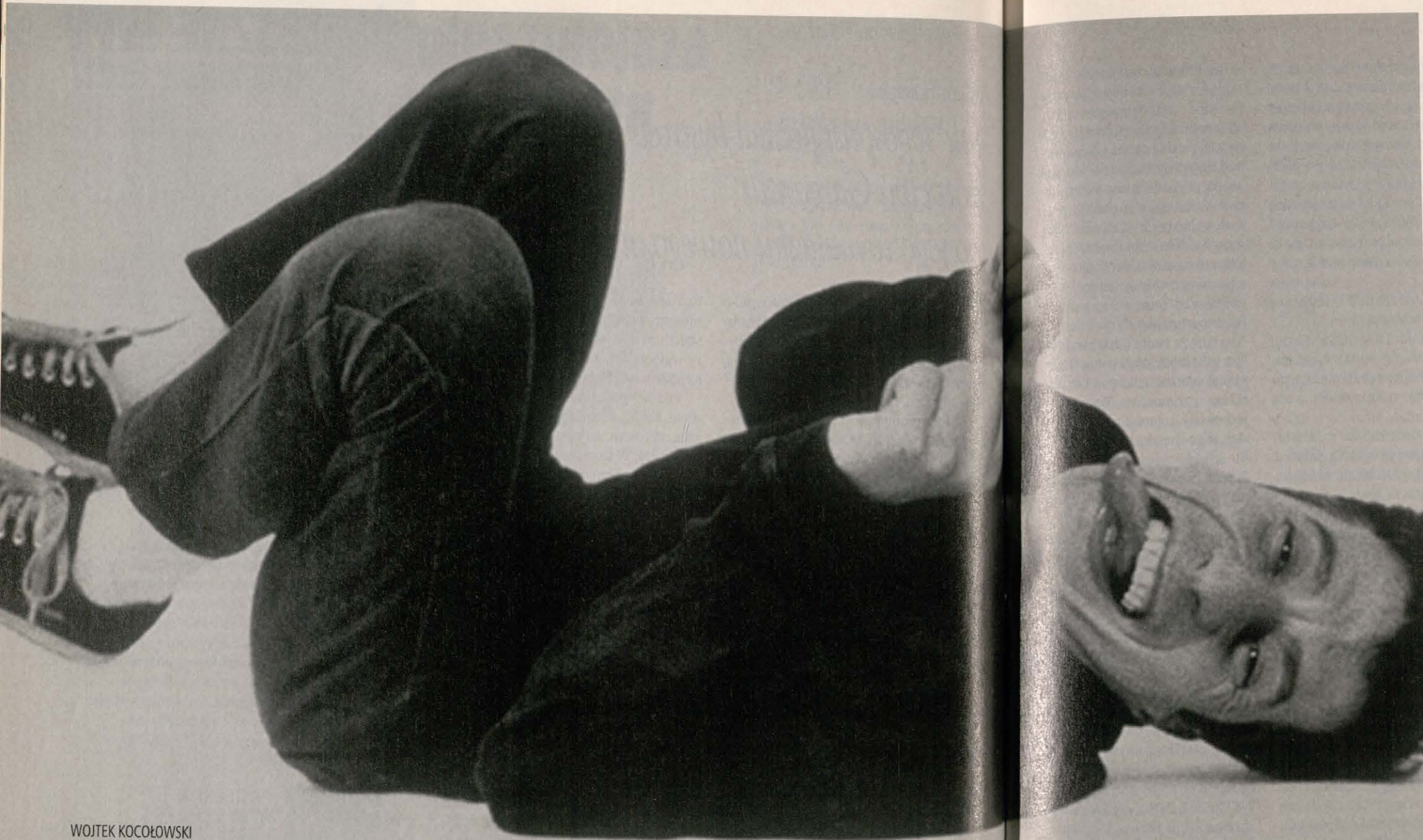
się otworzy, napotyka się zabawne, nieraz rubaszne, żywe i wciąż aktualne spostrzeżenia. Ch. Dickens: „Klub Pickwicka” – pogodna i sympatyczna lektura. Odpręża. Hasek: „Przypadki dobrego wojaka Szwejka” – humor nie wymagający specjalnego uzasadnienia. Sławomir Mrożek: „Wesele w Atomicach” – wizerunek naszych czasów. Bardzo aktualny.



ADAM BUJAK
fotograf

Kornel Makuszyński: „Przypadki Koziołka Matołka” – prześmieszna książka, znakomita literatura. „Przypadki Funi” – namiętnie czytałem ją w latach pięćdziesiątych.

FOT. J. GUNOWSKI, FOT. S. KAMINSKI, FOT. J. ZICH, FOT. G. ROGUSKI



WOJTEK KOCOŁOWSKI

Najlepsze dzieła nosimy w głowie

MAURIZIO CATTELAN

– artysta, który ukamienował papieża, ukradł koledze wystawę, zmusił do samobójstwa wiewiórkę i przykleił do ściany własnego marszanda.

Pozostałby w Polsce do dzisiaj nie znany, gdyby nie jego woskowa figura Jana Pawła II, przygnieciona meteorytem. I awantura związana z tą rzeźbą.

Jego dzieła sprzedają się za dziesiątki tysięcy dolarów, a sam twórca drwi z dziennikarzy i oszukuje ich, np. podstawiając do wywiadów przyjaciela i współwydawcę Massimiliano Gioni. Jest bodaj największym ironistą sztuki współczesnej.

Urodził się w Padwie, w 1960 r., od kilku lat mieszka w Nowym Jorku. Kiedyś projektował meble dla awangardowej galerii w Mediolanie i z braku lokum sypiał na łóżkach wystawionych w witrynie. Sztukę odkrył przypadkiem, jadąc na rowerze koło okna galerii w rodzinnym mieście, gdzie wystawiano obrazy Michelangelo Pistoletto. Dzisiaj jest stałym gościem największych wystaw i muzeów.

Szydzi z wszystkich, zwłaszcza z kolegów artystów. Szanuje jednak publiczność, którą obdarowuje swymi zaskakującymi i zabawnymi obiektami artystycznymi. Każde nowe dzieło Cattelana jest inne, gdyż artysta uwielbia zmieniać skórę. W je-

go wydaniu konceptualizm staje się formą drwiny – nigdy sam nie wykonuje własnych prac, zlecając je innym artystom albo rzemieślnikom. Uważa, że liczy



„Dziwota godzina” z 1999 r. – papierek lakmusowy na nasze psychozy.

się zawarta w dziele idea, a nie sam przedmiot.

Telefon do Cattelana zdobyłem od jego paryskiego marszanda Emmanuela Perrotina. Artysta wolał jednak spokojniejszą wymianę opinii drogą elektroniczną. Bałem się mistyfikacji, bo gdy napisał mi pierwszą odpowiedź, odczytałem ze zgrozą nadawcę: Massimiliano Gioni, czyli przyjaciel-sobowtór. Czytając jednak ko-

© GALERIA PERROTIN (2)

◀ Maurizio Cattelan nie lubi kotów, ale lubi psy.





SZANUJ MARSZANDA SWEGO

Artysta tworzy, a marszand organizuje wystawy i sprzedaje dzieła. W wypadku Cattelana i Emmanuela Perrotina, prowadzącego galerię w Paryżu, ten układ był inny: artysta włożył w dzieło fantazję i ironię, a marszand sporo odwagi. Emmanuel Perrotin: – Maurizio opowiedział mi o swoim pomysle w 1994 r. Był wtedy znany tylko wśród artystów i krytyków sztuki. Spodziewałem się, że to będzie coś bardzo śmiesznego. Zazwyczaj „galernik” akceptuje projekty i daje na nie pieniądze. Tutaj pojawiła się też odpowiedzialność za wybór artysty. Osoba, którą artysta portretował (czyli mnie), została ośmieszona. Ten projekt zmienił moje życie. Teraz za każdym razem, gdy rozmawiam z młodą dziewczyną, ona myśli, że jestem Errocin – prawdziwy królik. Tak myśli, dopóki nie zdejmę ubrania. – Królikiem zostałem 26 stycznia 1995 r. i byłem nim przez sześć tygodni. Strój został wyprodukowany przez kostiumologów z włoskiego studia filmowego – „Cinacitta”. Maurizio nie zrobił nic, praktyczną pracę, jak zwykle, wykonali inni. Na początku Maurizio opowiedział mi o pomysle i wybrał kostium. Później zaproponował zmianę mojego nazwiska. Odrzucił „P” i dodał „est vrai lapin”, co brzmi jak „Perrotin-erotoman to prawdziwy królik”. Najgorszy był pomysł z zaproszeniami. By kostium mógł powstać, „Cinacitta” zażyły sobie moich wymiarów. Odpowiedź wysłałem, jak ostatni idiota, faksem w moim fatalnym angielskim. Maurizio wysłał to jako zaproszenia, ale w ogóle ich nie opisał. Były tam jedynie moje wymiary i data. Kiedy ludzie je dostali, pomyśleli, że to pomyłka. Kilka osób je odesłało.

– W kostiumie czułem się fantastycznie, był naprawdę ciepły. Wszyscy się mną interesowali i pytali, jak się czuję. Można było w nim spokojnie pracować, jadać i spędzać wieczór z miłą osobą. Kiedy było zimno, w ogóle go nie zdejmowałem. „Królik” jest teraz u moich rodziców, Maurizio nie chciał go sprzedawać. W galerii zostały zdjęcia i rysunki. Nie wiem, co myśli o tym Massimo De Carlo, ale pewnie mi zazdrości – „Errocinowi” – jestem bardzo sławny. Dzisiaj nie wydaje się to nadzwyczajne, ale wtedy było naprawdę bardzo, bardzo odważne. Projekt nie miał uzasadnienia finansowego – kostium był bardzo drogi, a galeria nie miała pieniędzy. Publiczność obdarzyła mnie i Maurizia bardzo dużym zaufaniem. Inni właściciele galerii pracują na to latami. Byliśmy bardzo młodzi, a jednak się udało. Myślę, że Maurizio Cattelan to wielki artysta i takim pozostanie. (AJ)

lejne listy, przekonywałem się, że rozmawiam z samym Mauriziem.

Stało się to rodzajem gry między nami. Ja wiedziałem, że on się bawi, on wiedział, że ja to wiem. Zmienialiśmy adresy elektronicznej poczty i własną tożsamość. Odpowiadał bardzo osobście i wkładał w to zbyt dużo emocji, jak na podstawionego figuranta. To był sam Cattelan.

Na pierwszą odpowiedź czekałem niecały dzień:

Drogi panie. Tu Maurizio Cattelan. Używam e-maila mojego kolegi, bo mój komputer się zepsuł. Proszę więc o odpowiedź na ten list.

Jestem zainteresowany udzieleniem panu wywiadu. Czekam na odpowiedź. Pozdrawiam. Maurizio Cattelan.

Odpowiedziałem:

Dzień dobry. Dziękuję mój e-mail nie funkcjonuje, więc używam elektronicznego konta mojej przyjaciółki. Zaczniemy. Jak pan woli – moje pytanie, pana odpowiedź czy może seria pytań i seria odpowiedzi? Pozdrawiam z Krakowa. Pozdrowienia dla pana przyjaciela – Massimiliana.

Wojtek.

Drogi Wojtku, dziękuję za twój e-mail. Sam nie wiem, może wszystkie pytania naraz. Albo jak chcesz – ważny jest rytm naszej rozmowy. A więc kiedy będziesz miał czas, napisz, a ja odpowiem. OK?

Stokrotne dzięki i na razie. Maurizio.

PS: Pozdrowienia od Massimiliana.

Cześć Maurizio lub Massimiliano – w końcu to nie ma znaczenia.

Spytam z ciekawości, czy wiesz, co się stało z twoim dziełem „Dziewiąta godzina” podczas wystawy w galerii Zachęta przygotowanej przed Haralda Szeemanna?

Do jutra. Wojtek

Drogi Wojtku, czekam wciąż na twoje pytania. Pytasz, co się stało w Warszawie?

Było to tak: pokazałem „Dziewiątą godzinę” na wystawie zorganizowanej przez Haralda Szeemanna w galerii Zachęta w Warszawie. Podczas oficjalnej wizyty mi-

nister kultury, chyba jakiś zagorzały katolik, próbował usunąć meteor z mojego papieża i poprosił o pomoc inną osobę. Historia została rozdmuchana i dotarła do parlamentu, gdzie partie katolickie zażądały ustąpienia dyrektora galerii, atakując ją poza tym za żydowskie pochodzenie. W ten sposób dzieło sztuki stało się pretekstem do ataku ideologicznego i rasowego. Mniej więcej tyle wiem na ten temat.

Pozdrawiam. Maurizio.

Dziękuję za twoją wersję wypadków w Zachęcie. Mała poprawka: to nie był minister, tylko poseł do polskiego parlamentu. Poczuli się w obowiązku obronić papieża z wosku, więc chciał usunąć kamień. Nie spodziewał się jednak, że będzie on prawdziwy. Myślał, że to też wosk. Ledwie udało mu się go ruszyć. Ale zadziwia mnie, że w skrócie wiesz wszystko. Podczas konferencji prasowej dyrektor galerii i Szeemann, którzy przedstawili rzeźbę bez pierwotnego tytułu, powiedzieli, że ukazuje ona papieża, który musi znośić ciężar wszystkich grzechów świata. Ponieważ dyrektor Zachęty Anda Rottenberg jest osobą inteligentną, od razu było jasne, że chodzi o wybieg i odparcie ewentualnych ataków polityków i opinii publicznej.

Co myślisz o tej interpretacji?

WSZYSTKIE INTERPRETACJE SĄ SŁUSZNE. Nie istnieją fakty, a jedynie interpretacje. Prawda to chwila, w której uznajesz jakiś kawałek za całość, jakąś rację częstkową jako absolutną. A więc wszystkie interpretacje są prawdziwe i równocześnie wszystkie są mylne.

Przepraszam za taką łopatologię, ale właściwie co przedstawia „Dziewiąta godzina”? Czasem pytanie wprost jest lepsze od lawirowania i dyplomacji.

ŻADNE OBRAZY I DZIEŁA NIE PRZEDSTAWIAJĄ. ONE JEDYNIĘ SUGERUJĄ! To wizualna synteza myślowych kontrastów. To wręcz obrazy walki myśli. „Dziewiąta godzina” jest rzeźbą, która znika i staje się czystą informacją, plotką, historią, kłiszą. „Dziewiąta godzina” przedstawia wszyst-

ko i nic. Być może jest papierkiem lakmusowym na nasze psychozy. Na wasze też.

Dlaczego kiedyś powiedziałeś, że nie uznajesz się za artystę? I co w ogóle znaczy dla ciebie działać jako przedstawiciel sztuki nowoczesnej? Myślę, że jesteś jak Crielii – pamiętasz jego obraz przedstawiający Madonnę z Dzieciątkiem i realistycznie namalowaną w rogu muchą, która wydaje się śledzić na płótnie? Z jednej strony żart, ale z drugiej dystans do tego, co się robi.

NIGDY NIE OGŁOSIŁEM, ŻE NIE JESTEM ARTYSTĄ. Powiedziałem tak tylko raz i stało się to rodzajem legendy. Prawda jest taka, że jestem nie tylko artystą, tak jak ty jesteś nie tylko dziennikarzem. Codziennie, w każdej chwili jesteśmy zmuszeni do zmiany form, masek i ról. Chciałbym, żeby moje dzieło odzwierciedlało złożoność rzeczywistości z jej wszystkimi odcieniami i sprzecznościami. A co znaczy dla ciebie bycie artystą nowoczesnym? Pytam, bo pamiętam, że zaczynałeś późno – najpierw projektowałeś meble, potem zajmowałeś się rzemiosłem. A dopiero potem zacząłeś produkować dzieła w świecie sztuki.

Wiesz, ta ciągła potrzeba definicji staje się już problemem. Definicje mnie nie interesują. Nie obchodzi mnie bycie artystą nowoczesnym lub współczesnym, designerem czy malarzem. Problemem jest umieć odzwierciedlać banalność życia we wszystkich jego tragediach i sprzecznościach. Wszystko inne schodzi na dalszy plan, jest nieważne.

Po co w takim razie wykonuje się dzieła, które potem pokazuje się i sprzedaje w galeriach sztuki? NAJLEPSZE DZIEŁA nosimy w głowie. Galerie sztuki, muzea i wszystkie te pieprzone kunsthale są tylko protezami dla naszej wyobraźni. W głębi duszy chciałbym, żeby wszystkie te instytucje przekształciły się w urzędy pocztowe, pozwalające na swobodny obieg obrazów. Sztuka to agencja podróży sprzedająca wycieczki w nieznane.

Do czego więc służą pomysły i przedmioty Maurizia Cattelana? Może do tego, żebym stale miał coś do roboty i był ciągle zajęty. Sztuka jest ucieczką od nudy rzeczywistości i jednocześnie zanurzeniem w banalność codzienności.

Co mógłbyś powiedzieć osobom, które nie znają się na sztuce i innym, którzy starają się coś z niej zrozumieć?

MAM NADZIEJĘ, ŻE MOJA SZTUKA przemawia do wszystkich. Nie idzie o to, żeby zmienić własną sztukę w celu zapewnienia sobie większej publiczności, ale zmienić publiczność, żeby umiała odbierać coraz lepszą sztukę.

Jak przygotowałeś twoje dzieło „Bidibidibidiboo”? Czy prawdziwa wiewiórka została wcześniej zabita, czy może znalazłeś zwierzątko już wypchane? Była dzika czy oswojona?

Znalazłem ją w lesie, była jeszcze ciepła. Chwilę wcześniej zastrzeliła się.

Czy twój „galernik” z Mediolanu, którego powiesiłeś na ścianie jako dzieło sztuki, dobrze się miewa? Współpracujecie wciąż?

Jasne. Widuję się i współpracuję z Massimo, jak zawsze. Najlepsza zemsta dokonuje się wtedy, gdy nie rozdzierasz płótna normalności. Wywołuje wątpliwości, nie likwidując pozorów.

Na początku kariery zrobiłeś coś nie tylko dla zabawy. Pamiętam twoje kukły bezdomnych zrobione z kawałków używanej i starej odzieży. Jak odebrano te rzeźby? Moja praca nigdy nie jest dla zabawy! Jeśli szukasz dokładnej odpowiedzi, co jest dobre, a co złe, kto jest dobry, a kto niedobry, chyba pomyliłeś adres. Najważniejsze, żeby wciąż trzymać jak najwięcej srok za ogon, żeby mieszać równocześnie krytykę ze zgodą na rzeczywistość. Musisz wykreślać linię, a nie stawiać kropek.

Czy pracujesz jeszcze nad gazetą składającą się ze stronic wydartych z innych, przypadkowych czasopism? Czy służy tylko do oglądania, czy też do rozumienia?



Najśłynniejsze dzieło Cattelana „Bidibidibidiboo” z 1996 r. Jakie problemy musiała mieć ta wiewiórka, że zdecydowała się na tak dramatyczny krok? Wystroj kuchni stylizowany jest na lata 60. i wzorowany na wnętrzu domu rodzinnego Maurizia z Padwy.



W 1991 r. Maurizio stworzył fikcyjną drużynę piłkarską, złożoną z nielegalnych emigrantów z Afryki AC Furniture Sud, czyli „KS Dostawy z Południa”. Wymyślił głównego sponsora – niemiecką firmę RAUSS („Won!”). Przygotował kompletny zestaw koszułek i gadżetów. Mecze rozgrywały się na przedłużonym stole do gry w piłkarzyki dla dwóch pełnych drużyn. AC Furniture Sud byli niepokonanymi mistrzami.



Cattelan drwi z leniwych współczesnych artystów, wykorzystujących gotowe przedmioty do własnych wystaw. W 1996 r. w Amsterdamie włamał się w nocy do galerii, gdzie wystawiał inny artysta. Ukraść wszystkie prace, zapakował i następnego dnia wystawił w galerii jako swoje. Przybyła policja i zarekwirowała całość. Wystawa trwała kilka godzin i nosiła tytuł „Następny pieprzony gotowiec”.



„GALERNIK” UKRZYŻOWANY

Massimo De Carlo jest właścicielem galerii sztuki nowoczesnej w Mediolanie. Dwa lata temu pozwolił Maurizio Cattelanowi zorganizować wystawę, w której „galernik” zagrał rolę dzieła i niezamierzonej ofiary sztuki. Massimo De Carlo: – Było to podczas wystawy indywidualnej Maurizioa w mojej galerii w Mediolanie we wrześniu 1999 r. Praca Cattelana polegała na powieszeniu mnie jako dzieła sztuki na pustej, białej ścianie galerii. Zostałem tam przyklejony taśmą. Maurizio potrzebował ogromnej liczby kawałków, żebym utrzymał się kilkadziesiąt centymetrów nad podłogą. Użył specjalnej metalizowanej taśmy, tzw. duct tape, o dużej wytrzymałości. Mocowanie mnie na ścianie zajęło około dwóch godzin. Na wystawie prezentowano wyłącznie tę pracę. Została otwarta o 18.00, a przerwana o 19.45. Przyszło wiele osób, galeria była pełna. Przewidziano trzy godziny ekspozycji. Najpierw czułem się zupełnie dobrze, dopiero potem zaczęły się kłopoty. Widać to na zdjęciach – najpierw się uśmiecham, potem na kolejnych fotografiach uśmiech powoli znika. Z upływem czasu zaczęło mi brakować powietrza. Po siódmej czułem się już nie najlepiej i poprosiłem o ściągnięcie mnie. Odklejenie trwało około kwadransa. Ktoś z pracowników galerii wezwał pogotowie. Lekarze stwierdzili niedotlenienie spowodowane zarówno uciskiem taśmy, jak i zmniejszeniem powierzchni oddychania. Nie pamiętam dokładnej diagnozy – nic poważnego. Rzecz jasna, wystawa była wyrazem mojej przyjaźni z Maurizioem, do dzisiaj widujemy się często i wciąż wystawiam jego prace. Cattelan jest niezwykle inteligentny, zdeteminowany w swojej pracy i wbrew pozorom traktuje ją niezwykle poważnie. Myślę, że wszystko, co składa się dzisiaj na Maurizioa, jest podporządkowane przyjęciu przez niego roli kogoś ważnego w sztuce. Nie sądzę, żeby w tej chwili była jakakolwiek potrzeba definiowania i określania go jako smutnego czy ironicznego. On po prostu wie, czego chce i to robi. Każda jego praca zaskakuje. Oto nowy projekt przygotowany dla weneckiego biennale: gigantyczny napis Hollywood umieszczony będzie w okolicy Palermo i jeśli ktoś zechce go zobaczyć, będzie musiał pojechać z Wenecji aż na Sycylię (1200 km). (WK)

„Permanent Food” (Stały pokarm) jest magazynem złożonym ze stron ukradzionych z innych czasopism. Nie są przypadkowe. Wybieram je sam albo inni artyści i znajomi. Przypadek nie istnieje. Przedmioty są przecież wyrazem naszych pragnień. „Permanent Food” jest porcją jedzenia dla oczu, dla mózgu i – jeśli przyjąć go w odpowiednich dawkach – zdaje się mieć zbawienny wpływ na wypadanie włosów. Co teraz robisz w Nowym Jorku? Twoja twórczość jest sposobem zarabiania pieniędzy czy artystycznym powołaniem? Albo inaczej: tworzysz po to, żeby wyrazić idee, żeby się zabawić czy może żyjesz sobie dobrze, uchodząc za artystę? PRACA jest wyrokiem i powołaniem. To obsesja, z której nie możesz zrezygnować. Pracuję dlatego, że nie umiem robić nic innego i dlatego, że nie mogę robić nic innego. Skoro praca pojawia się już w Biblii, to chyba jest jakiś powód...

Co myślisz o Picasso? Oprócz tego, że miał głowę za dużą w stosunku do reszty ciała.

Picasso jest ikoną, symbolem. Nieważne, co ja o nim myślę. Ważne, co o nim myślą inni. Wszystkie obrazy, symbole i ikony są terytorium walki i spotkania, to myślowe przestrzenie, w których odbijają się obsesje i manie publiczności. To takie ideologiczne zwarcia.

Bawi cię to jeszcze?

A ciebie?

Skąd bierze się twoja pasja do pokazywania szkieletów?

To nie jest pasja. Staram się unikać wszelkich pasji. Myślę, że dzisiaj czas na docenienie na nowo opanowania i chłodu, a nie pasji.

Jak postępują prace nad twoim napisem Hollywood w Palermo?

Bardzo dobrze. A jak miewa się twoja rodzina? Wszystko OK? Tata z mamą zdrowi?

Żadnego ze swoich dzieł nie wykonałeś własnymi rękami. Albo zlecasz to komu innemu, albo zdarzało ci się kraść całe wystawy innym artystom. Używasz przedmiotów cudzych i tym samym stajesz się artystą?

W sztuce nie ma kradzieży, bo nie ma też własności!

Wróćmy do figury papieża. Według mnie to nie jest twoja najlepsza praca, ale w tym żarcie podobam się jej poważne tło. Jest ona jakby mikrotraktatem o braku opatrności w życiu człowieka, bez względu na to, jakie stanowisko piastuje. Zgadzasz się?

Jak mówiłem na początku – wszystkie interpretacje są prawidłowe i wszystkie interpretacje są nieprawidłowe. Nie ma faktów, są tylko interpretacje.

Spoglądam na naszą elektroniczną rozmowę i widzę, że niektóre twoje odpowiedzi są krótsze od moich pytań.

SYNTEZA JEST DAREM ARTYSTÓW.

Dziękujemy Galerii Emmanuela Perrotina i Massimo De Carlo za pomoc w zebraniu materiałów ilustracyjnych.



„Pluto” z 1998 r.
Czy ktoś może mieć wątpliwości, że Maurizio to melancholik?
Czy może być wierność większa od tej?

EMPIK



MUZA SA

www.EMPIK.com

Tydzień Wydawnictwa MUZA w warszawskich salonach EMPIKU

14 – 20 maja 2001 roku

- Promocyjne ceny
- Spotkania z autorami
- Niecodzienni goście
- Książki z autografem
- Prezentacje nowości
- Niespodzianki

Szczegółowe informacje tel. (0-22) 629 50 83, www.muza.com.pl

Zapraszamy na cykl interesujących spotkań z gośćmi Wydawnictwa MUZA SA

EMPIK Megastore Junior ul. Marszałkowska 116/122, II piętro

14.05 poniedziałek, godzina 17.00
Spotkania z historią

15.05 wtorek, godzina 17.00
Arturo Perez-Reverte

16.05 środa, godzina 17.00
Pamiętajcie o ogrodach

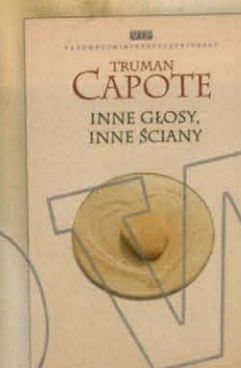
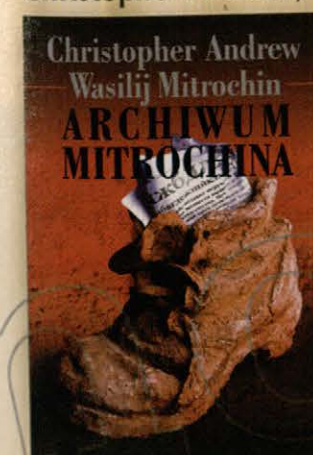
17.05 czwartek, godzina 18.30
Żyć lepiej

18.05 piątek, godzina 17.00
Podróżuj z Muzą

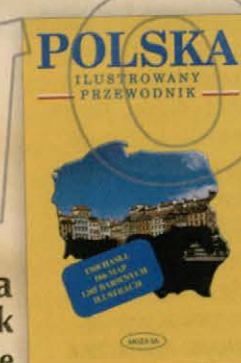
19.05 sobota, godzina 11.00
Wielcy pisarze Muzy

20.05 niedziela, godzina 11.00
Rozmowy o sztuce

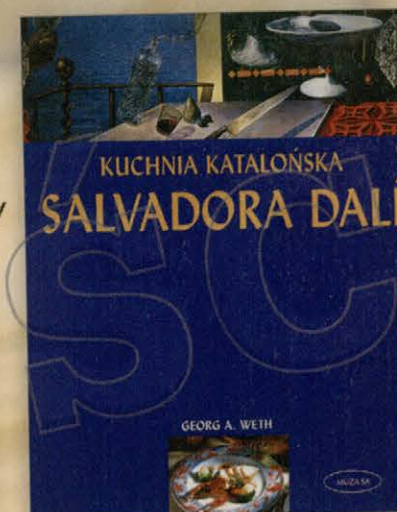
Archiwum Mitrochina
Christopher Andrew, Wasilij Mitrochin



Inne głosy, inne ściany
Truman Capote



Polska
Ilustrowany przewodnik
Maria i Przemysław Pilichowie



Kuchnia katalońska
Salvadora Dali
Georg A. Weth

Klub Czytelników ul. Bagatela 10 m 3, 00-585 Warszawa; tel.: (0-22) 628 63 60, 629 32 01
e-mail: klub@muza.com.pl; księgarnia internetowa: <http://www.muza.com.pl>

Smak zwycięstwa

9 maja jest w Rosji oficjalnym świętem państwowym. Na obrzeżach Moskwy, na Poklonnej Górze, zbudowano ogromny muzealny kompleks otoczony parkiem. Kościół, cerkiew, synagoga i meczet mają symbolizować poległych różnych wyznań. W niedzielne poranki po wyasfaltowanych alejach mkną chłopcy na rolkach, na ławeczkach przesiadują młode matki z dziećmi. Ruch wokół placu Czerwonego zostaje ograniczony, zamyka się nawet wszechobecne kantory.

Państwo, przynajmniej teoretycznie, stara się coś zrobić dla swoich zasłużonych obywateli. Przez prawie 50 lat przyznawało im głównie medale i różnorodne ulgi. W ostatnim dziesięcioleciu przypominało sobie o nich rzadko. Rok temu coś drgnęło, kiedy Jelcyń, noszący się już z myślą o odejściu, zdobył się na spektakularny gest. Każdy z żyjących weteranów dostał od państwa garnitur wart 50 dolarów i parę solidnych butów.

Dla Rosjan słowo „frontownik” przez dłuższy czas było synonimem męstwa i poświęcenia. Przecistawiano je partyjnym urzędnikom i decydentom. W Rosji od czasów klęski wielkiej armii napoleońskiej była bardzo silna tradycja wojny ojczyźnianej. Owa tradycja antynapoleońskiego zrywu narodowego odrodziła się w czasach II wojny światowej. Młodzi chłopcy wiosną 1945 r. nie tylko obronili swoją ojczyznę, ale również doszli do nieznanej, demonizowanej przez partyjną propagandę Europy. I mimo że oddziały NKWD szły z każdą dywizją, strzelając do tych, którzy próbowali uciec, to jednak romantyka walk, bratanie się z żołnierzami stamtąd: Amerykanami, Brytyjczykami, Francuzami – zrobiły swoje. Wszyscy ci chłopcy, o których śpiewał Okudźawa, posmakowali wolności. I wielu, być może po raz pierwszy w życiu, poczuło, że robi coś bardzo ważnego. Wygłodzona, spalona i zniszczona Rosja przywitała ich jak wybawców: defilada na placu Czerwonym, marszałek Żukow na białym koniu, armatnie salwy i morze kwiatów. W kilka miesięcy później Stalin postanowił rozprawić się z konkurencją w rządzie dusz. Ci, którzy wrócili z niemieckiej niewoli, zostali uznani za zdrajców. Po raz kolejny ruszyła machina represji i politycznych procesów. Ale ziarno wolności nie znikło. W czasie odwilży w 1956 r. to właśnie równieśnicy Okudźawy wzięli udział w życiu politycznym.

Dzisiejsze młode pokolenie Rosjan, karmione kulturą masową, wobec 9 maja zachowuje milczący szacunek. Ludzie cieszą się, spacerują po bulwarach wzdłuż rzeki Moskwy, piją piwo. Przyjaciele Okudźawy, żołnierza Wielkiej Wojny, który zmarł 9 maja 1995 r., spotykają się co roku w ten dzień w podmoskiewskim Pieriedielkinie i na placu Trubnym w centrum miasta, aby śpiewać jego pieśni i recytować wiersze.

BERNARD ADAMCZAK

Oczy WIELKIEGO BRATA

Napisy na tyłach londyńskich autobusów zachęcają: „Uśmiechnij się, filmujemy cię”. Każdego dnia wszechobecne kamery rejestrują przeciętnego londyńczyka około 300 razy. Miasto, które przed ponad 50 laty stanowiło inspirację dla Orwellowskiego „Roku 1984”, dziś jest obserwowane przez jeszcze większego brata.

Wielka Brytania jest największym na świecie użytkownikiem telewizji przemysłowej (CCTV). W tej samej chwili życie obywateli śledzi ponad milion kamer. Ostrożne szacunki zakładają podwojenie ich liczby w ciągu najbliższych kilku lat. Sprzyjają temu ciągle obniżające się koszty instalacji oraz brak prawnych ograniczeń.

Metropolia przoduje w wykorzystaniu kamer. Są zainstalowane na większości głównych ulic i skrzyżowań. Obraz jest rejestro-

wany, a często także dostępny na bieżąco w Internecie. Wjazd do finansowego serca Londynu – City, strzegą kamery automatycznie „rozpoznające” tablice rejestracyjne i przysyłające informacje do bazy danych. Po czterech sekundach wiadomo, kto jest właścicielem samochodu. Dzięki temu każdego tygodnia identyfikuje się kilkanaście skradzionych pojazdów. Dodatkowo kamery rejestrują twarze kierowców, porównując je z wizerunkami osób podejrzanych o działalność terrorystyczną.

Każdy skrawek stacji londyńskiego metra jest obserwowany przez 1500 kamer. Blisko dwa tysiące kamer zainstalowano na stacjach kolejowych. Wszystkie obrazy trafiają do „centrum dowodzenia” w pobliżu dworca Victoria. Kamery w autobusach filmują pasażerów, a umieszczone z tyłu – samochody poruszające się, wbrew przepisom, pasa-

ORWELL NAD TAMIZĄ

mi wydzielonymi dla transportu publicznego.

Sztuczne oczy podpatrują nie tylko osoby wchodzące i wychodzące z budynków. Współpracująca z kilkudziesięcioma największymi sieciami sklepów firma Performance in People na zlecenie wysyła swoich pracowników, którzy ukrytymi mikrokamerami filmują zachowanie personelu.

Zwolennicy twierdzą, że instalowanie kamer zwiększa bezpieczeństwo, przeciwnicy argumentują, że spadek przestępczości jest tylko krótkotrwały, a jej wzrost następuje na sąsiednich obszarach.

Coraz częściej pojawiają się też głosy domagające się ochrony prywatności. Wszak w świecie, gdzie wszystko ma swoją cenę, również kasety z zarejestrowanym obrazem zyskują wartość handlową. Trafiają do telewizji, gdzie są wykorzystywane



„Sztuczne oczy” umieszczono w Londynie na większości głównych ulic i skrzyżowań

np. w programach rozrywkowych, stają się cennym materiałem dla reklamodawców. Najnowocześniejsze urządzenia pozwalają rejestrować liczbę osób, ich płeć i kolor skóry.

Budynek senatu University of London, który był inspiracją dla Ministerstwa Prawdy w książce „Rok 1984”, wygląda dzisiaj równie ponuro, jak w czasach Orwella. Tylko teraz rzeczywistość wszystkich wchodzących podglądają wszechobecne kamery.

Tekst i zdjęcia:
PAWEŁ KUBISZTAŁ



FLIPER PO JAPOŃSKU

Dziesiątki ludzi siedzi przed dziesiątkami automatów pachinko, poustawianymi w wąskich rzędach, jeden przy drugim. Spędzają długie godziny, bez słowa, sprawiając wrażenie zupełnie nieobecnych. Odreagowują stres i zmęczenie.

Takich miejsc są tysiące. W centrum Nagoyi na każdym rogu ulicy znajduje się lokal wyposażony w pachinko. Gra powstała w tym mieście pod koniec II wojny światowej i wciąż większość automatów produkuje się właśnie tutaj. Pachinko jest jedną z najpopularniejszych form spędzania wolnego czasu przez Japończyków, prócz popijaw w knajpach, minigolfa lub karaoke. W latach osiemdziesiątych na jeden automat przypadało 56 mieszkańców!

Pachinko jest zautomatyzowaną, pionową odmianą flipera. W dystrybutorze należy zaopatrzyć się w małe stalowe kulki, które wrzuca się do automatu. Po jego uruchomieniu kulki zaczynają spadać, potracając po drodze rozmaite przeszkody. Kiedy wpadają w odpowiednie miejsce, pojawiają się nowe, jeśli nie, to znikają. W pachinko nigdy nie wygrywa się pieniędzy. Kulki można najwyżej wymienić na jakiś bubel. Ale nie chodzi też o wygraną. Pachinko jest jak narkotyki. Hipnotyzuje, wciąga. Wpatrzeni w spadający, metalowy grad zapominamy o całym świecie. Nie mam już kulek. Gra skończona.

MARTA TOBIASZ-JOUIER



FOT. AUTOR

SAMOBÓJCA

**„Przez śmierć swą
pragnę wyrazić
najgłębszy protest
przeciwko bezczynności,
z jaką świat przypatruje
się i pozwala lud
żydowski wytepić”
– napisał w testamencie
Szmul Zygielbojm
i targnął się na życie
12 maja 1943 r.**

Spotkali się w Londynie w styczniu 1943 r. „Jeszcze nie skończyłem, gdy on wybuchnął: »Przecież pan mi nic nowego nie powiedział. Ja wiem więcej niż pan. (...)«. Teraz mnie poniosło... Ja wtedy... powiedziałem mu to, co mi powiedzieli Żydzi: niech przywódcy zabiegają o pomoc, a jeżeli nie dostaną obietnicy pomocy natychmiastowej, niech idą na ulice, staną przed urzędami angielskimi, niech odmawiają jedzenia, niech odmawiają wody, niech zginą z głodu i pragnienia na ulicy. (...) Pamiętam moją złość dokładnie, nie mogę sobie tego zachowania nigdy wybaczyć” – wspomina Jan Kariski swoje jedyne spotkanie z Zygielbojmem.

Emisariusz Delegatury Rządu, zanim przedarł się do Londynu, był w getcie i w obozie koncentracyjnym w Bełżcu. Dotarł do działających w podziemiu Leona Feinera – przywódcy Bundu i Adolfa Bermana – przedstawiciela syjonistów.

Przeciw bezczynności

Wśród dokumentów przechowywanych w Instytucie Sikorskiego w Londynie jest testament Zygielbojma, datowany na dzień przed śmiercią, a adresowany do najwyższych władz Polski. „... może śmiercią swoją przyczynić się do wyrwania z obojętności tych, którzy mogą i powinni działać, by (...) uratować od niechybnej zagłady tę garstkę Żydów polskich, jaka jeszcze żyje”.

Jego ofiara przeszła bez większego echa – kilka wzmianek w londyńskiej prasie i skromny pogrzeb, choć z licznym udziałem wybitnych pol-

skich osobistości. Testament nie został opublikowany.

Szlachetny człowiek

„Miał opinię niezwykle prawego, szlachetnego człowieka”. „Był wśród polityków człowiekiem o czystych rękach” – mówią o nim osoby, które go znały, z trudem odszukane przez Aleksandra Rowińskiego, autora książki „Zygielbojma śmierć i życie”, w Anglii, USA, Izraelu. Człowiek silny, odważny i prawy wyłania się z kart osobistego pamiętnika – relacji z pierwszych dni okupacji w Warszawie, którego egzemplarz z ogromnym trudem (choć wydano go drukiem w 1947 r. w Nowym Jorku) zdobył autor od Lidii Ciołkoszowej. Zygielbojm – Artur, bundowiec oddany sprawie socjalizmu, u Adama i Lidii Ciołkoszów, przywódców PPS, spędził ostatni wieczór w swoim życiu.

Wzruszająca jest relacja Fajwela, brata Zygielbojma. Autor odnalazł go w Izraelu, zaprosił do kraju i odbył z nim podróż do miejscowości, w których żyła biedna żydowska rodzina. Wieś Borowica nad Wieprzem, Krasnostaw, w którym „pół na pół z katolikami mieszkali Żydzi”. Tu na tajnych kompletach (zabór rosyjski) dziadek Szmula uczył chrześcijańskie dzieci języka polskiego.

Pierwsza wojna światowa, bieda, dramaty rodzinne. Poznajemy drogę, która Szmula, zmuszonego do pracy już w wieku 8 lat, doprowadziła do Bundu. Życie w Chełmie. Tu na 17 tys. Żydów – „tysiąc miało się lepiej, reszta walczyła o przetrwanie”. W końcu Warszawa – tu liczna rodzina Zygielbojmów uległa rozproszению, a Szmula awansował do władz Bundu.

Już pierwszy kontakt z okupantami, w dziesięć dni po kapitulacji Warszawy, zapowiadał przyszlą grozę. Skonfiskowali pieniądze, które znaleźli w kasie gminy żydowskiej, zażądali listy najbogatszych, a potem szczegółowego spisu Żydów – wszystkich mieszkańców Warszawy. Jeszcze nie było decyzji o utworzeniu getta, a już rozpoczęli przesiedlanie ok. 80 tys. ludzi, wyznaczając nierealny termin na przeprowadzkę. Tysiące Żydów zgromadziło się przed siedzibą gminy. Przemówił Zygielbojm:

Nie idźcie do getta!

„Pozostańcie w swoich mieszkaniach, nie ruszajcie się z nich, nie odchodźcie. Pozostańcie, aż was wyrzucą na siłę. Niech nikt dobrowolnie nie idzie do getta!”.

To było wezwanie do buntu. Artur musiał uchodzić z Warszawy. W pamiętniku zanotował: „Niemcy robią wszystko, ażeby Żydów poniżyć. Grabią ich, biją, każą nosić opaski. Czynią tak, bo Żydzi nie mają dumy. »Bezwestny naród« – mówią Niemcy – »żaden z nich nie walczy, żaden nawet nie popełnił samobójstwa“.

Do wolnego świata

W styczniu 1940 r. z papierami, które wpływowi Polacy załatwili mu u przekupnego gestapowskiego urzędnika, i z fałszywą holenderską wizą opuścił Warszawę. Po kilku dniach, znaczo-nych nadzwyczajnym strachem, ocierając się o śmierć, dotarł do granicy. I tam, u progu wolnego jeszcze świata, przeżył szok: Niemcy go przepuścili, ale zatrzymała holenderska straż graniczna, bo w wyrobionym w Warszawie fałszywym paszporcie miał złą wizę. Kilkanaście dni później dotarł do granicy belgijskiej. Pomogły kontakty Estery Alter-Iwińskiej, ale o tym w pamiętniku nic nie ma. Gdy Esterę w 1939 r. wyznaczono jako zakładnika, na jej miejsce zgłosił się Szmula. Na początku 1940 r. była już w Brukseli – jako żona Polaka miała zapewne łatwiejszą drogę za granicę.

Co przez te kilkanaście dni robił Zygielbojm w Niemczech? – na to pytanie chyba nie poznamy odpowiedzi. Rowiński notuje: „W Londynie usłyszałem, że kiedy Belgowie otworzyli drzwi wagonu na granicy, znaleźli w przedziale zakrwawionego, półprzytomnego człowieka...”.

Znienawidzony i osaczony

Zygielbojm notował: „Z różnych stron zwrócili się do mnie Żydzi... abym wystąpił w reprezentacji polskiego żydostwa. (...) Oferty te odrzuciłem kategorycznie. (...) Jestem znienawidzony przez tu-tejsze mieszczaństwo żydowskie i okrzyczany jako ten, który przeszkadza żydowskiemu zjednoczeniu”.

W memoriale do rządu polskiego napisał: „Nasz czynny udział w walce o byt Polski wynika nie tylko z wrogiego stosunku hitleryzmu do ludności żydowskiej i z naszego wrogiego stosunku do faszyzmu. Nasz udział w tej walce to wyraz naszego przywiązania do kraju, którego wolność jest warunkiem wolności wszystkich obywateli”.

Nie wszyscy tak myśleli. Byli i tacy, którzy getto witali z radością – jako samorządną dzielnicę, coś na kształt samodzielnego księstwa. Tak było na początku okupacji i nie nam roztrząsać, ile w tym było naiwności, ile wiary, że w grupie rażniej, a ile wreszcie obaw o los w okupowanym kraju i wśród nie zawsze przyjaznych sąsiadów.

Był jeszcze w życiu Zygielbojma nowojorski epizod, który przyniósł tylko rozgoryczenie. „Nikt nie wierzył, gdyśmy opowiadali, co się dzieje w Polsce. Nikt o tym nie chciał słuchać” – opowiada Rowińskiemu Róża Aleksander, która pomagała autorowi m.in. w szukaniu dokumentów w nowojorskim archiwum Bundu.

Pod koniec marca 1942 r. Zygielbojm powrócił do Londynu. Już jako członek polskiego parlamentu robił co mógł, by wzruszyć sumieniem Brytyjczyków, by świat zmusić do działania. „Trudno dociec, co Żydzi kombi-



Niemcy robią wszystko, żeby Żydów poniżyć...

nują z Niemcami”, „Mamy za mało danych do obiektywizmu” – mówił mu brytyjski parlamentarzysta.

A w polskiej Radzie Narodowej rodak Artura, ale z innej partii politycznej, Ignacy Schwarzbart, grzmi: „Pan Zygielbojm nie ma prawa do występowania w imieniu większości ludności żydowskiej oraz w imieniu żydowskiego ruchu podziemnego!”.

Niewielki skutek odnosiły apele w prasie, wystąpienia na wiecach, w BBC, odezwy do polityków wolnego świata. Szmul czuł się coraz bardziej osaczony. Gdy nie doszło do proponowanej przez niego wielkiej manifestacji w Londynie przeciwko rzeziom Żydów w Polsce, powiedział: „Małuczcy politykierzy kłócą się między sobą o palmę pierwszeństwa”.

On żył tragedią rodaków w okupowanej Polsce, przeżywał to jakby był nie w wolnym, stosunkowo bezpiecznym i sytym Londynie, ale tu, w getcie.

Getto dogorywało

Gdy targnął się na życie i zmarł 12 V 1943 r. w Szpitalu St. Mary, bojownicy Żydowskiej Organizacji Bojowej, którzy podjęli desperacką walkę (powstanie w getcie wybuchło 19 IV 1943 r., wegetowało tu jeszcze ok. 60 tys. ludzi), od czterech dni nie żyli – popełnili samobójstwo. 16 maja na znak „zwycięstwa” z rozkazu Jürgena Stroopa wysadzono Wielką Synagogę.

Ciało Zygielbojma poddano kremacji. W domu pogrzebowym przemówiło 10 osób, w tym przewodniczący Rady Narodowej, prof. Stanisław Grabski, Ignacy Schwarzbart, dr praw Uniwersytetu Jagiellońskiego, wybrany w 1938 r. na posła do Sejmu polskiego, wielokrotny delegat na światowe kongresy Żydów: „Czyn Jego był krokiem krańcowego pesymizmu, apel Jego był promieniem optymizmu na przekór rzeczywistości” – mówił.

Gdyby nie hojność anonimowego ofiarodawcy, który wniósł stosowną opłatę za przechowywanie urny z prochami Zygielbojma – nie miałby nawet oznakowanego miejsca wiecznego spoczynku.

W listopadzie 1961 r. odbył się manifestacyjny pogrzeb w Nowym Jorku – urnę złożono na New Mont Carmel, na cmentarzu Kręgu Robotniczego. Uroczystości zorganizowali przyjaciele z Bundu.

Ale przecież on powinien spocząć w Warszawie, tam gdzie dokonała się zagłada, gdzie zginęły jego żona i dwoje dzieci. W testamencie zapisał: „Miejsce moje jest wśród grobów masowych w kraju”, w tej Warszawie, w której – wg spisu sporządzonego jesienią 1939 r. na żądanie Niemców – było 361 600 Żydów.

Oprac. ANDRZEJ RUCHAŁOWSKI
(Na podst. książki Aleksandra Rowińskiego: „Zygielbojma śmierć i życie”. Oficyna Literatów „Rój”, Warszawa 2000)



TEKST BARBARA PAUCHERT
ZDJĘCIA STUDIO PRZEKRÓJ

TEN OSTATNI WIECZÓR

**Piją do upadłego,
robią głupie kawały
i opowiadają
świńskie dowcipy.
Wieczór kawalerski
to dla mężczyzny
ostatnia okazja,
żeby zachować
się jak chłopiec.**

Skąd się wzięła tradycja wieczoru kawalerskiego? Dokładnie nie wiadomo. W literaturze etnograficznej znajdziemy tylko lakoniczne wzmianki. Pan młody miał przyjmować u siebie kawalerów, dla których przygotowywał poczęstunek i wódkę. W wielu regionach Polski o wieczorze kawalerskim w ogóle nie słyszano. Tymczasem zawsze i wszędzie urządzano wieczory panieńskie. Czyżby mężczyźni i tego pozazdrościli kobietom?

Niespodziewany koniec zabawy

Kilku facetów jedzie do Las Vegas, by uczcić pożegnanie z kawalerskim stanem jednego z nich. Wynajmują pokój w luksusowym hotelu. Piją alkohol, rozmawiają i wygłupiają się. Nagle pojawia się atrakcyjna dziewczyna. Niespodzianka dla przyszłego małżonka. I robi się gorąco.

Każdy, kto widział amerykańską czarną komedię „Gorzej być nie może”, wie, że konsekwencje tego kawalerskiego wieczoru są tragiczne. Dziewczyna podczas seksualnych zabaw w łazience nadziewa się na wystający ze ściany boleć i ginie. Próba ukrycia

zwłok ofiary nieszczęśliwego wypadku prowadzi do sekwencji makabrycznych zbrodni.

„Podczas mocno zakrapianego alkoholem wieczoru kawalerskiego Adrian S. został ugodzony nożem przez swojego znajomego. Między mężczyznami doszło do bójki o przyszłą pannę młodą. Znajomy Adriana S. miał się przyznać, iż od dawna jest w niej zakochany” – czytamy w notatce w lokalnym dzienniku.

Takie męskie porachunki musiały się często zdarzać, skoro etnograf Halina Mielicka, zajmująca się przemianami obyczajowymi w Polsce, tak pisze o przedślubnych wieczorach: „Kawalerowie spotykają się z panem młodym i piją wódkę tak, że dochodzi nawet do bójek”.

Zawodzą rzewnienie

Władysław Kopaliński w „Słowniku mitów i tradycji kultury” napisał: „Wieczór kawalerski – zabawa w gronie męskim u pana młodego w wigilię ślubu”. Nieco więcej przeczytamy o „wieczorze dziewiczym”. Było to przyjęcie urządzane dla koleżanek przez pannę młodą w przeddzień ślubu, podczas którego splatano wianek i strojono weselną różgę.

A tak opisuje ostatni wieczór przed ślubem Zygmunt Gloger w „Roku polskim”: „Obchodzony bywa uroczystość w domu panny młodej, a jest dziwnie poetycznym. Drużny panny młodej zbierają się wszystkie jakby dla pożegnania jej stanu panieńskiego i wiją wieniec ślubny ze śpiewaniem odpowiednich pieśni, a także tak zwaną »różgę weselną«, czyli »jabłonkę«, na której wieniec panny młodej się wiesza. Gdy panna młoda rozsypuje zieloną rutę na biały obrus – towarzyszy jej zawodzą rzewnienie”.

Podczas dziewiczego wieczoru, zwanego też czasem dobrą nocką, pustotką albo zapustami weselnymi panny zajmowały się także „dekoracją izby, robieniem klusek i przygotowaniem przypiek dla drużbów”. W XIX i na początku XX w. zgromadzona na

wieczorze młodzież „odbywała uroczyste obnoszenie, kupno i pożegnanie wianka panieńskiego oraz obrzędowe rozpleciny”. „Warkocz jako ozdoba głowy dziewiczej, równie jak wieniec jest godłem krasy panieńskiej. Mężatka nie mogła już nosić wieńca, ani trefić włosów. Przy oczepinach ucinano jej warkocz, który do ślubu rozplatano po raz ostatni” – pisze Gloger.

Kiedy pan młody dobił targu i wykupił wianek, następowało tradycyjne zapicie – wódeczką oczywiście. Zresztą flaszka wódki za pazuchą kawalera to nieodłączny element weselnych godów.

Tradycja spotkań męskich jest znacznie późniejsza, chociaż z pewnością sięga ona XIX w. Teksty etnograficzne wspominają na przykład o zobowiązaniu pana młodego do zapewnienia alkoholu i poczęstunku dla kawa-

lerów w wieczór poprzedzający wesele. Wspomina się także o gołeniu pana młodego „tępą lub drewnianą brzytwą ku ucieście zgromadzonych”.

– Pokładziny, rozpleciny, oczepiny. Wszystkie te weselne obrzędy miały sens rytualny i składały się na strukturę obrzędu przejścia – tłumaczy etnograf prof. Czesław Robotycki z Uniwersytetu Jagiellońskiego. – Niestety, jeśli chodzi o obyczajowość rodzinną, to właśnie obchody weselne uległy współcześnie największemu rozkładowi.

Z kolegami i Panem Bogiem

Józef Szajca, rolnik spod Krakowa, ma prawie 80 lat. Gdy się żenił, był dojrzałym mężczyzną.

– Miałem 30 lat, podczas gdy moja małżonka dopiero co skończyła 18. Wszystko odbywało się





po bożemu. Takie czasy, że inaczej być nie mogło. Były swaty i zaloty. Potem się mojej Marysi oświadczyłem, a ona mnie przyjęła – opowiada pan Józef. – A wieczór kawalerski był dla wszystkich dorosłych mężczyzn we wsi. Impreza zaczęła się wieczorem, a skończyła nad ranem. Piło się bimberek i śpiewało. Był też wieczór panieński. Kobiety nie piły jednak alkoholu. Przygotowywały jedzenie, stroiły pokoje weselne i śpiewały smutne pieśni o tym, że panna młoda musi się rozstać z domem rodzinnym.

W mieście takie wieczory miały w tamtych czasach charakter nieco bardziej kameralny. Pan Adam, prawnik, dziś 70-latek, pochodzi ze Lwowa. Ostatnie kawa-

lerskie godziny spędził z kolegami w restauracji „Kolorowa”. Pamięta, że bardziej doświadczeni i już żonaci mężczyźni udzielili mu wielu cennych porad. Jedną złą myśl pomogła mu przetrwać najtrudniejsze chwile: „Pamiętaj, że baba się musi wygadać, zawsze jej przytakuj, a rób swoje”.

Z blondyną w łóżku

Na początku lat 80. wieczory kawalerskie obchodziło się przy „Stołowej” kupionej na mecie albo tanim winie. Zbyszek, obecnie akwizytor, pamięta, że miał następnego dnia straszliwego kaca i w urzędzie stanu cywilnego nie potrafił się skupić.

– Koledzy tak mnie nastraszyli, że przez cały czas zastanawia-

łem się, czy nie popełniam życiowej pomyłki. Powtarzałem bez przekonania ślubne formułki i stało się. Jesteśmy małżeństwem do dziś i wciąż się kochamy.

Wieczór kawalerski Marka, robotnika Huty im. Sendzimira – jak się potem okazało – nie poprzedził wcale wesela.

– Nie zdążyłem na własny ślub. Spałem nieprzytomny w hotelu robotniczym, gdzie mieszkał mój kumpel i gdzie odbywała się impreza. Moja narzeczona dostała szału. Odprawiła rodzinę, która zjechała na wesele z drugiego końca Polski i zaczęła mnie szukać. I znalazła. I to nie samego, bo nie wiadomo, skąd w moim łóżku spała jakaś cypata blondyna. Dostałem solidnie po gębę

i do dziś jestem szczęśliwym kawalerem.

Test na zaufanie

Bartek, 36-letni polonista, zenił się na ostatnim roku studiów. Impreza, tylko w męskim gronie, odbyła się w majowy wieczór 1988 r. w krakowskim akademiku.

– Renia była w ciąży i dlatego zdecydowaliśmy się przyspieszyć od dawna planowany ślub. Nie miałem wątpliwości, że to moje dziecko, ale tego pamiętnego dnia miało się okazać, że kierowała mną zwykła chłopięca naiwność. Wyszła na jaw straszliwa prawda. Moi kumple, także mój najlepszy przyjaciel, po kolei padali przede mną na kolana i przepaszali za sypianie z mo-

ją przyszłą żoną. „Ostatni raz przeleciałem ją w ubiegły wtorek”, „a ja, stary, spałem z nią jakieś dwa miesiące temu” – wyznawali po kolei. W końcu, po wypiciu kolejnej półlitrowki, doszli do wniosku, że każdy z nich jest po trosze ojcem tego dziecka, które nosiła w brzuchu moja ukochana narzeczona. „Niestety, padło na ciebie. Ty będziesz musiał wychować tego dzieciaka na ludzi” – przekonywali z powagą godną pokerzysty. Potem z całego serca mi współczuli i obiecali wspierać duchowo w trudnych małżeńskich chwilach. Byłem zdruzgotany. Mój świat legł w gruzach. Postanowiłem się zabić i to natychmiast. Wykorzystałem chwilę zamieszania w pokoju i znalazłem się na parapecie okna na szóstym piętrze. Zawróciło mi się w głowie. Usłyszałem „trzymaj go!” i wylądowałem na łóżku. Koledzy nieco przetrzeźwiali. „Coś ty, stary, odbiło ci? Przecież to były tylko żarty! To był pomysł Renaty. Taki test na zaufanie” – mówili jeden przez drugiego. Nie zaliczyłem testu. Najbardziej było mi potem wstyd przed Renią. Wybaczyła mi wprawdzie, ale zawsze, gdy jest na mnie zła, to przypomina mi ten nieszczęsny wieczór.

Zdziczenie obyczajów

Lola to artystyczny pseudonim Lucyny, tancerki i striptizerki z nocnego lokalu na Śląsku. Lola od trzech lat rozbiera się na wieczorach kawalerskich. Twierdzi, że nigdy nie przespała się z żadnym z przyszłych panów młodych. Lola nie chce wyznać, ile bierze za występ. – To zależy od tego, czy ma być szybko, czy długo oraz od warunków, w jakich muszę pracować. Lola ma swojego agenta i to on załatwia wszystkie formalności.

Striptizerkę wynajmują częściej biznesmeni i politycy, chociaż Lola bywała także w akademikach, a raz nawet w zakładzie mechaniki pojazdowej.

Prof. Robotycki uważa, że zwyczaj, jak zapraszanie na wieczory kawalerskie tancerek i striptize-

rek to konsekwencja XIX-wiecznej mieszczańskiej hipokryzji.

Inni widzą w tej modzie kolejny przykład na amerykańizację naszego życia, banalizację i zdziczenie obyczajów.

– W zapraszaniu na wieczór kawalerski striptizerki czy wręcz prostytutki jest absurdalne z punktu widzenia tego, co ma nastąpić dzień po – twierdzi 38-letni Ryszard, archeolog, który zaliczył już dwa małżeństwa i tyleż własnych wieczorów kawalerskich. – Po latach pożycia może być różnie, ale przecież ślub bierze się z miłości do partnerki, a więc zdradzanie jej na dzień przed zawarciem małżeństwa jest zaprzeczeniem idei małżeństwa.

Pohasać w basenie

Wiele nocnych klubów oraz agencji towarzyskich oferuje organizację wieczorów kawalerskich.

– Panowie mają do wyboru mnóstwo atrakcji. Od zwykłego striptizu, tańca przy rurce, po zabawy z panienkami w basenie i saunie – reklamuje swoje usługi właściciel poznańskiego lokalu. Nie narzeka na brak klientów. – Częściej z naszych propozycji korzystają ludzie stosunkowo młodzi i zamożni, chociaż ostatnio organizowałem wieczór kawalerski dla 67-letniego pana. Hasał nago w basenie jak niejeden młodzieniaszek.

Na męskie wieczory przygotowuje się specjalne drinki (bardzo mocne), których nazwy mówią same za siebie. Największym powodzeniem cieszą się: „pożegnanie wolności”, „zakazane rewiry” i „ptaszek na uwięzi”.

W klubie nocnym na Śląsku kawalerskie wieczory to niemal tradycja lokalu.

– Gdy widzę, ilu jest chętnych do żeniaczki, to przestaję wierzyć w statystyki – mówi Krystian T., właściciel klubu. Twierdzi, że wieczory kawalerskie odbywają się u niego przynajmniej raz w tygodniu. Panom po wypiciu dużej ilości alkoholu krew uderza do głowy i są gotowi wydać naprawdę sporo na zabawy z panienkami.

– Mężczyzna musi się przed ślubem porządnie wyszaleć. Ta-

ki wieczór jest ostatnią okazją – przekonuje Krystian T. Choć zaraz przyznaje, że wielu panów wraca do niego już wkrótce po wstąpieniu w związek małżeński.

Womitalna inicjacja

Krzysiek, student prawa, od trzech miesięcy szczęśliwy mąż Beaty, uważa, że jakakolwiek kobieta na wieczorze kawalerskim to zabijanie tradycji.

– Dla mnie to typowo męskie spotkanie. Po prostu pożegnanie z kumplami. Chodzi o to, by uchlać się do spodu wyłącznie w męskim gronie. Wtedy ma to sens inicjacyjny – mówi.

– Indiancy chłopcy w Wirginii, gdy stają się mężczyznami, otrzymują środki na wymioty, aby mogli pozbyć się relikwów przeszłości. Jak się facet porządnie spię na wieczorze kawalerskim i potem rzyga – jest podobnie. Oczyszczony z grzechów młodości może bez obciążeń wstąpić w związek małżeński.

Beata również uważa, że takie przedślubne spotkania mają sens tylko wówczas, gdy spędza się je w gronie przyjaciół tej samej płci.

– Słyszałam, że zamożne kobiety na swoje panieńskie wieczory także zapraszają striptizerów. Moim zdaniem to głupie. Podczas takiego wieczoru powinno być intymnie i swojsko, a tak może być bez żadnych obcych osób. Ja na swój wieczór zaprosiłam na przykład moją babcię, która jest moją wielką przyjaciółką. A tańczącego gołego faceta zawsze mogę sobie pójść pooglądać, także po ślubie.

Koledzy Mirka, teologa, który wkrótce ma poślubić uroczą Kasię, postanowili sami urządzić mu wieczór kawalerski. W prezencie podarowali mu „W poszukiwaniu straconego czasu” Prosta. Żeby łatwiej przeszedł na drugą stronę. ■

Dziękujemy Alanowi J., w którego wieczorze kawalerskim (28.04.2001) mogliśmy uczestniczyć.



HYBRYDOWA TRZUSTKA

Dobra wiadomość dla cukrzyków. W Łodzi trwają prace nad transplantacją komórek trzustki oraz nad wszczepieniem do organizmu kapsułki, która pozwoli uwolnić się od zastrzyków insuliny.

Badania doświadczalne ro-
kują olbrzymie nadzieje –
mówi doc. dr hab. Krzysz-
tof Kuzdak. Od kilku lat
zajmuje się wyspami Langerhan-
sa, miejscem w organizmie,
w którym skupiają się komórki
produkujące insulinę. W Szpitalu
Specjalistycznym im. M. Koperni-
ka w Łodzi, gdzie docent kieruje
Kliniką Chirurgii Endokrynolo-
gicznej, owymi wyspami zajmo-
wano się od trzydziestu lat. Wte-
dy właśnie profesor Kazimierz
Rybiński rozpoczął badania na
psach. Z trzustek zdrowych zwie-
rząt izolował komórki z wysp
Langerhansa, odpowiednio je
opracowywał i wszczepiał psom
chorym na cukrzycę. Wyniki oka-
zały się zaskakująco dobre.

Polimery w obronie

Dziś badania prowadzi się na
szczurach. Do zespołu szpitalne-
go dołączyli naukowcy z war-
szawskiego oddziału PAN, Poli-
techniki Łódzkiej i z włoskiego
Uniwersytetu L'aquila. Efektem
współdziałania jest opracowanie
technologii spłaszczania komó-
rek, które produkują insulinę.

– Nowa metoda – mówi doc-
cent Kuzdak – pozwala na znacz-
ne wydłużenie żywotności komó-
rek. W układzie wrotnym
zwierząt umieszcza się je obec-
nie w polimerowych osłonach
pomysłu naukowców skupio-
nych wokół profesora Janusza
Rosiaka. Te osłony to sukces na
skalę światową. Widzi się w nich

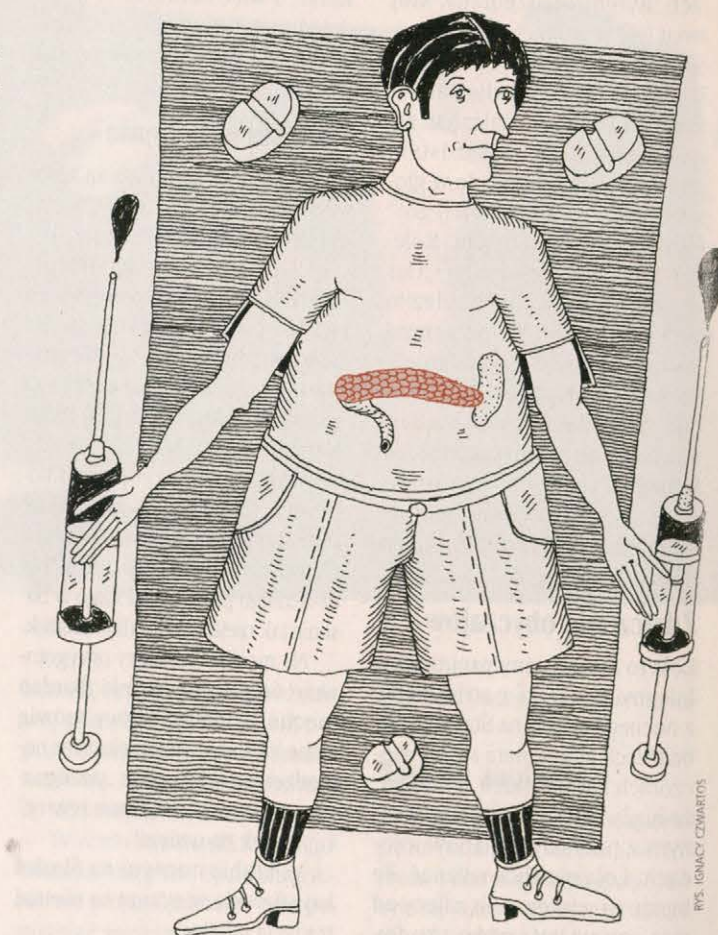
obrońców przeszczepionych ko-
mórek, a nie w drogich lekach
immunosupresyjnych (zwalczą-
jących przeciwciała) podawa-
nych po rozmaitych transplanta-
cjach już do końca życia.

Serce, wątrobę i nerki prze-
szczepia się ludziom od lat.
Trzustki – nie, z uwagi na jej spe-
cyfikę. Oprócz hormonów, takich
jak insulina czy glukagon, ma
w sobie samotrąjące enzymy.
Nie można jej przenieść w całości
z jednego organizmu do drugie-
go. Jeśli już, to z nerką. Takie
operacje już się przeprowadza.

Dzięki doświadczeniom na
zwierzętach udało się jednak
obejść tę przeszkodę. Zamiast ca-
łej zdrowej trzustki chirurg może
przenieść do biorcy tylko jej...
elementy. Na dodatek robi to za
pomocą laparoskopu. Kiedy ko-
mórki wysp Langerhansa będą
przenoszone nie od zwierzęcia
do zwierzęcia, ale od człowieka
albo zwierzęcia do człowieka, na
razie nie wiadomo. Świat nauko-
wy ruszył do wyścigu. Bliscy
zwycięstwa są podobno Japoń-
czycy, choć i my nie zostajemy
w tyle. Badania laboratoryjne ma-
my za sobą. Teraz należy przy-
mierzyć się do badań klinicznych,
które zajmą co najmniej trzy lata.
Jakie przyniosą wyniki?

Kapsułka szczęścia

Nadzieje rozbudziła ostatnio jesz-
cze jedna wiadomość. Również
w Łodzi podjęto próbę wyzwolenia
diabetyków od codziennego



klucia i stresów związanych z te-
rapią insulinową. Kapsułki wpro-
wadzane do organizmu – także
metodą laparoskopową – mają za-
pewnić chorym stały dopływ hor-
monu. I to przez rok, a może na-
wet trochę dłużej.

– Już na etapie badań ekspe-
rymentalnych spostrzegliśmy
rzecz niebywałą. Oto komórki
wydzielnicze nagromadzone

przez nas i zamknięte w kapsuł-
kach o średnicy trzech milime-
trów potrafią się w nich samo-
dzielnie namnażać. W tym wła-
śnie upatrujemy szansy dłuższe-
go ich funkcjonowania – mówi
dr Marek Kołodziejczyk z Pra-
cowni Chirurgii Doświadczalnej
przy Klinice Chirurgii Endokry-
nologicznej i Ogólnej Akademii
Medycznej.

CUKRZYCA

Choroba przewlekła. Wynika z utraty zdolności do wykorzystania źródeł energii dostarczanej organizmowi w postaci pokarmu. Charakteryzuje ją całkowity lub względny niedobór insuliny. Hormonu, dzięki któremu cukier znajdujący się we krwi trafia do poszczególnych komórek, gdzie służy jako „paliwo” podtrzymujące procesy życiowe.

Łódzka Pracownia – wspólnie z Kliniką Chirurgii Transplantologicznej AM w Warszawie oraz Centrum Doskonalenia i Zastosowania Laserów i Biomateriałów w Medycynie – budową hybrydowej trzustki zajmuje się od pięciu lat. Za następne pięć zapowiada zakończenie badań i wprowadzenie kapsułek na rynek. Być może część z 800 tys. Polaków zaatakowanych cukrzycą młodzieńczą (typu I) uchroni się wtedy przed uciążliwością wstrzykiwania sobie insuliny?

W skali globu

Światowa Organizacja Zdrowia prognozuje, że liczba chorych na cukrzycę wzrośnie z obecnych 143 mln do 300 mln w roku 2025. To problem globalny. Tym większy, że choroba pociąga za sobą uszkodzenia i niewydolność innych narządów – serca, nerek, siatkówki oka, naczyń krwionośnych i nerwów obwodowych (np. zaburzenia czucia). Skraca też życie, średnio o dziesięć lat.

Wzrost zachorowań może mieć źródło w dziedziczności i w czynnikach środowiskowych: nieprawidłowej diecie, otyłości, siedzącym trybie życia. Także starzeniu się społeczeństw w krajach wysoko rozwiniętych, chociaż ludzi po 35. roku życia dotyka cukrzyca związana nie z niedoborem insuliny w trzustce (typ 1), ale ra-

czej z zaburzeniami metaboli-
zmu, niezdolnością wytwarza-
nia wystarczającej ilości hormo-
nu (typ 2).

– Prognozy te są dla naukow-
ców wyzwaniem. Zwłaszcza że
iniekcje czy podawanie leków po-
budzających insulinę są wciąż
niedoskonałe. Dlatego wzmożono
poszukiwanie nowych terapii.
A do tych, prócz wszczepiania
kapsuł czy transplantacji elemen-
tów trzustki, zaliczam np. stoso-
wanie insuliny wziewnej, przez
usta. Jej działanie po raz pierw-
szy zaprezentowano parę mie-
sięcy temu na Kongresie Amerykań-
skiego Towarzystwa Diabetolo-
gicznego w San Antonio. Terapia
ma już za sobą badania kliniczne
w Ameryce, teraz będzie się je
prowadzić w Europie – mówi
prof. Jacek Sieradzki, kierujący
Katedrą i Kliniką Metaboliczną
CM Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Naukowcy intensywnie pracu-
ją nad konstrukcją sztucznych
trzustek, ale również i takich in-
sulin, które potrafią najlepiej na-
śladować naturalną trzustkę czło-
wieka. Sukcesem więc okrzyknię-
to w minionym roku tak zwane
analogi bezszczytowe, czyli nową
insulinę, która ma długotrwałą
i stałą poziom działania. Najwię-
cej nadziei wiąże się jednak z te-
rapią genową...

W którym genie?

– Terapia ta może mieć decydują-
cy wpływ nawet na to, nad czym
tu, w Łodzi, aktualnie pracujemy
– zauważa docent Kuzdak. Zda-
niem profesora Sieradzkiego naj-
ważniejsze jest znalezienie genu
odpowiedzialnego za cukrzycę, co
nie jest proste, zważywszy, że
dwa zespoły skupione nad rozszy-
frowaniem ludzkiego genomu
różnią się w jego ocenie. – Stan-
ford University w Kalifornii i Har-
vard University w Bostonie, prze-
dujące w badaniach nad cukrzycą,
nie ustają jednak w identyfikacji
genów odpowiedzialnych za tę
chorobę – podkreśla profesor.

Nadzieja jest. Pozostaje jednak
czekanie.

TERESA BĘTKOWSKA

TO I KOWO



DZIECKO WOLI, GDY MAMĘ BOLI

Stosowanie podczas poro-
du środków uśmierzają-
cych ból naraża kobietę na
pogorszenie kontaktu
z dzieckiem. Do takiego
wniosku prowadzą bada-
nia, które wykonali specja-
liści z Instytutu Karolinska
w Sztokholmie. Stwierdzili

oni, że leki znieczulające utrudniają karmienie piersią po porodzie. Dotąd
było wiadomo, że środki takie negatywnie wpływają na kobietę. Teraz
okazało się, że działają źle także na dziecko. Badacze zarejestrowali na
video zachowanie 28 noworodków. Matki 18 z nich nie brały specyfików
znieczulających i ich dzieci zachowywały się zupełnie normalnie. Nato-
miast większość dzieci z drugiej grupy miała kłopoty z przystąpieniem do
pierwszego karmienia piersią. Anna-Berit Ransjö-Arvidson z Instytutu Ka-
rolinska przypuszcza, że środki przeciwbólowe wprowadzają noworod-
ki w stan odrętwienia.

OBRONI PRZED RAKIEM?

Zmniejszyć zachorowania na raka może wkrótce upowszechnienie środ-
ka wspomagającego działania obronne organizmu. Ochronę ma zapew-
nić zażywanie jednej pigułki tygodniowo. Specyfik o nazwie oltipraz jest
w fazie testów. Pobudza on organizm do produkcji enzymu, który
neutralizuje działanie substancji rakotwórczych. Thomas Kensler z Uni-
wersytetu Johna Hopkinsa w stanie Maryland (USA) przystąpił do prób
z oltiprazem w Chinach, gdzie ok. 10 proc. dorosłych umiera na raka
wątrobę. Chorobę wywołuje głównie aflatoksyna, która występuje
w pleśni porastającej ryż i kaszę. Kensler podawał oltipraz raz w tygo-
dniu przez dwa miesiące grupie chińskich ochotników. Okazało się, że
w ich moczu ilość wydalanej aflatoksyny wzrosła przeszło dwukrotnie
w porównaniu z grupą kontrolną, której podawano placebo. Przypuszcza
się, że oltipraz może być skuteczny również w walce z innymi no-
wotworami. W Uniwersytecie Północno-Zachodnim (stan Illinois) prze-
prowadzone zostaną badania mające sprawdzić, czy ów środek może
chronić palaczy przed rakiem płuc.

SENNE ZGRZYTANIE

Niektórzy ludzie podczas snu zgrzytają zębami. Co najmniej raz w tygodniu
zdarza się to ponad 8 proc. – wynika z międzynarodowych badań przepra-
wadzonych w Niemczech, Wielkiej Brytanii i Włoszech. Senne zgrzytanie
bywa tak zgubne w skutkach, że połowa osób nim dotkniętych odczuwa
bólę szczęki, a nawet ponosi straty w użębieniu wymagające wizyty u den-
tysty. Przyczyny tej dolegliwości nie są znane, ale wiadomo, że występuje
ona u ludzi, którzy w znacznie większym stopniu niż inni ulegają stresom,
miewają stany lękowe lub depresję, palą, nadużywają kawy lub alkoholu.
Niezależnie od kłopotów z zębami, u zgrzytających przez sen częściej
występują poranne bóle głowy, chrapanie i szczególnie groźny bezdech,
czyli czasowe zatrzymanie oddechu.

(LP)



TEKST MARTA SIKORSKA • RYSUNKI KAMIL TARGOSZ

WCZASY w Norwegii

**Niby-norweskie: „Jeg er polski student, selge bilder”
znaczy: „Jestem polskim studentem, sprzedaję obrazki”.**

Norwegia kojarzy się z fiordami, ale nawet ich nie widziałam. Oglądałam białe domki na wysokich wzgórzach i osiedla jednakowych bloków. Męczyły mnie ogromne odległości oraz ciągły brak pieniędzy.

Bardzo chciałam tam pojechać. Mama porozmawiała ze znajomym, którego syn organizował wyjazdy. Miałam dwa wyjścia: albo wycieczka z limitem 200 koron

norweskich (około 100 zł) dziennie, albo praca – nielegalny w Norwegii handel domokrażny obrazkami. Wybrałam drugie. Aby spędzić wakacje w kraju, gdzie piwo kosztuje około 8, a paczka papierosów blisko 30 zł, trzeba zarabiać.

Mieliśmy udawać studentów-turystów oferujących rzekomo własne szkice ołówkowe. W rzeczywistości martwe natury, króliczki i jelenie na rykowisku były ma-

sową produkcją kserograficzną. Trzeba ich było sprzedać jak najwięcej, a z uzyskanej kwoty oddać ustalony wcześniej procent na wydatki, benzynę, noclegi i działkę dla Szeffa oraz jego zwierzchnika, Mafijnego Bossa. Obrazek kosztował od 100 do 150 koron (50–75 zł). Ja sprzedawałam najmniej. Rekordziści dochodzili do 15 obrazków dziennie. Aby uniknąć pytań norweskiej policji, nie wolno było

nosić przy sobie pieniędzy z utargu. Szeff ukrywał zapasy obrazków w lesie, pod łóżkiem albo w innych zakamarkach. Przylapanie na sprzedaży groziło natychmiastową deportacją.

Rozpoznanie i praca

Bohomazy produkowano w Szwecji, w drukarni współpracującej z Mafijnym Bossem. Po przekroczeniu granicy szwedzko-norweskiej nie zatrzymaliśmy się w przygranicznym Fredrikstad. Okazało się, że Boss do „rejonizacji” terenu wyznaczył inną grupę. W tym czasie w Skandynawii pracowało dziesięć jego ekip. Pierwszego dnia nie poszliśmy do pracy – znaleźliśmy domki letniskowe (po norwesku „hytta”) i odsypialiśmy podróż. Następnego dnia pojechaliśmy do Oslo. Szeff odbierał wskazówki od kolegów, jakie miasta mamy odwiedzić, wypytał o bezpieczeństwo terenu i popyt. Po południu ruszyliśmy na zachód, w stronę Skjen.

Pierwszego dnia, około godz. 20, Szeff zabrał nas z umówionego miejsca. Był załamany: liczył, że dzięki znajomości języków sprzedam więcej niż inni. Norwegowie, o czym niejednokrotnie się przekonałam, doskonale mówią po angielsku i niemiecku, ale na hasło „pictures” od razu zatraskiwali drzwi. Mieszkańcy Skjenu twierdzili, że niedawno odwiedzili ich studenci z Krakowa. Tamci, na szczęście, pokazywali inne obrazki.

Szeff pocieszał, że „robimy po kimś teren”, więc rynek jest nasycony. Tak było do końca wyjazdu – jeśli ktoś nie chciał pracować, twierdził, że widział obrazki w kilku domach. Czasem okazywało się to prawdą.

Mało kto wierzył w ich autentyczność, chyba że podrasowało się kopię ołówkiem. Sprzedawałam dziennie dwa dzieła i dawałam sobie spokój. Szeff usiłował mnie umotywować do pracy: rano wizyta w supermarkecie, pożyczka u Szeffa, potem popołudniowa „rejonizacja”, czyli objazd po osiedlach i rozdzielanie terenu między członków grupy. O tym, kto pierwszy ruszy na „rejon”, decydował przypadek. Reklamówki z obrazkami zawierały zestaw podstawo-

wych „motywow” dla klientów plus plastikowa torba z kopiami do uzupełniania, bo czasem szedł np. tylko widoczek z kaczkami.

Koledzy i koleżanki

Pako w podróży wydał się typem spod ciemnej gwiazdy: na totalnym kacu, w nowiutkim dresie, złoty sygnet. Zauważyłam ten szczególny błysk w oku i nonszalancję, z jaką kojarzyłam dotąd jedynie bohaterów powieści Londona. Im bliżej go poznawałam, tym częściej namawiałam do pójścia na studia. Śmia-



tyką, szybko zajął się deprawacją i tak nie najświętszej Ali. Był jeszcze 24-letni Chmurka, powolny, wiecznie gubiący drogę. Baliśmy się, że nie ma go w umówionym miejscu, bo zgarnęła go policja. Prostuduszny wielkolud, sprzedający czasem więcej obrazków niż Pako, wszystkie zarobione pieniądze przeznaczał na wydatki Mony, gdyż zadurzył się w niej i w rezultacie wrócił do kraju ze sporym długiem u Szeffa. Wieść niesie, że teraz jako wiecznie kłócąca się para dalej sprzedają obrazki. Ostatnio w Szwajcarii.

You selling something – Sprzedajesz coś?

Pracowaliśmy po południu, gdy Norwegowie wracali z pracy. Wiele osób chciało, by namalować im portret. Brałam zdjęcie i zaliczkę, składając obietnicę, której nigdy nie dotrzymałam. Nie umiem rysować.

Wstydyłam się obrazków, wstydyłam się moich poprzedników, o których Norwegowie opowiadali z przekąsem, nawet nie starając się rozumieć, czemu tylu nielegalnych sprzedawców puka do ich bogatych drzwi. Niektórzy śmiali się z nas i nie wierzyli w „jeg er polski student, selge bilder”. Mówili, że przybysze zmieniają mentalność ich kraju: coraz rzadziej spotyka się domy z przyjaźnie uchylonymi drzwiami, a mieszkańcy z wyrzutem pytają: „You selling something?”.

Czasem w ogóle nie przyznają się do znajomości języków obcych. Są niezwykle wyczuleni na kłamstwo; gdy odkryją, że ktoś nie mówi prawdy, stają się zdawkowi, chłodni i natychmiast zamykają się w sobie.

Najczęściej zagadywałam na neutralne tematy – gdzie mogę znaleźć najbliższe muzeum? jak dotrzeć do punktu widokowego? jaka jest historia tego zabytku? Obrazki kupowali z litości, kiedy mnie lepiej poznali. Pewna starsza pani kupiła obrazek po wyciągnięciu ze mnie historii mego „ubarwionego” życia. Przyjemnie było lawirować na granicy kompromitacji i wymyślać nowy życiorys. W Stavanger udawałam Austriaczkę

mi się w twarz. Mając 30 lat, świadomie wybierałam życie awanturnika. Utrzymywała go starsza od niego kobieta – księgowa. Gdy dzwoniła na komórkę, przypominał jej, by mu kupowała „Naszą Legię” – kochał tę drużynę.

Jedna z dziewcząt, 19-letnia Mona, miała skończone cztery klasy podstawówki. W „państwach-miastach” na literę „L” chętnie wpisywała Laponię, natomiast pod „I” pisała „Icelandia”, co czyniło ją obiektem drwin. Przyjaciółka Mony, 17-letnia Ala, była już „na obrazkach” wielokrotnie. Z rozmów wynikało, że rodzice nie bardzo się nią interesują, więc rzadko bywała w domu.

Najczęściej „na rejon” chodziłam z Michałem – obsesyjnie zainteresowany ero-



TROPY NA MAPIE

1. **ELBLĄG** – zupełny zjazd z trasy, aby zabrać jedną osobę
2. **GDYNIA** – odpływamy
3. **YSTADT** – Szwecja
4. **DRUKARNIA MAFIJNEGO BOSSA** – gdzieś w głębi Szwecji
5. **FREDRIKSTADT** – tu nie „rejonizujemy”
6. **SKJEN** – pierwszy rejon i pierwsza wpadka w ręce policji
7. **KRAGRØ** – najpopularniejsza miejscowość wypoczynkowa
8. **ARENDAL** – piękny most i napisy „Arendal Ponk”
9. **DRANGEDAL** – każdy wam uprzejmie powie, gdzie mieszka jedyny Polak – Marcel, organista w tutejszej parafii.
10. **GRIMSTADT**
11. **PRZELOT DO STAVANGER** (całe dolne wybrzeże)
12. **„SOJA”** pod Stavanger (wspaniała baza u Anne-Karin)
13. **EGERSUND** – feralna łapanka policyjna – areszt (właściwie koniec)
14. **KRISTIANSAND** – „Polish russian mafia” płynie do Danii
15. **DANIA** – schowali mnie, więc brak orientacji w terenie
16. **KOPENHAGA** – Most do Malmö
17. **PROM Z MALMÖ DO GDYNI**

przed, jak się okazało, nauczycielem niemieckiego. Jeżeli sprzedaż obrazków gwałtownie spadała, zmienialiśmy okolicę i organizowaliśmy kilkugodzinny „przełot” do innego miasta (Skjen – Arendal – Stavanger były podstawowymi bazami).

Nowe dresy

Z północy, z okolic Bergen, wracał bus „Młodego”. Wydawali nam się ludźmi sukcesu. Ahmed, Nimfa i Mrówka za zarobione pieniądze kupili sprzęt grający, nowe dresy i adidasy (niektórzy zawieźli do domu 40 tys. zł). Dla utrzymania rygoru do grupy doszłusował szwagier Szeffa, milczący i tajemniczy Płomyk. Razem z Pako stworzyli silny zespół, mający swoje tajemnice, czasami dzielone ze mną. Potrzebowali mnie, bo załatwiałam kemping, odpierałam ataki policji i za papierosy udzielałam lekcji angielskiego.

Płomyk był w Skandynawii już 10 lat. Wydalali go z Finlandii jednym promem, to wracał następnym. Podążał za nim list

gończy. Sprzedawał obrazki bardzo dobrze i udzielał nam lekcji. Po kilku dniach zapomnieli się o niego koledzy – Szatan i Fazi. W nocy przyjechali „odbić” Płomyka. Zajechali z piskiem opon pod nasz domek, otworzyły się drzwi i usłyszeliśmy piosenki z Piwnicy pod Baranami. To jedno z najbardziej surrealnych doświadczeń wyjazdu – „obrazkowi mafiosi” i poezja śpiewana.

Mieli swoje sprawy i często pod pozorem wyjazdu na ryby jeździli zaprowadzić porządek w innych grupach. Płomyk słynął z bezwzględnego egzekwowania postuśzeństwa.

Marketing bezpośredni

Ludzie z grupy nie byli nowicuszami. Jeździli z obrazkami po całej Europie przez okrągły rok. Interesowało ich zarabianie pieniędzy i dyskoteki. Wieczorami Pako i Szeff siadywali nad atlasem. Snuli opowieści niczym z korsarskich wypraw. Pako opowiadał, jak handlował papierosami na zachodniej granicy, przemycił spirytus z Buga czy sie-

dział w szpitalu psychiatrycznym. Rano organizował mityngi „marketingu bezpośredniego” i razem wołaliśmy dla motywacji: „nie sprzedam mniej niż 10 obrazków!”. Jego ulubionym powiedzonkiem było wykrzykiwane z emfazą: „Kochana! Pracowałem tam! Huta, stal, kominy, walczą, puf, puf!”.

Raz posądzono naszą grupę o kradzież. Zatrzymał nas patrol dwóch seksownych norweskich policjantek. Sprzedawaliśmy akurat w okolicy, gdzie dokonano kradzieży. Przesłuchiwało nas w naszym samochodzie. Pełniłam rolę tłumacza. Nie wolno było nam porozumiewać się po polsku. Dwójka naszych kolegów sprzedających najbliższe okradzonego domu była już w areszcie. Policjantki szybko znalazły obrazki, ale nie pociągnęło to konsekwencji. Gdy miano nas przewieźć do komisariatu, okazało się, że złapano prawdziwych złodziei – Norwegów. Ruszyliśmy dalej.

Ostatnie chwile

W Egersund Płomyk przydzielał teren. Dostałam osiedle na wzgórzach. Szybko zniechęciło mnie kilka trzaśnień drzwiami. Miasto było kompletnie „przeczesaane”. Znow zaczęło padać. Pod koniec lata zdarzało się cały dzień chodzić w deszczu. Zapukałam do jednego z setek podobnych sobie domków i zostałam wpuszczona do środka. Akurat odbywała się sobotnia impreza. Przy piwie i głośnej muzyce spędziłam resztę popołudnia.

Gospodarz wyjaśnił, że moja działalność jest wyjątkowo sprzeczna z prawem, ale on sam był z nim na bakier – za urządzenie głośnych imprez dostawał grzywny, ale unikał ich płacenia. Sprzedałam mu sześć obrazków (mój rekord). Pożegnał mnie, radząc, których domów w okolicy powinien unikać (donosiciele). Wymieniliśmy e-maile. Gdy zajrzałam jeszcze do paru domów, w których postraszone mnie policją, trafiłam na nasz bus: Płomyk i Chmurka dostali „deporty” za nielegalną pracę i za ciężką na nich wcześniej zarzutę.

Norwegowie po prostu mieli dość handlarzy. Czy trzeba się im dziwić, jeśli do norweskiego domu trzy razy dziennie pukali nielegalni domokrażcy: raz Hindus z Biblią, kiedy indziej Litwini z encyklopediami, a wieczorem Polacy z obrazkami?

Zakaz wjazdu do całej Skandynawii na dwa lata dostał też Szeff, który nieopatrznie pojechał po chłopców na komisariat. Wieczorem pakowanie i nara-

da – jeżeli ktoś chciał zostać, Szeff kilkoma telefonami załatwił „podłączenie” do innych grup. Tylko ja chciałam wracać do kraju.

Deportacja

Policja norweska chciała deportowanych odwiedzić i zapłacić za przejazdy, pod warunkiem powrotu przez Danię. Odradzano mi powrót do kraju. Po wstępnym podliczeniu przejazd kosztowałby 1,2 tys. zł, a to oznaczało spory dług u Szeffa. Schowałam się więc na półce w busie, przykryta kocami. Prawie nie oddychałam i byłam przygotowana na kontrolę. Policjanci w ferworze pożegnań nie spostrzegli mojej nieobecności i nie przeszukali wozu. Gdy wjeżdżaliśmy na prom, a policjanci wręczali nasze bilety celnikom, słyszałam okrzyki „polish-russian mafia”.

Na pokładzie okazało się, że bez przeszkód mogę wyslizgnąć się z wozu, umyć i przespać owinięta we własny śpiwór. Policjanci spali w kajutach. Rano znowu zapakowałam się do „schronu” i oglądałam widoki przez skrawek szyby.

Bilans wyjazdu: kupiłam mały plecak (60 zł), bluzkę, spódnice i miałam u Szeffa 300 zł długu. Jeden z kolegów miał 600 zł długu. Pako został okradziony dwa tygodnie potem na promie i stracił wszystko – około 1,5 tys. zł.

PS. Imiona i pseudonimy zostały zmienione.

REMBRANTY

Polscy handlarze nazywają bogate norweskie domy „Rembrantami”. Najbogatsze domy na wsi mają dach porośnięty trawą. W środku panuje dekoracyjne przeładownictwo i kicz: złote ramki na ścianie, a w nich sztuczne kwiaty i abstrakcyjne kompozycje. Zazwyczaj na ścianach wiszą też obrazki „studentów” z Polski. Najlepiej sprzedają się stateczki, kotki albo pieski. Warunkiem dobrej sprzedaży są małe dzieci w domu albo zwierzęta – ktoś, kto ma psa, chce go też mieć na obrazku.

STRUKTURA FIRMY

Mafijny Boss – szef szefów. Pomysłodawca, właściciel i kierujący przedsięwzięciem. Ma sieć informatorów, współpracowników, wynajęte drukarnie, własne samochody, stałe ekipy i bazy wypadowe. Ma też w Szwecji duży dom, gdzie niektóre z jego handlujących ekip śpią za darmo. Jako przykrywkę interesów prowadzi w Polsce piekarnię w jednym z wielkopolskich miasteczek.

Bossowi podlegali „Szeffowie” poszczególnych ekip wyruszających na sprzedaż. Sprzedawcy byli albo stali, albo sezonowi.

W zeszłym sezonie Mafijny Boss miał w trasie około 20 ekip w busach – w Skandynawii, Szwajcarii, Belgii, Holandii i Luksemburgu. Legenda głosi, że kiedyś jeden z busów Bossa trafił do Islandii i ludzie zarobili tam krocie. To było rajskie marzenie wszystkich ekip: pojechać do Islandii i sprzedawać obrazki.



TEKST
MARIA MALATYŃSKA

Błękitny ANIOŁ

Marlena Dietrich – Niemka i Amerykanka, aktorka i supergwiazda filmowa. Piosenkarka przez pół wieku elektryzująca publiczność świata. „Schrypnięty głos”, „najpiękniejsze nogi świata” i „błękitny anioł”. Mit po prostu. Taka Marlena jest i była – nieśmiertelna. A w każdym razie – od początku miała zadatki na nieśmiertelność.

Pomogło jej szczęście i zbieg okoliczności. A może i jej własna zawodowa świadomość oraz determinacja? Czyli genialna umiejętność prowadzenia własnej kariery i wykorzystania na swoją korzyść wszystkiego, co może się zdarzyć.

A może pomogło jej jeszcze coś innego? Choćby to, że od początku uznana została za „cud fotografii”, gdyż dreszcz emocji wywoływały jej „pociągnięte błądźcą kości policzkowe, z boskim bogactwem cieni pod oczami” (Alfred Kerr). Albo to, że bezwzględna i fascynująca jednocześnie – działała niczym „stal i jedwab” (Kenneth Tynan). Choć pewnie nawet i wówczas zauważyć musiano, że niemal od początku była „profesjonalną gwiazdą, profesjonalnym operatorem, scenarzystą, montażystą, projektantem kostiumów, fryzjerem, charakteryzatorem, kompozytorem, producentem i reżyserem” – jak mawiał, zachwycony nią i jej profesjonalizmem, Alfred Hitchcock.

Tak czy inaczej, u samych początków kariery bravurowo wtargnęła do zbiorowej świadomości. A potem istniała w niej długo i wyraziście, bo była, po prostu – urodzona pod szczęśliwą gwiazdą.



FOT. MAGNUM PHOTOS(2)



FOT. EAST NEWS (4)

Miała szczęście, bo odkrył ją modny reżyser, który tak zachwycił się swoim odkryciem, że z pasją Pigmaliona postanowił ulepić ją na swoje własne wyobrażenie gwiazdy. To prawda, że okazała się zbyt szybko Galateą niesforą i nad wyraz samodzielną, co znakomity Joseph von Sternberg, reżyser jej „Błękitnego anioła” i sześciu innych, amerykańskich już filmów – przypłacił wkrótce zdrowiem, karierą i tzw. szczęściem małżeńskim. Ale pewnie tak musiał wyglądać naturalny kierunek wzajemnego docierania się artystycznych wielkości. Zwłaszcza że Marlena od początku wiedziała, kiedy swojego Pigmaliona odrzuci: gdy idealnie ustawi ją w Hollywood.

Miała jeszcze inne szczęście, bo dostała tzw. wielką szansę od historii. I to od tej największej, która jej, Niemce, pozwoliła w czasach wojny założyć mundur amerykański, występować w nim na froncie alianckim, śpiewać tam dla żołnierzy nie niemieckich, a tych „z drugiej strony”, a wszystko dla rzetelnej, głośno manifestowanej potrzeby ideologicznej. Szczęście i tu okazało się nad wyraz wspaniałomyślne. Wszak wykonywała po angielsku wylansowany przez radio niemieckie przebój nieśmiertelny – hymn żołnierzy wszystkich frontów II wojny światowej. I Niemców, i aliantów – „Lili Marlen”.



FOT. SPI INTERNATIONAL POLSKA (3), EX PICTURES

Trzy kolejne zdjęcia to fotosty z filmu „Marlena”. Obraz zrealizowano, kosztem 17,8 mln marek, w koprodukcji niemiecko-włoskiej. Jego reżyserem jest Joseph Vilsmaier („Stalingrad”, „Comedian Harmonists”), a rolę tytułową zagrała Katja Flint. Film opowiada o życiu artystki w latach 1930–1945, na podstawie biografii pióra jej córki Marii Riva. Recenzja filmu w następnym numerze „Przekroju”.



W czasie wojny mogło się wydawać, że w jej postępowaniu jest również potrzeba inna. Choćby ta, by udowodnić całemu światu, że i Niemcy mogą być różni. Jej rodacy nie umieli tego zrozumieć. To dlatego, gdy po zakończeniu wojny w amerykańskim mundurze wróciła do dawnej ojczyzny, by spotkać się z matką – rzesze głodnych i rozczarowanych Niemców uznały ją za zdrajczynię. To pojęcie zmieniało się powoli i dlatego każdy kolejny jej występ w dawnym kraju okazywał się, dopiero po wstępnych protestach współziomków – jednak w końcu artystycznym sukcesem. Niemcy dojrzewali więc do niej powoli. Gdy jednak w 1992 r., po jej śmierci w Paryżu, pochowano ją, zgodnie z jej ostatnią wolą w Berlinie, obok matki, na cmentarzu Schoeneberg – to ta uroczystość stała się dla Niemców niekłamany wydarzeniem narodowym.

Czyją własnością jest gwiazda filmowa? Do kogo należeć powinna artystka o międzynarodowej sławie? Pewnie do nas wszystkich. Czyli do swojej międzynarodówki miłośników sztuki. Ale oto Niemcy postanowili udowodnić, że należy przede wszystkim do nich. Zaczęli się więc krzątać dookoła jej pamięci. Stała się dla nich bezdyskusyjnym symbolem niemieckiej filmowości już wtedy, gdy największe studio w dawnej wytwórni UFA, w Babelsbergu, gdzie pracowała na początku, nazwano jej imieniem. Także i później, gdy np. nowy plac w Berlinie, wokół którego skupione zostały instytucje filmowe, z Centrum Festiwalowym słynnego Berlinale na czele, w budującej się wciąż stolicy Niemiec – nazwano placem Marleny Dietrich.

Ale prawdziwe krzątanie się wokół pamięci gwiazdy wymyślili Niemcy rok temu, gdy zrealizowali i pokazali wysokonakładowy gigant kostiumowy „Marlene”. Film miał premierę w Niemczech w marcu 2000 r. Na naszych ekranach można go oglądać od 27 kwietnia 2001 r. ■



FOT. MAGNUM PHOTOS/33

GOLF W STYLU RETRO

Od kilku lat w samochodowym wzornictwie furorę robi moda retro. Auta w całości lub we fragmentach przypominają starszych braci z lat dwudziestych i trzydziestych. Ostatnio moda dotarła do projektantów



elektrycznych wózków golfowych. Na Florydzie – raj dla miłośników golfa – pojawiły się pojazdy przeznaczone dla wybrednych milionerów. Na pierwszy rzut oka przypominają zwykłe wózki. Jeżeli przyjrzeć się im, zauważymy szczegóły rodem ze złotych czasów motoryzacji – szerokie błotniki, stożkowate przednie reflektory i składany dach z materiału. Dla rozsmakowanych w luksusie przygotowano deskę rozdzielczą inkrustowaną drewnem i chromowane dodatki. Pojazdy przystosowano dla dwóch, czterech lub sześciu pasażerów.

(SR)

DRAPACZ W BARCELONIE

Góra Montserrat, budowle Gaudiego i wodospad były inspiracją dla architekta Jeana Nouvel, twórcy projektu najnowszego wieżowca w Barcelonie. Chociaż budynek istnieje jedynie na papierze i w symulacjach komputerowych, mieszkańcy Barcelony zdążyli już nadać mu wiele przydomków, w większości o faliścieńskim rodowodzie. Wszystko przez zaokrąglony czubek budynku. Projekt budzi kontrowersje nie tylko ze względu na skojarzenia. Wysoki na 150 metrów wieżowiec ma stać na Plaza de las Glorias w centrum Barcelony. Nie podoba się to konserwatywnym mieszkańcom.

(AS)

Eero Aarnio stworzył z plastiku „Kulę”, „Pomidora” i „Formułę”. Jego ulubiony materiał pozwala mu tworzyć fantastyczne kształty przy zachowaniu zasad ergonomii.



©ADELTA/FOT. EERO AARNIO

Człowiek, który kocha plastik

Plastik daje Eero Aarnio kompletną dowolność w doborze kształtu i koloru. Jego projekty zawsze oscylują pomiędzy funkcjonalnością a zabawą, kiczem a sztuką. Urodził się w 1932 r. W latach 1954–1957 studiował w Instytucie Sztuki Przemysłowej w Helsinkach. Pięć lat później zadebiutował krzesłem „Kula”. Jak sam twierdzi, pomysł był prosty. Kiedy w 1962 r. z żoną wprowadził się do ich pierwszego domu, odkrył, że oprócz dachu nad głową i podstawowych mebli nie mają na czym siedzieć.

Eero postanowił zaprojektować krzesła. Po kilku szkicach zauważył, że forma przybrała tak prosty kształt, że stała się prawie kulą. Trzeba było tylko wyznaczyć jej wysokość i gabaryty – krzesło musiało się zmieścić w drzwiach. Zrobiła to żona Eero, obrysowując siedzącą sylwetkę męża na ścianie. Prototyp wykonał Eero: drewnianą formę pokrył włókłem szklanym. Potem dorobił podstawę i projekt był gotowy. Nazwa wydawała się oczywista – „Kula”. Tak narodził się jeden z niepowtarzalnych projektów XX wieku, odkryty równie przypadkowo, jak powstał.

Eero odwiedziło dwóch menedżerów z firmy Asko. Chcieli obejrzeć jego projekty, ale zafascynowała ich stojąca w salonie „Kula”. Pierwszy raz pokazano ją szerszej publiczności w 1966 r. na targach w Kolonii. Stała się sensacją, przełomem w życiu Aarnio i początkiem linii plastikowych mebli jego projektu.

Dwa lata później powstał „Bąbel”, przezroczysty brat „Kuli”, od której odróżnia go nietypowe mocowanie. Jest on po prostu podwieszany pod sufitem. Oba projekty zagrały w wielu filmach science fiction. Brały udział w teledyskach i reklamach. Darryl Hannah, Donatella Versace i Nina Hagen wykorzystywały je do swoich zdjęć.

Na grudniowej okładce „Playboya” z 2000 r. w „Bąblu” siedzi naga Carmen Electra. Siedzących w „Kuli” lub „Bąblu” uderza niezwykła izolacja od świata. Wewnątrz krzesła dźwięki i hałasy są stłumione, docierają do odbiorcy jak przez mgłę. Pewnie dlatego norweska telefonista Telenor zainstalowała niedawno kilka „Bąbli” w holu swojej nowej siedziby w Oslo. Służą jako ciche „pomieszczenia” do rozmów przez telefon komórkowy.

AGATA WASILENKO

Kolejne sukcesy Aarnio to „Pastylka” i „Pomidor”. Wykonane z plastiku, maksymalnie wygodne krzesła można używać zarówno w domu, jak i w ogródku, a nawet pływać w nich w basenie.

Myli się ten, kto sądzi, że prawie 70-letni Aarnio najlepsze lata ma za sobą. Jego nowe projekty nie są jedynie kontynuacją udanych pomysłów z lat 60. i 70.

Najnowsze dzieło Aarnio powstało w 1998 r., kiedy Mika Hakkinen zdobywał mistrzostwo świata Formuły 1. – Patrząc na bolid jak na fotel, można dostrzec oparcie dla rąk i pleców. Wyrzucamy koła i powstaje fotel „Formuła” – tłumaczy Aarnio, zagorzały kibic wyścigów. – To jeden z moich najlepszych projektów.

Aarnio do perfekcji opanował patrzenie na otaczające przedmioty jak na meble. Bawi się materiałem, wykorzystując możliwość prawie nieograniczonego formowania plastiku i nadawania mu dowolnych kolorów. W wyniku zabawy powstają przedmioty-rzeźby: proste, zabawne i jednocześnie piękne. Wszystko zgodnie z zasadą „Mniej, znaczy więcej”.

STEFAN ROKITA

ZNAKI I SYMBOLE XX WIEKU (15)

CZERWONY KRZYŻ I CZERWONY PÓŁKSIĘŻYC

Krzyż genewski ma chronić rannych i niosących im pomoc na polu bitwy. Ten znak ustanowiono w 1875 r. Czy zastąpi go czerwony romb na białym tle?

Jean-Henri Dunant (1828–1910), szwajcarski pacyfista, przez całe życie pomagał potrzebującym (m.in. był współzałożycielem YMCA). Pod wpływem jego książki „Wspomnienie Solferino” (1862), nawiązującej do bitwy pod Solferino, zaczęły powstawać stowarzyszenia pomagające rannym na polu bitwy. Zarówno ofiary jak i personel sanitarny oraz szpitale i lazarety miały być traktowane jako neutralne. Nowatorskie na tamte czasy idee spotkały się z dużym zainteresowaniem. W 1863 r. zorganizowano w Genewie kongres z udziałem 16 państw. Postanowiono, by w każdym kraju powstały „narodowe stowarzyszenia pomocy”, a zarazem zwrócono się do rządów o udzielenie im wsparcia. Tak powstał załączek Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża (pod tą nazwą od 1875 r.) i narodził się znak ochronny wojskowych służb medycznych, równocześnie symbol organizacji. Krzyż Ge-

newski jest jednym z najlepiej rozpoznawalnych znaków świata. Utworzono go z odwróconych barw flagi Szwajcarii. Rok później podpisano konwencję genewską, wprowadzającą podstawy prawne dla stosowania tego oznaczenia. Był to pierwszy dokument międzynarodowego – czerwonokrzyżskiego – prawa humanitarnego.

Pod koniec XIX wieku powstało wiele stowarzyszeń narodowych CK, które połączyły się w federację w 1919 r. (w tym samym roku powstał PCK).

By nie ranić uczuć religijnych muzułmanów, w 1906 r. założono Czerwony Półksiężyc.

Za swoje dzieło Dunant dostał w 1901 r. pierwszą pokojową Nagrodę Nobla (MKCK otrzymał ją trzykrotnie). Zmarł samotnie w przytułku dla ubogich kilka lat później. 8 maja – data jego urodzin – jest obchodzony jako Międzynarodowy Dzień Czerwonego Krzyża.

Być może w tym roku zostanie wprowadzone nowe godło –



FOT. AP/AG

czerwony romb na białym tle z białym polem wewnątrz. Na nim mogłyby być umieszczane znaki stowarzyszeń narodowych, np. gwiazda Dawida. Jednak nie wszystkim się podoba propozycja zastąpienia starego symbolu nowym. Przedstawiciele Iranu zastrzegli sobie prawo powrotu do znaku Czerwonego Lwa i Słońca, używanego do czasu rewolucji irańskiej.

ŁUKASZ DZIATKIEWICZ

JAK PACHNIE...

...BIZNESMEN

Z lektury magazynów dla biznesmenów wynika, że większość polskich ludzi interesu wybiera pachnidła, które pachną... wodą, wiatrem, melonem lub świeżo naciętym kaktusem. Takie zapachy niewątpliwie pomagają im przetrwać nieprzyjemne chwile między rejsami żaglówką po Morzu Śródziemnym i wypadami na snowboard w Alpy, gdyż pozwalają w zaciszu gabinetu poczuć woń morskiej bryzy lub mroźnego powietrza z narciarskich stoków. Używanie wodno-ozonowych perfum niesie jednak pewne ryzyko, bo czy

można ufać biznesmenowi, który pachnie np. jak sok wyciśnięty z ogórka? Jak więc powinien pachnieć rasowy biznesmen? Odpowiedzi udzieliła już w roku 1995 organizacja polskich ludzi interesu Business Centre Club, używając swojej nazwy wodzie toaletowej Polleny Ewy, w której upajające i niemal narkotyczne aromaty lawendy i świeżego siana łączą się z trzeźwiącymi i cierpkimi woniami mchu dębowego i żywicy oraz energetycznym zapachem mięty i cytrusów. Ten niezwykle wyrazisty zapach z rodziny określanej jako świeża wprost promieniuje pewnością siebie, wolą zwycięstwa i niepomaganą żądzą dominacji nad otoczeniem. Biznesmen, który go używa, może więc jawić się jako wojownik, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych. Może, ale nie musi. To, że ktoś usiadł za kierownicą ferrari, wcale nie oznacza, że od razu stał się Schumacherem, choć, niestety, wielu chce w to wierzyć.

AGATA WASILENKO

REKLAMA(CJE)



MAŁA CZARNA

Otworzyłem magazyn dla pań, a tu prezent w postaci kłapek do spania. Okazało się, że to nowa wkładka higieniczna dla kobiet. Producenci wyszli z założenia, że najważniejsze jest maskowanie przed partnerem. Mężczyźni zaklejono oczy tym, czego ma nie widzieć. Skojarzenia mogą być różne, ale dla kogo ten kamuflaż? Hasło „Żeby nie widział” i kontynuacja: „czego akurat nie chcesz mu pokazać. Całkiem nowy kolor Alldays” nie najlepiej świadczy o facycie, gdy jego wybranka musi sięgać po fortele. Na dole dopisano: „Czarno na czarnym widać, że lepiej”. Może nie lepiej, ale na pewno spryt-

nie. Jaką innowację można wprowadzić w tej damskiej ofercie? Dotychczas podkreślano lepsze walory chłonne lub stabilniejsze mocowanie. Nowy kolor jest – co wynika z naszej minisondy wśród pań – mało użyteczny. Ale kobiety mówią o nowej ofercie Always i o to chodzi. Swoją drogą, zastanawiająca jest tendencja w reklamie do konfrontacji płci brzydkiej z podpaskami lub wkładkami. Targetem – jak określa się branżowo odbiorcę – są panie. Chyba czarno na białym widać, że coś jest nie tak.

(LD)



HOFF

SPOCZNIJ

Są osoby, które uważają, że modą trzeba się bawić. Że ubieranie jest po prostu zabawą i głównie elementem rozrywkowym w naszym życiu.

A tu trzeba się ubrać do pracy poważnie i według pewnych reguł, do których pewne firmy podchodzą śmiertelnie serio. A to stanowisko nas zobowiązuje, a to sytuacja. A gdzie człowiekowi zabawa w głowie, kiedy nie ma kasy (dawniej pieniędzy) i nie ma co na grzbiet włożyć. Szmaty drogie i chce się wyc, a nie bawić ubraniem.

Jako projektant czuję zawsze ciężkie brzemie odpowiedzialności, żeby to, co robię, było z sensem. I to pod różnymi względami. A jednak ludzie są tak różni, mają tak różne potrzeby i gusta. Nie ma sposobu, aby zaspokoić wszystkich.

Jest moda na rzeczy wojskowe, styl militarny. Te wszystkie mundurowe fasony, koszule wojskowe, marynarki, 4 kieszenie, bojówki itp., kolory khaki i kamuflaż, czyli panterki wojskowe jako wzór. Świetny styl na wycieczkę, na obóz, na lato, zresztą od zawsze się to nosi. Ale teraz zrobiło się bardzo modne. Z kamuflażu może być wszystko – i parasolki, i torebki, i buty.

Otóż zrobiłam całą kolekcję militarną, ale nieco odwróciłam sytuację. Jest kolor i wzór, ale użyty do zupełnie nietypowych fasonów. Są sukienki mini i do kolan, z modnym dekoltem V, spódniczki mini i kloszowe, kurteczki i bluzki, ale džinsowe, nie wojskowe. Zupełnie niearmijne, odsłaniające pępek kurteczki czy szorty na obniżonej talii, pasy skórzane na biodra, też dalekie od wojska, a spodnie to dzwony. I do tego nie jest to drelich khaki, tylko bardzo piękny len.

Cały ten styl lubi jeszcze kolory czarny i szary. I nie jest szczególnie sportowy, tylko szczególnie zabawny.

Zdjęcie: Hoffland, Galeria Centrum
Warszawa, Wrocław, Szczecin.

Fot. Robert Kulesza

Na zdjęciu Ania Kowalczyk,
stylizacja Urszula Krzyżanowska.

Adam Wiedemann Dzienniczek lipski (2)

23.03.01

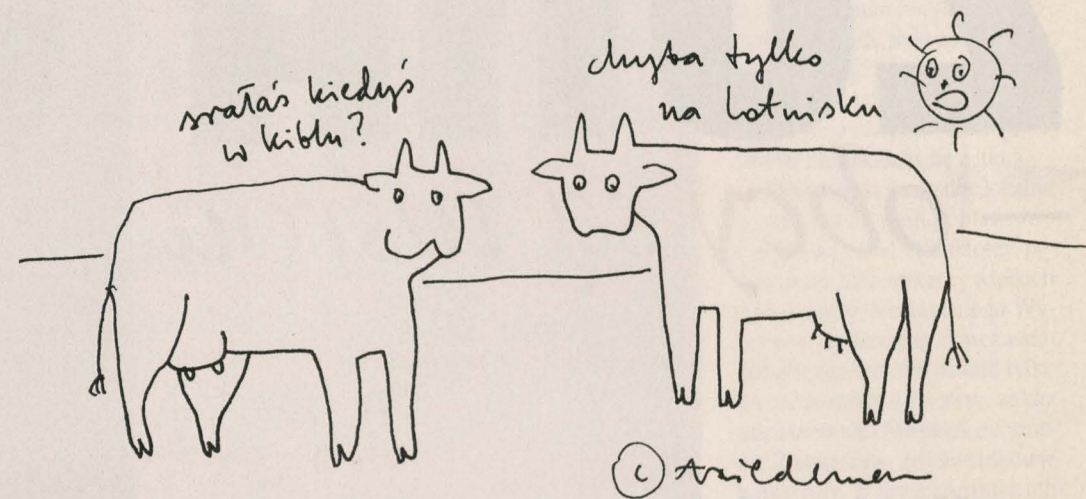
Rano śpimy, ile się da, w ostatniej chwili schodzimy na śniadanie, śniadania prawie już nie ma, zjadam kawałek melona, popijając herbatą, od solika obok dosiada się do nas Małgosia, wita się ze mną, gadamy trochę o czekającym nas wieczorku, po czym dołącza do reszty jadących na Targi.

— Miły człowiek – stwierdza Jasiu – ale niegrzeczny.

Na końcu i na nas przychodzi czas, że musimy już jechać, wsiadamy do samochodu, jedziemy, zajeżdżamy nie od tej strony, co trzeba, nie możemy znaleźć wejścia, ktoś nam poleca wejście dla prasy, wpuszczają nas bez problemu, docieramy do hali targowej, w polskim zakątku już konteneruje Darek z dziewczynami, no ale to nie dla nas, w sąsiednim forum zaraz się zaczyna spotkanie ze mną; idziemy tam, ani żywej duszy, czekamy piętnaście minut, pojawia się mój wydawca (poznaję go po „Sęku”, który trzyma w ręku) z kolegą, obaj na czarno, młodzi, tysięcący.

— Gdzie tłumacza? – pytam, ale tłumaczki nie będzie, wymówiła się chorobą, a tak naprawdę to nie zaproponowali jej dość wysokiego honorarium i chyba znów jest obrażona. Pokazują mi niemiecką wersję „Sęka”, okładka zaskakująco ładna, tytuł przerażająco długi, ale podobno Niemcy takie lubią.

Zasiadamy za mikrofonami, jako publiczność służy nam Jasiu i dwójka innych państwa, absolutna równowaga. Mój wydawca czyta moje opowiadanie po niemiecku, ja czytam kawałek po polsku, kolega wydawcy czyta kawałek argentyńskiego pisarza, żeby wypełnić czas do końca. Na koniec jakaś pani, siedząca dotąd całkiem na uboczu, wyrывa się z pytaniami do mnie o szatańskość „Pudla”, odpowiadam w koszarnej angielszczyźnie, wydawca tłumaczy to na niemiecki,



pani daje mi w prezencie własnoręcznie wykonaną zakładkę (jest, jak się okazuje, znaną artystką i ma tutaj swoją wystawę), koniec.

Idziemy na kawę celem omówienia wysiłków, jakie czekają moją książkę na usianej cierniami drodze do Reicha-Ranickiego, „Spiegla” i innych takich, a potem zwiedzamy trochę Targi, zatrzesienie książek kucharskich, a za to w targowej restauracji nie mają zupy.

— Skończyła się – stwierdza pani w fartuszu. Kiedy już wychodzimy, Jasiu pokazuje mi roboty czyszczące szklaną kopułę obiektu, a ja spotykam Anię Frisch i jej chłopaka. Ania zaprasza mnie na imprezę kończącą ich schöppingeńskie stypendium, ja ją zapraszam na mój wieczorek jutrzejszy i oto znów jesteśmy w mieście. Spotkanie z Olgą To. i Magdaleną Tu. Ludzi dużo, pani Magdalena zmęczona odbytą i czekającą ją podróżą (dziś rano przyjechała, jutro rano wraca, „do dzieci”, jak twierdzi), na samym początku zraża sobie słuchaczy, mówiąc, że nie czuje się pisarką, lecz tłumaczką (a kogo interesują tłumaczki?), Olga za to

bryluje w wielkim stylu, opowiada o swoim wiejskim odosobnieniu (wiecie Państwo, mam ciepłą wodę i telefon, nie wspominając już o komputerze; żadna tam kurna chata) i o różnicach między chłabaszczem a bożą krówką, wszyscy zachwyceni Olgą, z Jasiem włącznie; kiedy już odpoczywamy po wieczorku w restauracji rybnej, racząc się krewetkami i białym winem, Jasiu, choć psów nie lubi i nie żywi do nich nic prócz awersji, ogląda z nabożeństwem psa Olgi, którego ta mu pokazuje na zdjęciu trzymanego w objęciach. Pies nie miał szczęścia, chciała go kupić jedna pani z Niemiec, ale jak się dowiedziała, że to pies, wycofała się z transakcji, bo chciała suczkę. Olga mieszka teraz w Berlinie, sama, bez psa, w wielkim, pięciopokojowym mieszkaniu, tylko z zeszytem i ołówkiem.

— Miło mieć tylko jeden ołówek – mówi, po czym ucieka do Darka No. przed zamykającym ją rozmową po angielsku Jasiem; wszyscy zbierają się pomału do innej knajpy, nam zostało jeszcze pół butelki wina, obicujemy więc, że dołączymy do nich

wkrótce. Kiedy jednak pół godziny później opuszczamy restaurację, nasza orientacja w mieście ulega gwałtownemu zanikowi, tak iż nie jesteśmy w stanie odnaleźć nic poza hotelem.

— I to już wszystko na dziś?

— No, może nie wszystko, ale po co więcej?



ADAM WIEDEMANN
Rocznik 1967. Poeta i prozaik, krytyk literacki i muzyczny, kompozytor i malarz. Autor książek poetyckich i prozatorskich. Laureat Nagrody Kościelskich, dwukrotnie nominowany do nagrody NIKE. Ostatnio często jeździ na stypendia.

EUZEBIUSZ VINDEKS

ZONA 51

— obcy są wśród nas?

W Nevadzie w okresie zimnej wojny testowano wiele nowych technologii wojskowych. Najtajniejszy kompleks baz i obiektów wojskowych znajduje się nad jeziorem Grum, 180 km od Las Vegas.

Kompleks Grum ponumerowano kolejno jako zony – od 50 do 59. Do każdej z nich obowiązuja inne wzory przepustek oraz stopnie wtajemniczenia. Jednak nawet wysokiego szczebla funkcjonariusze Pentagonu i Narodowej Agencji Bezpieczeństwa nie mieli nigdy i nie mają dostępu do obiektu najtajniejszego: ZONY 51.

Zajmuje on obszar kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych, posiada własne lotnisko, generatory prądotwórcze, zapasy żywności i wody. Słowem – tzw. autonomicznie żyjąca na mniej więcej pół roku. Jest też otoczony siecią szczelnych ogrodzeń pod wysokim napięciem. System ochrony wyposażono w ruchome kamery telewizyjne, moduł noktowizyjny i wiele innych czujników. W la-

tach 50., kiedy pojawiły się pierwsze radzieckie satelity, obiekty kompleksu 51 zamaskowano również przed obserwacją z powietrza: zarówno z wysokości kilkuset kilometrów, jak i z nisko lecących – oczywiście „przypadkowo” – prywatnych awionetek. Przynajmniej siedem z nich, które w latach 1955–71 zapuściły się w rejon jeziora, zniknęło bez śladu. Razem z pilotami i pasażera-

mi. Tymi ostatnimi byli co najmniej kilkakrotnie przedsiębiorcy i reporterzy, którzy – mimo zakazów i ostrzeżeń – postanowili na własną rękę spenetrować tajemnice Zony 51.

Uwaga! Obcy

Latem 1947 r. w rejonie miejscowości Roswell w stanie Nowy Meksyk wydarzyła się dziwna katastrofa. Na ziemię spadł i rozbił

się niespotykany obiekt latający. Miał kształt spodka (talerza) o średnicy ok. 6 m. Zbudowany był z niespotykanych na ziemi materiałów i wyposażony w dziwne, nie znane tym, którzy wkrótce przybyli na miejsce wypadku, urządzenia. Co najciekawsze, na jego pokładzie znajdowała się załoga. Tyle tylko, że owe istoty nie przypominały absolutnie ludzi. Były mniejsze, ważyły po

ok. 35–40 kg, miały wielkie oczy i bardzo wężle kończyny. Według relacji naocznych świadków jeden z członków załogi nie przeżył katastrofy, drugi był ranny, a trzeciemu nic się nie stało. Kilkanaście osób, które dotarły na miejsce katastrofy, próbowało nawiązać kontakt z tym ostatnim. Relacje są jednak sprzeczne, bo jedni twierdzili, że rozumieli jego słowa mówione językiem „wprost”

(telepatia?), inni znowu, że nie udało się z nim porozumieć. Ale wszyscy potwierdzali, że ten, który wyszedł z katastrofy bez szwanku, wyrażał wielką żalost i usiłował udzielić pomocy rannemu towarzyszowi. Próbowali to również uczynić ludzie.

W ciągu ok. 3,5 godz. śmigłowcami (tak, wtedy już były), a potem ciężarówkami i pojazdami pancernymi przybyło na miej-

sce wojsko. Mundurowi odizolowali miejsce katastrofy i zabrali części rozbitego pojazdu powietrznego. Co zrobili z żywymi osobnikami i ciałem zabitego? Tego, oczywiście, nikt ze świadków zdarzenia nie wiedział. Miejsce wypadku przez mniej więcej tydzień pozostawało pod bezpośrednią kontrolą wojska (US Air Force), które dokładnie „wyczyściło” okolicę. Przez cztery kolejne dni lokalna prasa prześcigała się w opisach incydentu i domysłach. Co do jednego nie było wątpliwości. Twierdzono zgodnie, że statku o tej konstrukcji nie zbudowano na ziemi, a załoga na pewno nie składała się z ludzi.

Piątego dnia wszystkie lokalne gazety jak na rozkaz przestały o wypadku pisać. Redaktorzy, pytani przez dziennikarzy wielkich dzienników Wschodniego Wybrzeża, do których tymczasem dotarła wiadomość, dawali tylko do zrozumienia, że mają zakaz udzielania jakichkolwiek informacji. Znamienne, że i świadkowie katastrofy, a przynajmniej ich znakomita większość, też nabrali wody w usta. Tak się składa, że w okolicy, oprócz wojskowych, pojawiło się też kilkudziesięciu cywilów o nienagannych manierach. Starali się nie rzucić w oczy, ale przeprowadzali rozmowy z nielicznymi okolicznymi mieszkańcami (są to tereny rzadko zaludnione), a zwłaszcza z tymi, którzy dotarli na miejsce wypadku. I znowu – większość świadków też przestała mówić o tym, co widziała. Niektórzy z nich nagle się wzbogacili i opuścili niegospodnie okolice. Było też dwóch quasi-farmerów, którzy przy szklance whisky, do której często zaglądali, zapewniali, że widzieli katastrofę statku kosmicznego i przybyszów z innych gwiazd. Dziwnym trafem jednak jeden z nich zapisał się na śmierć już w grudniu 1947, a drugi uległ w pierwszych miesiącach 1948 r. bliżej nie określonego wypadkowi ze skutkiem śmiertelnym.

W basenie w Gdyni

Nie była to jedyna katastrofa domniemanego obcego statku. W roku 1944 na północy Kanady, w okolicach Wielkiego Jezio-



Witajcie w Roswell, miejscowości, którą UFO lubi najbardziej

FOT. AP/AG



Sekcja zwłok ufoludka w 50. rocznicę katastrofy w Roswell, 1997 r.

ra Niewolniczego roztrzaskał się statek podobnego typu, co w Roswell. Prawie takie samo zdarzenie zanotowano w Turcji w roku 1937. W obu jednak wypadkach brak obszerniejszej dokumentacji.

Co ciekawe, istnieją relacje, iż niemal analogiczny wypadek zdarzył się w Trójmieście w 1967 roku. Nie zidentyfikowany obiekt miał wpaść do basenu portowego w Gdyni. W owym statku pozaziemskim podobno też się znajdował jeden osobnik. Sprawą zajęła się oczywiście ówczesna Służba Bezpieczeństwa i pod jej nadzorem obiekt wydobyto i odtransportowano. Gdzie? – tego nie wiadomo, ale prawdopodobnie do ZSRR. Wiadomość o tym zdarzeniu przeniknęła ze skąpych relacji nurków z Polskiego Ratownictwa Okrętowego, którzy brali udział w wydobywaniu obiektu, ale którym zakazano cokolwiek mówić i coś niecoś nawet ekstra zapłacono.

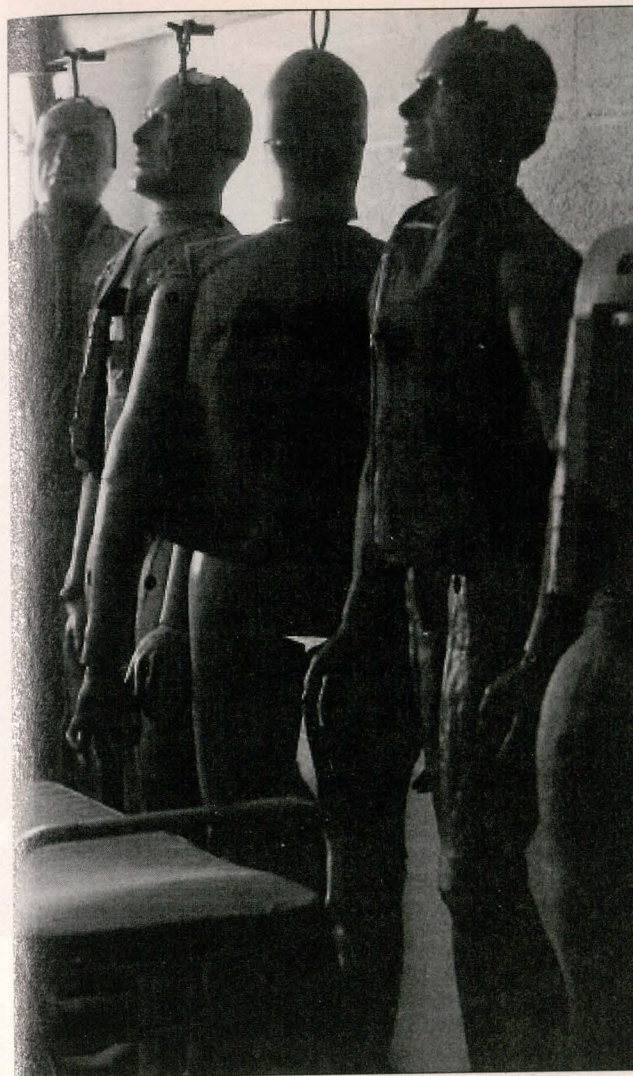
Wiele innych faktów – obserwacje latających spodków, z których część dało się wytłumaczyć takimi zjawiskami, jak: obłoki, pioruny kuliste, przeloty samolotów lub upadek meteorytów – świadczyło o tym, że problem istnieje. I to nie było jakie. Zwłaszcza że nie zidentyfikowane obiekty poruszały się z wielką szybkością, jakiej nie zdołały dotąd osiągnąć ziemskie samoloty, wykonywały nagłe zwroty wbrew nie tylko prawom, ale prawidłowościom fizyki itp.

Istnieją też relacje ze spotkań ludzi z nie zidentyfikowanymi obiektami. Były to spotkania dość jednostronne: ludzie byli poddawani badaniom medycznym lub psychicznym przez osobników stojących na znacznie wyższym poziomie rozwoju.

Co podali Amerykanie

Czy jest realne, że były to rzeczywiste kontakty z obcymi cywilizacjami, czy też padamy ofiarą jakiejś przypadkowej lub też raczej celowej mistyfikacji?

Rozważmy najpierw drugą hipotezę. I tu znów musimy wrócić do Roswell. W piątym dniu po katastrofie Pentagon wydał oficjal-



Ufoludki z Roswell czy wojskowe manekiny?

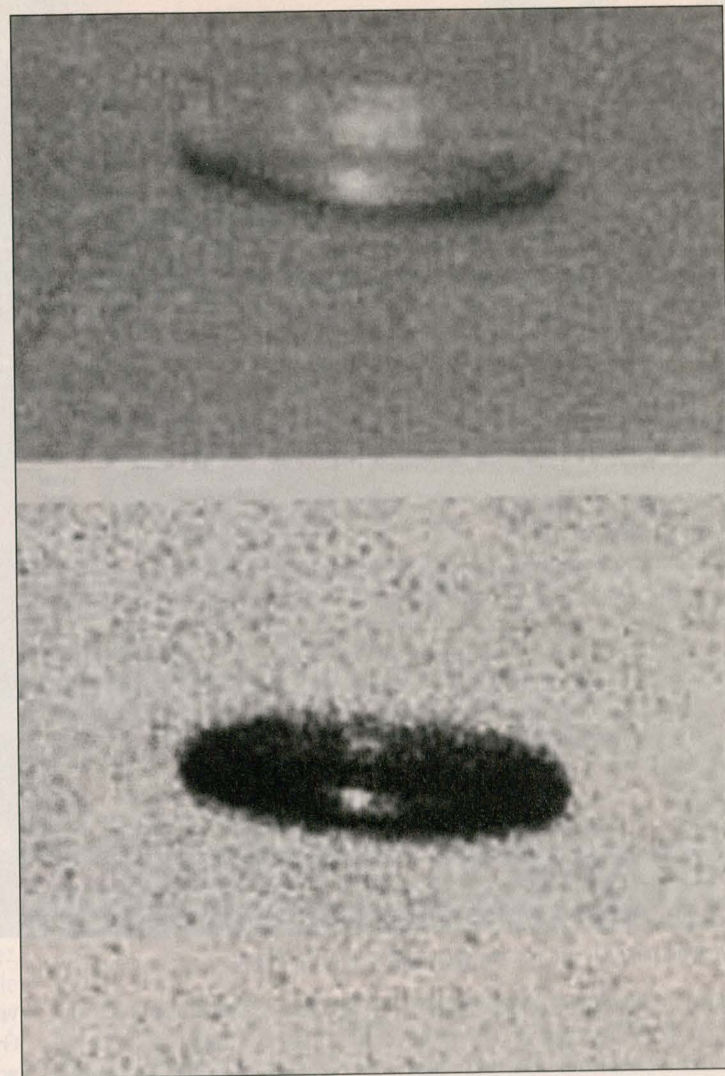
ny komunikat, w którym stwierdzono, że była to katastrofa balonu stratosferycznego.

Co przemawia jeszcze za tą hipotezą? W odległości ok. 200 km od Roswell znajdowała się wówczas i funkcjonuje do dziś baza sił powietrznych Holman. Tutaj tuż po II wojnie światowej, niemal aż do 1952 r., pracowano nad szpiegowskimi balonami stratosferycznymi. Amerykańskie USAir Force używały wtedy tego typu statków powietrznych, które latały na wysokości 30–36 km, do szpiegowania ZSRR i ówczesnych państw socjalistycznych. Wyposażone były w bardzo nowoczesne na owe czasy przyrządy, czyli czujniki podczerwieni. Tym czynnikami wojskowe tłumaczyły olbrzymią koncentrację ludzi i sprzętu wokół miejsca katastrofy. Należy dodać, że

i w naszym kraju w okresie „zimnej wojny” spadały balony made in USA.

A może ziemskie talerze

Czym wszakże tłumaczyć dalsze spotkania z „obcymi” statkami i ich pasażerami czy raczej załogami? Otóż i tu mamy wytłumaczenie. Pokazujący się w okresie II wojny światowej w Europie i Afryce „latający czarny talerz” był niemieckim eksperymentalnym śmigłowcem AR-500 skonstruowanym przez zakłady Arado. Niemcy wyprodukowały w latach 1942–1945. dziesięć – czternaście takich eksperymentalnych śmigłowców czy raczej rotorowców. Były to bardzo szybkie (maksymalna prędkość ok. 1000 km/h) maszyny. W czasie lotu maszyna taka kładła się na boku i przybierała aerodynamiczny kształt. Przypominała wtedy tro-



Zdaniem redaktorów „Journal of Scientific Exploration” to mogło być UFO

chę czarny, latający spodek. Co prawda taki „latający talerz” straszliwie hałasował, no ale wyobraźnia ma wielkie oczy i rzeczywiście na owe czasy było to swego rodzaju latające чудо. Śmigłowiec ten nie znalazł się w wyposażeniu niemieckich sił powietrznych, bo był niedopracowany. Tak jak i wiele innych przedwczesnych konstrukcji.

Latające talerze nad terytorium USA można natomiast w znacznej części tłumaczyć eksperymentami z samolotami typu latające skrzydło. Pierwsze takie maszyny konstrukcji braci Horton pojawiły się w roku 1937. Ale były to tylko skromne prototypy. Na przełomie lat 40 i 50., kiedy USAir Force testowały różne modele, bo chciano wybrać optymalną konstrukcję dla bombowca strategicznego, wrócono do maszyn typu latające

skrzydło. Zbudowano ich około 15 szt., o rozpiętości skrzydeł od ok. 8 m do olbrzymów o prawie 90-metrowych (łącznie) płatach. Samoloty te, szczególnie oglądane z dołu, bardzo przypominały latające spodki, bo przecież nie miały kadłuba charakterystycznego dla samolotu. Również strategiczny bombowiec typu B-36 o nietypowej sylwetce mógł uchodzić za latający talerz. A tych maszyn wyprodukowano ok. 550 sztuk.

No dobrze – powie ktoś. Tego typu maszyny latały od mniej więcej 1958 r., a niektóre eksperymentalne latające skrzydła nieco dłużej. A współcześnie?

Otóż prace nad niewidzialnymi dla radarów samolotami trwały w USA od połowy lat 60. Poważna ich część odbywała się w bazach nad jeziorem Grum. Inne eksperymenty w przeważa-



Ufoludki na trybunach podczas meczu baseballa, USA, Floryda

jącej większości w stanie Ohio. Tak się złożyło, że właśnie z tamtych terenów płynęło najwięcej sygnałów o obserwacji „latających talerzy”.

Kształty „niewidzialnych” – ale tylko dla radarów – samolotów, z których pierwszym była maszyna myśliwsko-szturmowa F/A 117, a kolejnym bombowiec strategiczny B-2, też nie przypominają klasycznych maszyn. Zwłaszcza z ziemi. Są to po prostu płaskie spodki. Operacyjnie samolotów tych używa się tylko nocą, bo wtedy niewidzialne są dla oka. Ale w ramach eksperymentów i testów musiały też latać w dzień. I naprawdę nietrudno, zwłaszcza dla kogoś, kto niewiele z lotnictwem ma wspólnego, wziąć je za latające talerze.

Istnieje więcej niż domniemanie, że w Stanach Zjednoczonych trwają zaawansowane badania nad statkiem powietrznym, bardziej niż samolotem, o kształcie przypominającym duży dysk. Posiada on najprawdopodobniej napęd elektroma-

gnetyczny. Nad podobną konstrukcją pracowano też do ok. roku 1990 w ZSRR. Tego typu pojazd może zupełnie zrewolucjonizować żeglugę w bliskich i odległych przestworzach. Wiele danych wskazuje, że główne eksperymenty odbywają się właśnie w Zonie 51.

Kamuflaż

Jeżeli więc przyjrzylibyśmy tę właśnie hipotezę, musielibyśmy założyć, że od dłuższego czasu trwają w niektórych państwach – głównie w USA – zaawansowane prace nad nowymi rodzajami statków powietrznych. Żeby odwrócić od nich uwagę, na użytek opinii publicznej po prostu wymyślono historie o latających talerzach i wizytach innych cywilizacji. Pentagon nigdy nie przyznał się oficjalnie do nieco innych eksperymentów. W szczególności do próby „przeniesienia w czasie” okrętu wojennego. Eksperymentu tego dokonano w roku 1951 w bazie Norfolk, na Wschodnim Wybrzeżu, a do dowodzenia użyto niszczyciela

wraz z ok. 170-osobową załogą. Ów eksperyment zakończył się wynikiem częściowo pozytywnym, ale przy okazji wyszły spore komplikacje, które spowodowały długotrwały szok psychiczny u większości załogi.

Rozważmy teraz pierwszą hipotezę. Na potwierdzenie, że w strefie 51 prowadzi się badania nad obcymi statkami kosmicznymi, przemawia sporo dowodów. W roku 1989 fizyk Robert Lazar ujawnił przed kamerami telewizyjnymi w Los Angeles, że przez cztery lata brał udział w badaniach nad analizą obcych statków kosmicznych. Według niego w Zonie 51 znajdowały się cztery takie statki o kształcie latających spodków. Trzy z nich – w tym dwa uszkodzone – miały być pochodzenia pozaziemskiego, natomiast czwarty, budowany był na wzór tych trzech, już ziemskiego.

Nie z tej Ziemi

Lazar utrzymywał, że w budowie tego ziemskiego statku największą przeszkodą była inżynieria

materiałowa. Niektórych stopów, szczególnie metali z krzemem, przy zastosowaniu istniejących technologii otrzymać się nie dało. Kolejną przeszkodą był system sterowania i silnik. Sam Lazar jednak pracował przy analizach materiałowych obcych statków. Dodał też, że konsultantami mieli być dwaj obcy, którzy żyli w bazie, a pochodzili z rozbitych statków pozaziemskich. Mówił również, że on sam nigdy nie zetknął się z obcymi, gdyż posiadał przepustki tylko do stref D i E, a tamci mieli znajdować się w strefie B.

Rewelacje Roberta Lazara potwierdził inżynier – specjalista od systemów napędowych rakiet – Dawid Dair. Ten znany w USA konstruktor, który m.in. był współtwórcą atomowego silnika odrzutowego, został zaangażowany do dokonania analizy silnika statku kosmicznego. Dair pracował nad tym problemem blisko rok. Stwierdził publicznie, że był to silnik, który teoretycznie mógł nadać pojazdowi prędkość światła, a nawet większą. Pracował na bardzo prostej zasa-

dzie, ale zbudowanie analogicznego w ziemskich warunkach nie mogło na razie wchodzić w grę. Sam silnik kosmosu został dość mocno uszkodzony podczas katastrofy.

Z kolei firma Racket Pictures w lipcu 1996 r. pokazała 12-minutowy film-wywiad z obcym w bazie 51. Mimo że był kiepskiej jakości, bo prawdopodobnie został przekopowany z techniki Beta Cam na amatorską VHS, niektóre fragmenty wywiadu zabrzmiały złowieszczo. Przesłuchiwany stwierdził, że potrzebuje nieustannie ludzkiego materiału genetycznego, stąd od kilku milionów lat monitorują rozwój życia na naszej pocziwej Ziemi.

Istnieje też taśma z 1949 roku. Sfilmowano na niej sekcję zwłok obcego, dokonaną w Zonie 51 przez anatomopatologów. Zwłoki miały pochodzić właśnie z katastrofy w Roswell.

Co do obu filmów specjaliści się bardzo podzielili. Jedni twierdzą, że są one jak najbardziej autentyczne, drudzy, że to bardzo zręczny fotomontaż.

Są też inne dane. W związku z zupełnie różnymi systemami porozumiewania się Ziemiaków i obcych Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley otrzymał w roku 1952 zlecenie na opracowanie pisma piktograficznego (obrazkowego). Zamówienie złożyła mało znana korporacja, która po realizacji zlecenia zabrała ze sobą wszystkie materiały. Dopiero po kilku latach okazało się, że korporacja związana była z Pentagonem.

Problem badań nad obcymi wiąże się też z osobą znanego w latach 40. polityka amerykańskiego, Jamesa Forestalla. Ten znany jastrząb „zimnej wojny”, kolejno sekretarz marynarki, a potem szef Pentagonu, nadzorował osobiście program Sigma. To był właśnie program realizowany w obiektach nad jeziorem Grum. Polityk ten zmarł w dość zagadkowych okolicznościach w sile wieku. Zabrano go do szpitala marynarki w podwasyngtońskiej Beteshdzie z roz-

poznaniem rozstroju nerwowego. Po dwóch dniach pobytu w szpitalu wyskoczył przez okno, ze skutkiem śmiertelnym oczywiście. W Pentagonie krążyła pogłoska, że stan psychiczny J. Forestalla uległ gwałtownemu pogorszeniu po otrzymaniu kolejnego raportu z programu Sigma.

Wśród byłych pracowników obiektów wojskowych nad jeziorem Grum krążyła pogłoska, że jeden obcy (określony jako IP 1) zmarł w 1952 r. na nieznaną na Ziemi chorobę. Ale pewien z zatrudnionych w bazie 51 pracowników ujawnił, również przed kamerami telewizyjnymi, zachowując wszelkie warunki kamuflażu i moderacji głosu, że druga istota (IP 2) dobrowolnie przybyła na Ziemię i bierze udział w badaniach naukowych w Zonie 51.

Gdzie leży prawda?

Obie z przedstawionych hipotez znajdują na swoje potwierdzenie wiele dowodów, ale w każdej z nich jest też wiele znaków zapytania. Np. na przełomie lat 40./50. ukazała się „niebieska księga”. Krążyła ona wśród amerykańskich elit politycznych, a dowodowano w niej, że rząd amerykański kontaktuje się i współpracuje z pozaziemskimi cywilizacjami w tajemnicy przed społeczeństwem.

Nie jest już obecnie tajemnicą, że JFK po objęciu prezydentury podjął decyzję o przyspieszeniu programów lotów na Księżyc, m.in. po przekazaniu mu przez CIA informacji, iż jest prawdopodobne, że przodkowie wtedy w kosmicznym wyścigu Rosjanie mogli się kontaktować z obcymi, a napęd radzieckich rakiet został opracowany przy ich pomocy.

Z kolei naukowcy z obserwatorium astronomicznego w Pasadenie, najbardziej renomowanego ośrodka tej gałęzi nauki w USA, nie chcą udzielać jakichkolwiek wywiadów na temat UFO. Nie jest jednak tajemnicą, że niektórzy z nich są oficjalnymi konsultantami w Zonie 51.

Znany dziennikarz amerykański zajmujący się również tematyką kosmiczną – Bil Gregory – opublikował dwa lata temu materiały, z których wynika, że w ramach programu CETI dotyczącego kontaktów

Z 12 otrzymanych, które można uznać za zachęcające, znany amerykański astrofizyk J. Drexlell wyeliminował siedem sygnałów. Pozostałe pięć określił jako możliwe lub prawdopodobne.



W Międzynarodowym Muzeum UFO i Centrum Badań w Roswell



Amerykańska sonda Viking, USA, Nowy Meksyk, 1972 r.

z cywilizacjami pozaziemskimi, otrzymano do tej pory – od 1972 r. – dwanaście sygnałów, które mogą być wołaniem kosmicznych cywilizacji. Program Mogu, którego koordynatorem jest National Observatory w Jodrell Bank (Wielka Brytania), a w którym uczestniczą również obserwatoria amerykańskie, australijskie i japońskie, od wielu lat realizuje nasłuch i filtrowanie sygnałów.

Jedno jest pewne. Albo mamy do czynienia z olbrzymią i dobrze zaaranżowaną mistyfikacją, pod której płaszczykiem dokonuje się badań i eksperymentów militarnych, a latające talerze i ufoludki mają zapełnić ludzką wyobraźnię. Albo też jesteśmy pod stałym nadzorem naszych starszych i mądrzejszych kosmicznych kuzynów. Czy też?...

Nikt nie lubi być królikiem doświadczalnym.

W taksówce z Jedynką

W nowym programie Kwiatkowskiego o polityce dyskutują wyłącznie kobiety. Chodzi o reprezentację społeczeństwa czy o szmal i karierę?

Lubię rozmawiać z taksówkarzami. Rozmawiamy o pogodzie, o polityce, o rozjeżdżonych przez tiry Alejach i o tym, że krakowski magistrat ma w nosie problemy komunikacyjne miasta.

Rzeczywistość nam potakuje – stoimy w korku. Podróż się wydłuża, a my gwarzymy o pieniądzach, a właściwie ich braku, o bezrobociu, o inflacji, o obniżce stóp procentowych i znaczeniu NBP. Czasem zapuszczamy się na niebezpieczne tereny polityki zagranicznej naszego państwa i np. omawiamy politykę wschodnią, dziwiąc się, że Marek Siwiec w tej dziedzinie ostatnio okazał się ekspertem. Spoglądamy na wizerunek pary prezydenckiej, która uśmiecha się do nas z plakatu i wracamy do tematu wyborów w Nysie, gdy korek gęstnieje przy moście Dębnickim.

A już najbardziej lubię rozmawiać z taksówkarzami o polityce w telewizji.

– Widziała pani dzisiaj rano ten nowy program Kwiatkowskiego? Co pani na to? – zapytał taksówkarz w niedzielne przedpołudnie.

– Ten z kobietami? Tak, oglądałam. A co?

– Ten facet musi być w niezłym układzie, że dali mu nowy program, a przecież to on procesuje się z telewizją o pieniądze. Gdzieś czytałem, że dali mu 80 tysięcy jako odpłatę, a okazało się, że bezprawnie i on nie chce oddać tego szmalu. Mało, że co tydzień politycznie „obrabia” facetów w Jedynce, to teraz jeszcze baby wypytuje o to samo.

– Pana zdaniem kobiety nie powinny się wypowiadać na tematy polityczne? – zapytałam prowokacyjnie.

– Jasne, że mogą – oburzył się taksówkarz. – Ale po co do tego osobny program. Niech je Kwiatkowski zaprasza do swojego programu. Przecież on nawet nad nimi nie potrafi zapanować, jak wszystkie zaczynają mówić naraz. I dla kogo taki program w niedzielę o dziewiątej?

– No, chyba dla mężczyzn. Żeby poznali poglądy kobiet.
– Ani dla mężczyzn, ani dla kobiet tylko dla konta redaktora Kwiatkowskiego. Co pani? Przecież jak któraś jest z SLD, to gada jak Miller, a jak z AWS, to „leci” Kamińskim.

– No, nie. Przecież te panie nie są politykami. To ekonomistka, socjolog, prawniczka i historyczka sztuki. Redaktorowi chyba chodziło o pęć mózgu – paradoksalnie zaczęłam bronić niejasnej dla mnie zasady programu.

– Tu panią mam – wykrzyknął taksówkarz, odwracając się do mnie.
– On je nawet podpisuje: prawnik, ekonomista, socjolog. Nie chodzi o kobiecość, ale o parytet.

– Jaki znowu parytet? – zdziwiłam się. – Niech pan uważa – tramwaj!
– Widzę – zmroził mnie taksówkarz. – Teraz będzie tyle samo kobiet co mężczyzn w programach politycznych; rzeczywista reprezentacja społeczeństwa w mediach, parytet – stwierdził z pewnością w głosie.

– To może powstaną programy, w których o polityce będą dyskutować osobno: dzieci, geje, ludzie po osiemdziesiątce, filateliści i hodowcy złotych rybek – zażartowałam.

– Niech się pani nie śmieje. Ku temu idzie. Bo nie chodzi przecież o rozwiązywanie problemów czy szukanie dobrych rad, jak pomóc temu krajowi, ale o szmal i karierę. Jacy politycy, taka telewizja. Dwanaście sześćdziesiąt.

To był koniec kursu.

WŁAJERKA



Łomnickiego
Teatr Na
Woli

Nina Andrycz znów w koronie

Esther Vilar

Królowa i Szekspir

przekład – GRAŻYNA DYŁĄG i BOŻENA INTRATOR

Nina Andrycz

Daria Widawska, Grzegorz Emanuel,
Ryszard Kluge, Eugeniusz Robaczewski



Reżyseria
MARCEL KOCHAŃCZYK

Scenografia
JERZY RUDZKI

Kostiumy
ZOFIA DE INES JERZY RUDZKI
Muzyka
MARCIN BŁĄŻEWICZ

PREMIERA 17 MAJA 2001 GODZ. 19.00

Informacje szczegółowe i rezerwacja biletów: tel. 632 24 78 lub 632 00 05 w.117 i 124; tel./fax: 632 00 05 w. 117; kasa biletowa: w. 123.

PONADTO W REPERTUARZE TEATRU:

„PLAY STRINDBERG”

Joanna Szczepkowska, Janusz Gajos i Marek Barbasiewicz w słynnej sztuce Friedricha Dürrenmatta „Play Strindberg” w reżyserii Andrzeja Łapickiego – tak warszawski Teatr Na Woli zainauguruje w swoje 25-lecie „Rok Łomnickiego”, swego patrona i założyciela.

„Rok Łomnickiego”, podczas którego pojawia się na tej scenie najznakomitsi aktorzy i reżyserzy, wyznaczają dwie daty: przypadające w styczniu 2001 r. 25-lecie Teatru Na Woli i 10. rocznica śmierci wielkiego aktora, która minie w lutym 2002 r.

Dodajmy, że w roli, w której oglądamy obecnie Janusza Gajosa, występował ongiś sam Łomnicki – była to jedna z najwspanialszych jego kreacji. Joanna Szczepkowska przejmując w tej aktorskiej sztafecie pokoleń postać graną ongiś przez Barbarę Krafftównę, a Marek Barbasiewicz rolę, w której oklaskiwano Andrzeja Łapickiego.

„Play Strindberg” – Friedrich Dürrenmatt; przekład – Zbigniew Krawczykowski, reżyseria – Andrzej Łapicki, scenografia – Marcin Stajewski, muzyka – Krzesimir Dębski. Występują: Joanna Szczepkowska, Janusz Gajos, Marek Barbasiewicz. Premiera 25 stycznia 2001 r.

„CENA”

Autor – Arthur Miller, przekład – Kazimierz Piotrowski, reżyseria – Bogdan Augustyniak, scenografia – Marcin Stajewski. Występują: Zofia Saretok, Piotr Szwedek. Premiera 30 listopada 2000 r.

gustyniak, scenografia – Irena Biegańska, muzyka – Jerzy Satanowski. Występują: Jan Matyaszkiewicz, Marzena Trybała, Olgierd Łukaszewicz, Marcin Troński. Premiera 5 marca 1999 r.

„PANIENKA Z TACNY”

Autor – Mario Vargas Llosa, przekład – Małgorzata Mierzyńska i Roman Sam-sel, reżyseria – Bogdan Augustyniak, scenografia – Zofia de Ines, choreografia – Emil Wesołowski, muzyka – Krzesimir Dębski. Występują: Zofia Rysiówna, Anna Korcz, Katarzyna Łaniewska, Małgorzata Zajackowska, Adam Bauman, Michał Breitenwald, Mieczysław Kalenik, Mirosław Kowalczyk, Cezary Nowak. Premiera 26 maja 2000 r.

„PIERWSZA MŁODOŚĆ”

Autor – Christian Giudicelli, przekład – Dorota Żolnierczyk, reżyseria – Bogdan Augustyniak, kostiumy i scenografia – Xymena Zaniewska i Mariusz Chwędzuc, muzyka – Jan Zawierski. Występują: Anna Seniuk, Zofia Saretok. Premiera 12 grudnia 1997 r.

„BUMERANG”

Autor – Bernard Da Costa, przekład – Katarzyna Skawina, reżyseria – Bogdan Augustyniak, scenografia – Marcin Stajewski. Występują: Zofia Saretok, Piotr Szwedek. Premiera 30 listopada 2000 r.

„WIECZÓR TRZECH KRÓLI”

Autor – William Szekspir, przekład – Stanisław Barańczak, reżyseria – Andrzej Wiśniewski, scenografia – Paweł Dobrzycki, muzyka – Bolesław Rawski. Występują: Cynthia Kaszyńska, Joanna Szurmiej, Michał Breitenwald, Marcin Chochlew, Marcin Kocela, Lech Łotocki, Karol Wróblewski. Premiera 27 stycznia 2000 r.

„POWRÓT Z RAJU”

Autor – Adam B. Krzyboł, reżyseria – Krzysztof Wierzbiański, scenografia – Marek Porębowicz, muzyka – Waldemar Parzyński. Występują: Krystyna Wolańska/Maria Korzeniowska, Izabela Dąbrowska/Mirosława Niemczyk. Premiera 14 października 1999 r.

„TRENY”

Autor – Jan Kochanowski, scenariusz i reżyseria – Edward Woitaszek, muzyka – Tomasz Bajerski, scenografia – Paweł Dobrzycki, choreografia – Julita Łubińska-Zielińska. Występują: Sława Kwaśniewska, Ewa Ziętek, Antoni Ostroch, Luiza Żymełka, Anna Kramarz, Magdalena Malinowska, Matylda Matysik, Dominika Iwan oraz Chór Akademicki Uniwersytetu Warszawskiego (kierownik artystyczny – Szymon Paczkowski). Premiera 24 września 1999 r.

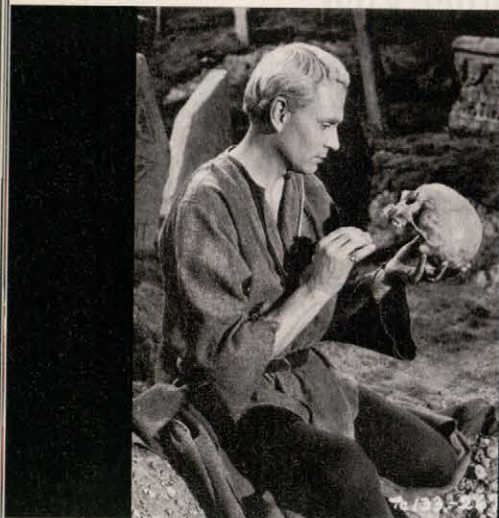
„MIŁOŚĆ – TO TAKIE PROSTE”

Autor – Lars Norén, przekład – Halina Thylwe, reżyseria – Jacek Gąsiorowski, scenografia – Jagna Janicka. Występują: Monika Niemczyk, Małgorzata Zajackowska, Janusz Kulik, Mirosław Zbrojewicz. Premiera 16 grudnia 1999 r.

TEATR W MAJU PROPONUJE

11, piątek – „PIERWSZA MŁODOŚĆ” – godz. 19.00
17, czwartek – „KRÓLOWA I SZEKSPIR” – godz. 19.00 (premiera)
18, piątek – „KRÓLOWA I SZEKSPIR” – godz. 19.00
21, poniedziałek – „WIECZÓR TRZECH KRÓLI” – godz. 10.00
24, czwartek – „BUMERANG” – godz. 19.00
25, piątek – „BUMERANG” – godz. 19.00
26, sobota – „PLAY STRINDBERG” – godz. 19.00
27, niedziela – „PLAY STRINDBERG” – godz. 19.00

Teatr Na Woli
im. Tadeusza Łomnickiego
ul. Kasprzaka 22
01-211 Warszawa
tel. (022) 632-00-05 w.123, 124;
(022) 632-24-78.
www.teatrna.woli.art.pl



Hamlet (1948) Laurence Olivier ...

AKTORZY W FILMOWYCH I TELEWIZYJNYCH ROLACH KSIĘCIA DUŃSKIEGO HAMLETA (WYBÓR):

- Laurence Olivier (1948)
- Bengt Ekerot (1954)
- Innokentij Smoktunowski (1964)
- Christopher Plummer (1964)
- Richard Burton (1964)
- Maximilian Schell (1970)
- Richard Chamberlain (1970)
- Mel Gibson (1989)
- Kenneth Branagh (1996)
- W Polsce w inscenizacji Andrzeja Wajdy – także telewizyjnej – Hamleta zagrała Teresa Budzisz-Krzyżanowska (1989)



Hamlet (1989) Mel Gibson...



...i Hamlet (2000) Ethan Hawke

Witaj znowu, słodki książę

Do „Hamleta” – chcąc nie chcąc – filmowcy wracają co kilka lat.

Ze spuścizny genialnego dramaturga ze Stratfordu „Hamlet” jest sztuką nie tylko najbardziej wieloznaczną, lecz także najpopularniejszą. Kino zainteresowało się historią królewicza duńskiego bardzo wcześnie – już w 1900 roku powstała ekranizacja Clémenta Maurice’a, w której rolę tytułową grała posągowa aktorka Sarah Bernhardt.

Trzeba było jednak czekać niemal pół wieku, aby pojawił się pierwszy wielki „Hamlet” kinowy, który jest punktem odniesienia dla wszelkich innych ekranizacji. To adaptacja Laurence’a Oliviera (1948) – jednocześnie reżysera i odtwórcy głównej postaci. Jednym z najlepszych „Hamletów” okazał się także „Gamlet”, czyli rosyjska (radziecka?!) ekranizacja Grigorija Kozincewa z 1964 roku z rewelacyjną kreacją Innokentija Smoktunowskiego.

Słusznie napisał Jan Kott, że „Hamleta” można streszczać: „jak historyczną kronikę, jak romans kryminalny, jak filozoficzny dramat. Będą to zapewne trzy różne sztuki, chociaż wszystkie trzy na-

pisał Szekspir”. Gęstość opowieści powoduje, że „Hamleta” realizowano nie tylko po bożemu – jak to ostatnio zrobili choćby Zeffirelli w 1989 roku (z Melem Gibsonem w roli refleksyjnej) czy Branagh ze swoim „Hamletem” (1996) umieszczonym w wieku XIX.

„Hamlet” kusił także do parafraz, parodii czy pastiszów. Tak zrobił choćby Helmut Käutner w niemieckim „Reszta jest milczeniem” (1959), umieszczając historię we współczesnym Dusseldorfie, czy Claude Chabrol ze swoją „Ofelią” (1962). Jeszcze inną zabawą – która ma na celu przesunięcie akcentów sztuki, jej zamianie w swoistą postmoder-

nistyczną grę – był film Toma Stopparda „Rosenkranz i Guildenstern nie żyją”, w którym dwie poboczne postaci stają się nośnikami całej intrygi, a król-wicz skromnie usuwa się w cień.

Jeszcze inna sprawa to pojawianie się wątków hamletycznych jako aluzji czy cytatów. Weźmy z brzegu kilka przykładów – w kinie polskim to przedziwna relacja między postaciami-aktorami w „Jak być kochaną” Wojciecha J. Hasa czy niebywała ekspresja nawiązania do postaci Hamleta i jego wystawienia w „Diable” Andrzeja Żuławskiego.

I jeszcze jeden cytat – z „Big Lebowski” Joela Coena. Wal-

ter Sobchak – rozsypując nad Pacyfikiem prochy swojego zmarłego przyjaciela – używa słów, którymi Horacy żegna umarłego Hamleta: „Good night, sweet prince”. A jeżeli już nawet Walter – zwariowany weteran z Wietnamu i zapalony kręglarz – cytuję „Hamleta”, to znak, że mamy do czynienia z dramatem powszechnie znanym.

Poważniej jednak – dlaczego „Hamlet” jest ciągle atrakcyjny dla kina, współczesnego reżysera i widza? Odpowiedź zawiera się być może we fragmencie książki Piotra Sadowskiego „Hamlet mityczny”, w którym autor twierdzi, że niezmiennie elementy schematu hamletowskiego to: dwa wrogie sobie stronnictwa, zamordowanie ojca bohatera, prześladowanie osieroconego bohatera przez mordercę ojca, degradacja i wygnanie, wreszcie – powrót i zemsta. Na nagromadzenie takiej ilości intrygujących elementów mógł sobie pozwolić tylko Szekspir uważany potocznie za „urodzonego scenarzystę filmowego”.

Zatem hamletyczny dylemat „kręcić albo nie kręcić” trzeba rozstrzygnąć na korzyść tego pierwszego.

JACEK ZIEMEK

● SŁABE ●● PRZECIĘTNE ●●● ZACNE ●●●● ZNAKOMITE ●●●●● WYBITNE



13 DNI

Kino politycznego faktu. Drobiazgowy zapis dwutygodniowych zmagani elit Białego Domu i Pentagonu z tzw. kryzysem kubańskim – jednym z najbardziej gorących epizodów zimnej wojny. Przypomnijmy, że ten światowy kryzys wywołało zainstalowanie w październiku 1962 r. na castrowskiej Kubie radzieckich wyrzutni rakiet jądrowych. Relacja skupia się na gabinetowych „burzach mózgów” oraz zabiegach dyplomatycznych zmierzających do uniknięcia atomowej konfrontacji. Obraz uzupełniono kilkoma dynamicznymi sekwencjami lotniczymi i morskimi. Wnikliwie przedstawiono proces rodzenia się epokowych decyzji wobec niespodziewanego zagrożenia państwa, a pewnie i całego świata. Opisano mechanizmy wywierania nacisku i tworzenia się minikoalicji pośród najwyższych szczebli cywil-

nych i wojskowych mocarstwa. Ujawniono, jak wiele ważnych decyzji podejmuje się na podstawie domysłów i dedukcji. Ale może najciekawsze jest tu ukazanie ciężaru odpowiedzialności indywidualnej, tego, jak wielkie znaczenie dla nas wszystkich może mieć wybór dokonany przez kilka omylnych przecież osób. Wywód jest klarowny. Aktorzy pewni w swych rolach. Solidna robota.

(TP)

Reż. Roger Donaldson, USA 2000



MISS AGENT

Słaba niczym jesienny liść komedia sensacyjna, tandetny produkt hollywoodzki. Historia agentki FBI (Sandra Bullock) startującej w wyborach Miss USA, by zapobiec zamachowi bombowemu. Nawet mało wymagający widz domyśli się, że dzielnej i nieco rozkapryszonej policjantce nic złego się nie stanie, a dłoń sprawiedliwości dosięgnie kogo trzeba. Gdy dodać jeszcze nieprzekonujące, „papierowe” kreacje aktorskie, dostajemy niestrawny, infantylny koktajl nudy, banału i przegadania. Ale nie to jest chyba najgorsze. Posługując się samczym stereotypem, film pokazuje kobiety jako słodkie, płaczące idiotki, mające bzika na punkcie urody, szczupłej sylwetki i... amerykańskiej pizzy. Stosy hamburgerów, sosów, frytek i chip-sów są nieodłącznym, „patriotycznym” dodatkiem, chcące uchodzić za śmieszny, bzdurnej opowieści.

(ACK)

Reż. Donald Petrie, USA 2000

POSTACIE Z MARGINESU

Wbrew temu, co mówią pesymiści, można by powiedzieć, że w kinie nosimy się poważniej niż ongiś, skoro przed półwiekiem wszystkie roczniki pędziły oglądać Myszke Miki, Królową Śnieżkę i Nieśmiałka, teraz zaś nawet ozłoczone Oscarami tygrysy i smoki Anga Lee publika nad Wisłą traktuje z wyższością (bo te śmieszne Chińczyki z mieczami latają jak papugi: to dobre tylko dla szczeniaków). Ostatnio co miesiąc mamy w repertuarze kin pełnospektaklowy film animowany, ale jest zauważany tylko w zapowiedziach promocyjnych. Dziewięciu Gniewnych z „Filmu”, czyli nasza branza drużyna arbitrowi sumiennie ocenia dzieła takie jak „Reich” albo „Straszny film”, ale na ogół ze szczerem omija kreskówki i lepiłudki. No, chyba że chodzi o „Uciekające kurczaki”, gdzie jest dostatecznie morderczo, aby przyciągnąć uwagę amatorów kina akcji. Tymczasem na mało zauważanym marginesie żyją po-

stacie ekranowe, zdolne wyjątkowo dużo zdziałać w umysłach juniorów kinomanii. Wiadomo, że kuszący ekran monitora, na którym działki toczą totalne gry w zabijanie, zbytnio zaprzęta dziś ich uwagę, a alternatywa wielu tandetnych „bajek” telewizyjnych nie jest żadną przeciwwagą. Można się z nich nauczyć tylko tego, że w walce ze Złymi trzeba się trzymać kupą i prac. Żegnaj też, wpływie dobrych książek: cywilizacja obrazkowa tak już utrudnia rozróżnianie liter, że uczniowie IV i V klas mają kłopoty z czytaniem w kinie napisów z tłumaczeniami dialogów. Kinowe bajki są jednak dobrze dubbingowane, a ich treści wciąż pozostają w kręgu dawnej zmyślnej dydaktyki dla widzów w wieku, gdy najbardziej chłonie się wzory. Co więcej, ostatnio i w studiach Disneya i u konkurencji rysowane są równie dynamiczną, co ciekawą kreską: przykładem premierowe „Nowe szaty króla”. Może temu marginesowi animowanemu warto poświęcać więcej uwagi?

ADAM GARBICZ



HAMLET

Najnowsza wersja dramatu Szekspira rozgrywa się w scenografii Wall Street i gąszczu korporacyjnych machlojek. Klaudiusz i Gertruda to obecni szefowie korporacji Dania, hotel nazywa się Elzynor, a Hamlet to młody kontestator używający kamer cyfrowych, Internetu i słuchający mrocznego hip-hopu. Takie zabiegi adaptacyjne są zawsze ryzykowne i rzadko udane. Niestety – reżyser nie udźwignął ciężaru przetłumaczenia Szekspira na współczesny język kina i sposobu jego odbioru. Udało się zaledwie parę scen, które giną w niezbornej i nieprzemyślanej całości. Uderza niebywała dysproporcja aktorska – znakomicie prowadzeni są aktorzy starszego pokolenia – w ich ustach szekspirowska fraza brzmi potocznie, naturalnie i przekonująco: to Sam Shepard (Duch), Kyle MacLachlan (Klaudiusz) czy Bill Murray (Poloniusz). Natomiast klęskę ponoszą aktorzy młodszy, którzy teoretycznie powinni unieść cały film – Ethan Hawke to Hamlet przypominający rozkapryszonego licealistę, Julia Siles to Ofelia infantylna i pozbawiona wdzięku, a Horacy (Liev Schreiber) po prostu nie istnieje.

„Hamlet” bez Hamleta, Ofelii i Horacego? Po co?! Almereyda nie uzasadnił potrzeby, dla której sięgnął po arcydramat Szekspira. Być może jednak kilka licealistek zakocha się w Ethanie Hawke i siłą uczucia sięgnie po literacki oryginał. W tym sensie „Hamlet 2000” spełni funkcję nie tyle artystyczną, co dydaktyczną. To już coś.

Reż. Manuel Almereyda, USA 2000

(JAZ)

Miłość

jest iskierką

Po zachwytach nad przedstawieniami z Wilna przyszedł czas na pracę Litwinów z polskimi aktorami. We wrocławskim Teatrze Współczesnym Rimas Tuminas wystawił „Romea i Julię”.

Spektakl jest wydarzeniem. Rzecz jednak nie w tym, że to bardzo piękne i mądre przedstawienie, bo takich mieliśmy kilka w tym sezonie. Chodzi o lekcję scenicznej estetyki, którą dał nam Tuminas.

Litewskie nauki

Co Litwini mogą przekazać polskiemu teatrowi?

Po pierwsze – inną szkołę lektury tekstu: w Tuminasowych interpretacjach klasyki nie są bohaterami ci, którzy na bohaterów wyglądają, a reżyser uparcie szuka nieoczekiwanych motywacji ich postępowania.

Po drugie – otwartość na aktorskie improwizacje podczas prób, gotowość do wielokrotnego przewracania ustawionych scen do góry nogami. Przeglądałem zdjęcia z prób umieszczone w programie do spektaklu: ani jedna z tych sytuacji nie weszła do gotowej realizacji.

I wreszcie po trzecie – rezygnację z dosłowności. Tuminas tworzy na scenie metafory, pantomimę opowiada fabułę. Zamiast pojedynku na rapiery bohaterowie wymachują skórzanymi pasami, śmiertelne ciosy zadane Tybalto wi i Mercurjo nie są pokazane. Zamiast miłosnej sceny łóżkowej, Romeo i Julia spacerują po krawę-

dzi bramy śmierci. Teatr litewski to teatr poezji i obrazu.

W szafie, czyli nigdzie

Choć trudno w to uwierzyć, Tuminas sięga po Szekspira pierwszy raz w dwudziestoparoletniej karierze. (Nie liczę nieudanego „Ryszarda III”, ukończonego w nagłym zastępstwie za nestora litewskiej sceny Jonasa Jurasasa, bo mało w nim cech stylu Tuminasa.) Przez lata 70. i 80. na sowieckiej Litwie nie grano prawie wcale autora „Hamleta”. Władze obawiały się przemycania wyrotowych treści.

Rimas Tuminas patrzy na bohaterów tragedii okiem człowieka dojrzałego. Tylko ktoś taki może bez złudzeń spojrzeć na historię miłosną, która w „Romeo i Julii” zaczyna się tak: chłopak kocha jedną dziewczynę, idzie na bal, żeby ją spotkać, ale po balu kocha już inną.

Wrocławski spektakl jest pełen symboli, z których najważniejszy to ruchomy obiekt umieszczony pośrodku sceny: wielka szafa zbudowana z zatrzaśniętych na głucho drzwi. To grobowiec Capulettich. Romeo, wchodząc do domu ukochanej, stuka w ścianę maszyny jak w bramę śmierci. Przemieszczająca się w przód i w tył szafa zagarnia umierających boha-



Rola Julii to niezwykle debiut Doroty Abbe



Radek Kaim (Romeo) i Dorota Abbe (Julia) w grobowcu Capulettich

terów, stamtąd wychodzą do Julii duchy Tybalda i Mercurja, żeby z nią zatańczyć ostatni raz.

Akcja nie dzieje się w renesansowej Weronie, tylko gdzieś poza czasem, w świecie pomieszanych kultur i religii – rodzina Capulettich nosi na głowie fezy, a ślub Romea i Julii przy-

pomina żydowski obrzęd zaślubin w synagodze.

Miłość nie wybiera

Szekspir w ujęciu Tuminasa jest prosty, prowincjonalny i dosadny. Obrazy, słowa i bohaterowie odzyskują utraconą w wielu współczesnych realizacjach ostrość i nie-

winność. Reżyser obniża status szekspirowskich bohaterów: kochanków z Weronie nie grają teatralni amanci – ale zwykły chłopak i zwykła dziewczyna.

Bo miłość nie wybiera – tłumaczy reżyser – dopada zarówno pięknych i brzydkich, mądrych i głupich. Starych i młodych. Jednak nie przypadkiem Szekspir uczynił swoich bohate-

i działania grubą kreską – karykaturalnie demoniczny ojciec Capuletti Maciej Tomaszewski, zastraszone przez męża, ale i cyniczna Matka Eweliny Paszke-Lowitzsch, wścibska i konformistyczna piastunka Marta Elżbieta Golińskiej.

Aktorzy muszą nieustannie balansować na granicy między tragizmem a komizmem. Ten zabieg



Maciej Tomaszewski (Capuletti) i Ewelina Paszke-Lowitzsch (Matka) przekonują Dorotę Abbe (Julia) do małżeństwa z księciem Parysem



Scena zbiorowa: składanie Julii do grobu

rów prawie dziećmi: ich niewinność pozwala nam poznać siłę miłości i jej związek ze śmiercią w stanie najczystszej, nieskażonej wyrachowaniem.

Samotność Julii

Tuminas nie broni postaci, ale im współczuje. Rysuje ich charaktery

widac zwłaszcza w interpretacji pary tytułowych bohaterów. Romeo i Julia tylko wobec siebie są dorośli, świadomie przeżywają swoje uczucie, miłość ich uwzniośliła, ale inni widzą ich nadal jako głupiotki i bez troskie dzieci.

Romeo Radka Kaima to komiczny piękniś z podwórka: prze-

czesuje sobie włosy, pudruje policzki, szlifuje pilniczką paznokcie. Kiedy coś nie idzie po jego myśli, płacze jak skarcony przez rodziców chłopczyk.

Najważniejsza dla Tuminasa jest Julia – Dorota Abbe gra ją wprawdzie jako małą rozdzikowaną baletniczkę. A potem dziewczyna dorasta, dojrzewa, poznaje miłość, cierpienie i wreszcie śmierć. Sama czyni wszystkie przygotowania do ślubu, zakonnik (zabawny Tadeusz Kuliński) i Romeo tylko statystują w tym obrzędzie. W końcu odkrywa, że wszyscy ją zdradzili – matka, ojciec, Marta, nawet zakonnik, bo nie wiadomo, jaką dał buteleczkę – z płynem nasennym czy trucizną.

Tuminas wyostreza szekspirowską fabułę – Romeo też jest zdrajcą, zostawił ją samą, a potem nie czekał, nie wierzył w jej siłę. Bohater Radka Kaima wcale nie dorasta w spektaklu. Jego śmierć przypomina kolejny emocjonalny wybrzyk. W każdym razie Julia zostaje sama.

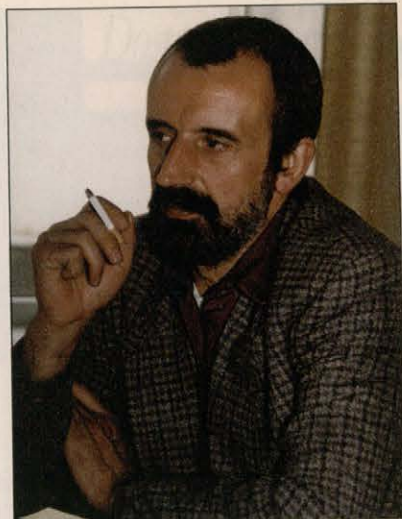
W finale nie wiadomo, czy przebudziła się żywa, czy jako duch. Reżyser odrealnia scenę w grobowcu. Na cmentarz wchodzi cudaczny błazen – Benvolio (Tomasz Tyndyk), bawi się cegłami, na których wyrył portrety kochanków. Kołysze je do snu na swoich kolanach.

Miłość okazała się „tylko powieścią idioty”, ale i tak warto było przez nią przejść – zdaje się mówić Tuminas i jest zarazem gorzki i liryczny. Zestawia patos i trywialność. Żart i okrucieństwo.

Choć przez całe przedstawienie scena tonie w mroku, bal jest upiornie ponury, ludzie pokraczni i niegodziwi, właśnie miłość rozjaśnia ten świat, to mała iskierka dobra i prawdy.

ŁUKASZ DREWNIĄK

Teatr Współczesny we Wrocławiu „Romeo i Julia” Williama Szekspira, reżyseria: Rimas Tuminas, dekoracje: Adomas Jacovskis, kostiumy: Marijus Jacovskis, muzyka: Faustas Latenas. Premiera: 20 kwietnia 2001.



RIMAS TUMINAS

Urodził się w 1952 r. w małej osadzie Kelme na Żmudzi, niedaleko Kłajpedy. Aż do studiów w Wilnie, jak większość litewskich reżyserów jego pokolenia, nie miał kontaktów ze sztuką. Jako nastolatek nigdy nie był w teatrze, ale przewoził furmanką od wioski do wioski projektor kinowy i szpule. W roli pomocnika operatora wyświetlał stare filmy z rosyjskim dubbingiem. W Kłajpedzie pracował jako spawacz i uczył się w wieczorówce. Do szkoły teatralnej poszedł, bo chcieli go wziąć do wojska, a tylko na reżyserii były jeszcze wolne miejsca. Do Wilna leciał wojskowym samolotem i tak mu się to spodobało, że na egzaminie wyznał szczerze, że chce być lotnikiem. Nie został, wyjechał do Moskwy, był uczniem słynnych reżyserów Efrosa i Lubimowa. Przyjaźnił się z Władimirem Wysockim. Po powrocie na Litwę realizował literaturę rosyjską: Czechowa, Lermontowa, Gogola. Od 1990 r. ma własny teatr – Wileński Teatr Mały. Pokazuje swoje spektakle od Quebecu i Bogoty po koło podbiegunowe i Koreę. Marzy, żeby nakręcić litewski film o tematyce narodowej. Jak przystało na litewski film narodowy, jego akcja będzie się dziać na Kubie.

JUŻ STAROŻYTN RZYMIANIE

INFAMIA

Wielki aktor Kazimierz Junosza Stępowski podczas drugiej wojny światowej grał w kontrolowanym przez Niemców teatrze, żeby zarobić na morfinę dla uzależnionej żony. Tajna Rada Teatralna rozważała ukaranie Junoszy infamią.

Sankcję tę na aktorów nakładali już starożytni Rzymianie, ale interpretowali ją inaczej. Kiedy w roku 364 przed Chrystusem pojawili się w Rzymie pierwsi etruscy tancerze, ich sztukę przejęli i uzupełnili o obseceniczne dialogi młodzieńcy z najlepszych patrycjuszowskich rodzin. Bardzo szybko popisy teatralne zyskały olbrzymią popularność u plebsu. Żeby chronić spoistość arystokracji i przez to zapewnić jej niepodzielną władzę, patrycjusze zmusili swoich potomków do wycofania się z publicznych występów. Ich miejsce zajęli artyści zawodowi, wprowadzani masowo z Grecji. Wtedy też każdego, kto występował na scenie, obłożono infamią. Była to decyzja polityczna. Nie dotyczyła – paradoksalnie – większości aktorów, ci byli niewolnikami lub wyzwoleńcami, niewiele więc mieli praw i niewiele mogli utracić. Sukces na scenie mógł tylko poprawić ich sytuację.

Kiedy w czerwcu 212 roku przed Chrystusem, podczas igrzysk apolińskich, wojska Hannibala zagroziły zniszczenia Rzymowi, wszyscy widzowie wybiegli z teatru i rzucili się do walki w obronie miasta. Tylko sędziwy mim Pomponiusz nie przestał tańczyć. Wroga odparto i obywatele uznali, że była w tym także zasługa tancerza. Ukuto nawet powiedzenie: „Ojczyzna zbawiona, starzec ciągle tańczy”. Rok później sytuacja się ponoć powtórzyła, tym razem nie przerwał tańca mim Wolumnius.

Marek Wojciechowski, czternastoletni żołnierz AK, wyznał po wojnie „ze wstydem”, że często chodził na zakazane przedstawienia, bo była to jedyna okazja, żeby zobaczyć wielkiego Stępowskiego. Aktor swoją grą pomagał żołnierzowi wytrwać w walce.

MIROSLAW KOCUR

Pół sztuki

Z teatrem nie jest jak z kinem – przed albo po obejrzeniu spektaklu trzeba niestety przeczytać scenariusz.

Agnieszkę Glińską w teatrze interesuje to, co powinno interesować reżysera: ludzie i sytuacja. Dramat Jona Fosse z pozoru spełniał oba te warunki. Oto rozrywkowa córka (Monika Krzywkowska) w dziewiątym miesiącu ciąży i z narzeczoną (Piotr Rękawik) wraca do niezbyt lubianego rodzinnego domu. Tu chce urodzić, wymyślić imię dla dziecka, ale co najważniejsze – po prostu nie ma gdzie się podziać. Jest na ten powrót skazana.

Czas płynie leniwie, Glińska pokazuje spotkania z kolejnymi domownikami – Siostrą (Monika Kwiatkowska), Matką (Maria Mamon) i Ojcem (Leon Charewicz). Bada ludzkie reakcje, stosunek rodziny do obwinianego za ciążę



Monika Kwiatkowska (Siostra), Piotr Rękawik (Chłopak) w „Imieniu”, Teatr Współczesny

chłopaka, relacje Dziewczyny z najbliższymi. Na scenie widzimy podpatrzony i zrekonstruowany kawałek życia, jakbyśmy zaglądali przez okno do sąsiednich pokojów. Matka tłucze się, chodząc o kulach, Siostra łązi w spodniach od pidżamy, skrepowany narzeczoną nie wie, gdzie postawić walizki.

Hiperrealizm, którym operuje Glińska, nie jest jednak po to, żebyśmy w przedstawieniu zobaczyli siebie – nasze domy, naszych rodziców, nasze powroty. Owa stylistyka służy jej do kolejnej opowieści o miłości przyszłej przez banał codzienności. Albowiem ludzie od Fosse bardzo chcieliby pokazać swoje emocje, ale już nie potrafią, ugrzęźli

w swoich prywatnych rytuałach szarości. Bohaterowie mówią językiem kalekim, wpadają w histериę lub obojętność na pokaz.

Aktorzy skupiają jednak naszą uwagę na detalach – spojrzeniu, ruchu głowy, taktownej pauzie, nieporadnym geście. A jednak Glińska patrzy na dramaturgię Fosse przez jeden okular. Półki znałem tylko spektakl, byłem zachwycony – sytuacje grane soczyście, ostro, bez niedomówień, podłoga jak trzeba, stół jak stół, kuchnia jak kuchnia, a ludzie prawdziwi. Po przeczytaniu drukowanego w Dialogu „Imienia” mina nieco mi zrzedła.

Owszem, można inscenizować ten utwór wyłącznie w realistycznej stylistyce, ale nie da się ukryć, że będzie to tylko pół sztuki.

Coś niezwykle istotnego przepadło w warszawskim przedstawieniu. Klucz do tekstu tkwi bowiem nie w sytuacjach, ale w języku, jakim mówią postaci. Usłyszane w spektaklu potoczne zdawałoby się kwestie w lekturze nabierają cech białego wiersza, są pełne refrenów, przerzutni i elips. To poezja napięta zwykłą, codzienną mową, ale wcale nie będąca jej kopią! W tekście zostawiono pauzy na reakcję aktorów – chodzenie, siadanie, gesty, grymasy. Każdy ruch ma określoną wartość rytmiczną, dopełnia brzmienie słów.

Tak – teatralna poezja Fosse tylko udaje realizm. Tymczasem Agnieszka Glińska pomija wszystko, co nie pasuje do jej założenia. Chwyciła za flagę z napisem: „Realizm, panowie, realizm!” i macha nam energicznie przed nosem. Podziwiam rewolucyjny zapał, lecz jeśli gramy w realizm, to, proszę pani, czekam na drugi akt. Tymczasem spektakl Glińskiej się urywa. Przyjaciół z dzieciństwa Bjorne (Przemysław Kaczyński) wychodzi: domyślamy się, że cała rodzina uwielbia go, a oni bardzo się kiedyś z Dziewczyną kochali, może to nawet jego dziecko. Zapalają się światła na widowni. Jak to się wszystko rozpląta? Polubiliśmy przecież bohaterów! A tu reżyser dał nam chwilę popatrzeć – a potem wygonił spod okna.

ŁUKASZ DREWNIK

Teatr Współczesny w Warszawie, Scena w Baraku, „Imię” Jona Fosse. Reż. Agnieszka Glińska, scenografia Magdalena Maciejewska, opracowanie muzyczne Olena Leonenko. Premiera: 8 kwietnia 2001.

Magiczna godzina pacynek



PAWEŁ GŁOWACKI
Rocznik 1965. Krytyk.
Krytykował wszystkich na łamach „Teatru”, „Tygodnika Powszechnego”, „Rzeczpospolitej” i „Dziennika Polskiego”.

Pacynka i ręka lalkarza – pełne życie rozpięte na trzech palcach życia pozornie potężniejszego. Na wskazującym jest głowa wielkości kurzego jajka, na kciuku i palcu środkowym – dłonie nie większe od naszych paznokci. Pacynka – kieszonkowa liza, człowiek na palcach człowieka, wzruszenie pierwsze, czyste, całkowite stamtąd, z czasów, gdy jeszcze był synkiem i w byle jakiej kulce przypadkiem z piachu wykopanej odnajdywał całe światy. Pacynka – kolosalne byle co, na przykład Pulcinella rodem z komedii dell'arte, na trzech palcach na przykład starego, tysego neapolitańczyka.

Z powodu strajku włoskich kolei jechał do Krakowa dwa i pół dnia. Wmyślcie się w to – stary, tysego neapolitańczyk, Salvatore Gatto, absolutny mag trzech palców, tylko po to dwie i pół doby tłucze się po Europie, żeby w Teatrze Groteska wyjąć z kieszeni pacynkę i paroma zawrotnymi ruchami wycisnąć z powietrza cud baśni czystej. Trzeba być naprawdę wielkim artystą, żeby się zdobyć na taką pokorę wobec lalki.

Dłonie Gatto są wszystkimi postaciami, Gatto zmienia rozpięte na palcach kruche istnienia tak, jakby był rekordzistą świata w szybkości zmieniania rękawiczek. Głos Gatto – istny Dr Jekyll i Mr Hyde – jest wszystkimi głosami. Serce Gatto to kameleon spacerujący po pstrokatym dywanie świata. Palce, głos i serce zlepiają się w „Pulcinella che passione”, w magiczną godzinę pacynek, w komedię dell'arte zamkniętą w pudełku zapalek, w najczystsza baśń o próbie oswojania ciemnych plam świata. Gatto wraca do czasów, kiedy teatr jeszcze był synkiem, któremu – aby wy czarować wszystko – wystarczyło byle co. Gatto wraca do elementarza. „Ala ma kota”, „Buda i As”, „Każy ma lzy”.

Pulcinella cały jest biały, ma zakrzywiony nos i bardzo skrzeczy, rzeczywiście, jak nazwa wskazuje, kogucik z niego. Ale ten kogucik ma miód pod skórą. Dłonią jak paznokieć czule muska wargi pięknej neapolitanki o główce niewiele większej od kurzego jajka. Tak, kogucik szalenie się za-

kochał, ale cóż czynić, skoro zło zaczyna wylać wszystkimi szczelinami. Trzeba na chwilę odstawić miłość, trzeba iść w bój. I kogucik idzie w bój jak w dym. Desperacko walczy z brzydkim, rudym smokiem; z pewnym ponurym charakterem kogucik wchodzi w zwarcia godne krwawych szaleństw; wielką maczugą, która przecież jest pacyczkiem, z trudem boryka się z ciemnym duchem o wstrętne wyszczerzonych zębach. Walczy, dzielnie walczy, oczywiście wygrywa, a później wraca do pięknej neapolitanki. Znów muska paznokciem dłoni nitki jej kruchych warg. Znów ma miód pod skórą.

Cóż się tam, między opętańczo wirującymi dłońmi Gatto, wyprawia. Skoki, loty, uderzenia, nurkowania i inne brewerie, a z każdym rzeczywistym doskonalnym ruchem palca maga z Neapolu człowiekowi się zdaje, że pacynki rosną, że ta kruchość potężnieje, aż wreszcie do imentu wyobraźni wypełnia. A w finale człowiek już wie, że życie tych ciałek, rozpiętych na trzech wielkich paluchach lalkarza, w istocie sięga nam wprost do gardła. I że tak naprawdę to chyba odwrotnie było – nie Gatto kogucika w wir walki wprowadzał, lecz kogucik wciągał Gatto. To pacynka ciągnęła człowieka za rękę tam, gdzie chciał. W finale kogucik małą miotłką sprząta pobojuwisko i wtedy spod kurtynki na sekundę pokazuje się głowa Gatto. I kogucik całkiem spokojnie zamyka czoło swego pana. Pan dziękuje.

Tą białą pacynką Gatto bawi się 20 lat. Kogucik jest cały w bliznach. Po każdym spektaklu Gatto go łąta. Jak się zupełnie rozsypie – zrobi nowego. I tak aż do końca – do końca Gatto. Lalkarz dobrze wie, że ostatni jego pacynkowy Pulcinella go przeżyje. W środku spektaklu kogucik próbuje wcisnąć ciało wroga do trumny. Nie daje rady. Pacynka jest za duża. To byle co, ten zapalczano kruchy oddech jest za duży na każdą trumnę. Żadnej pacynki nie można pochować, bo cud baśni czystej nie jest ze świata tego. Więc Gatto pozwala, żeby mu kieszonkowa liza co wieczór zamykała czoło. Gatto nie ma wyjścia.

Stary, łysy neapolitańczyk Salvatore Gatto to absolutny mag trzech palców.



W ramach wielkanocnego remanentu KOSTKA wchodzi na grząski grunt relacji sztuka – religia i przynajmniej z trzech powodów „lobbinguje” na rzecz pewnego spektaklu z Wałbrzycha.

1. Cieszy wybór niebanalnego apokryfu Kulmowej, będącego próbą ukazania narodzin i śmierci Chrystusa przez historię Barabasa, zbroja, który okradł Dzieciątka w stajence z darów Trzech Króli i chytrze wywinął się od śmierci na krzyżu.
2. W przedstawieniu trudno znaleźć łatwe pouczenia, jest za to nadzieja na odkupienie każdego, nawet największego grzechu. Może stąd finał wieńczy odśpiewany przez cały zespół song w stylu gospel.
3. Choć spektakl należy do gatunku realizacji noworocznych i okolicznościowych, oryginalność motywu Barabasa sprawia, że można pokazywać go zarówno podczas świąt Bożego Narodzenia, jak i w czasie Wielkanocy. A jak się głębiej zastanowić, to sztuka jest aktualna przez cały sezon.

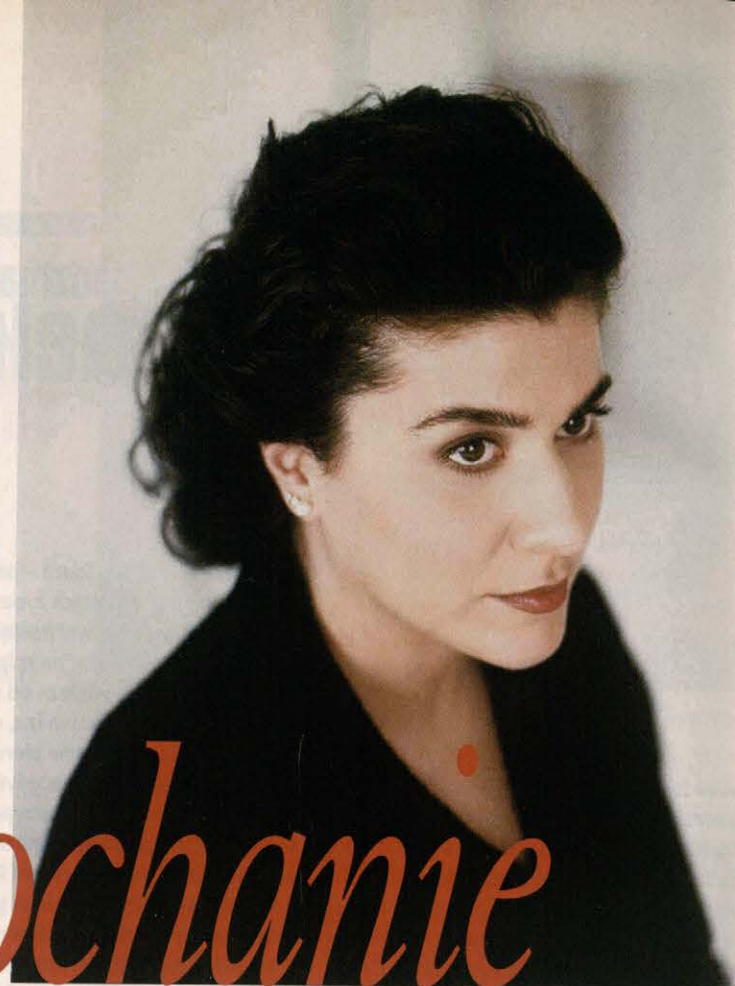
Streszczenie KOSTKI dla wszystkich proboszczów w Polsce: „Grzech nie zobaczyć!”.

(ŁD)

Teatr Lalki i Aktora w Wałbrzychu „Mirra, kadzidło i złoto” Joanny Kulmowej. Reżyseria: Bogdan Nauka, scenografia: Dariusz Miliński, muzyka: Jan Walczyński. Występ w warszawskim Teatrze Małym 8 kwietnia 2001.

**Cecilia Bartoli
jako dziecko marzyła,
by zostać tancerką flamenco.
Jednak rodzice
– sopranistka Silvana Bazzoni
i tenor Angelo Bartoli
– szybko odkryli
prawdziwy talent córki.**

Śpiewanie jak rochanie



FOT. DECCAN-PIERRE MASLET

Dziś jej nazwisko znajduje się na drugim miejscu – pod względem najlepiej sprzedających się płyt z muzyką poważną – po Luciano Pavarottim.

Na pytanie, w czym tkwi tajemnica jej cudownego głosu, odpowiada: – Myślę, że Bóg powiedział do mnie „Cześć!”. O nauce śpiewu mówi, iż była dla niej czymś tak naturalnym, jak robienie dobrego włoskiego makaronu. Zresztą jedzenie jest także jedną z jej pasji: – Równie dobrze mogłabym otworzyć restaurację – żartuje. Uwielbia czekoladę, o której mówi z rozrzwinnieniem: – Któż może się jej oprzeć!

Mimo swej południowej urody nigdy nie chciała grać Carmen. Z takim samym powodzeniem potrafi wcielić się w rolę niewinnego

Kopciuszka, jak i pełnej temperamentu Armidy. – Czuję śpiewanie całym moim ciałem. Czasem są to prawie takie same odczucia, jak przy uprawianiu miłości.

Za płytę „Italian Songs” otrzymała w roku 1995 nagrodę Grammy. Przyznaje, że głos jest jej szefem, a ze śpiewaniem to jak z chodzeniem – można pójść, gdzie tylko się zapragnie, ale trzeba wybrać odpowiednią drogę. Wielokrotnie tytułowana wokalistką roku, uznana przez międzynarodowych krytyków i wydawnictwo Festspiele za najlepszą śpiewaczkę dekady, Bartoli wystąpi w Polsce dwukrotnie. Drugi z koncertów nie odbędzie się jednak – jak planowano wcześniej – w kościele, lecz w studiu radiowym. A to z powodu erotycznego brzmienia

głosu artystki, który – jak ponoć stwierdził jej agent – mógłby w nabożnym miejscu wprawić mężczyzn w zakłopotanie...

Bartoli urodziła się w roku 1966 w stolicy Włoch. W wieku ośmiu lat po raz pierwszy wystąpiła publicznie na deskach rzymskiej opery – w roli Pastuszka w „Tosce”. W roku 1982 rozpoczęła studia muzyczne w Akademii św. Cecylii w Rzymie. Trzy lata później wystąpiła w telewizyjnym konkursie talentów, zapowiadana przez Katię Ricciarelli i Leo Nucciego. Zaśpiewała także na koncercie poświęconym pamięci Marii Callas w Operze Paryskiej. Świetna passa płytowa artystki trwa nieprzerwanie od połowy lat osiemdziesiątych.

O wokalnym talencie włoskiej gwiazdy można by pisać książki.

Obdarzona rzadko spotykanym rodzajem głosu – mezzosopranem koloraturowym – Cecilia Bartoli z podobną łatwością wykonuje wirtuozowskie koloratury (zadziwiając lekkością i precyzją!), jak również liryczne arie przepelnione uczuciem, w tym szaleńcze wybuchy bólu i wściekłości.

Jej głos jest nadzwyczaj ekspresyjny, tak samo jak twarz, oczy. Obejmuje niemal trzy oktawy. – Technika jest bardzo ważna, trzeba nad nią pracować jak przy układaniu kamienia na kamieniu – mówi Bartoli – ale przede wszystkim musi się kochać to, co się robi.

Jest jedną z najwyrazistszych osobowości światowej wokalistyki. Pewnie dlatego, że – jak sama mówi – śpiewak powinien być również dobrym aktorem. Niektórzy zarzucają jej, że ma dość ograniczony repertuar – śpiewa głównie Rossiniego, Mozarta, Haydna, ale nie Wagnera, Verdiego czy Bizeta. – Zdaję sobie sprawę, że nie mogę śpiewać wszystkiego. I nie chodzi tu tylko o mój głos, raczej o osobowość. Po prostu czuję, że moja du-

sza jest bliżej XVIII wieku – tłumaczy. – Oczywiście nie sądzę, by jakaś szczególna rola mogła zniszczyć głos śpiewaka. O nie! Zniszczyć może go raczej beczyność. Ale uważam, że sekret artysty tkwi w jego repertuarze. Jeśli wie, jak go uściślić, to robi duży krok do przodu.

Jest otwarta, bezpośrednia. Wizerunek diwy operowej – to nie dla niej. Szczerze uśmiecha się do publiczności i rozmawia z każdym, kto o to poprosi. – Nie chcę być wyniosłą gwiazdą i trzymać się z dala od ludzi. Po przedstawieniach jestem po prostu sobą. I to jest jedyny sposób na życie, jaki znam. Oczywiście, trzeba mieć pewną prywatność i zachowywać dystans, ale to nie wyklucza bycia dla innych grzecznym i ludzkim – wyjaśnia śpiewaczka. – Poza tym słowa diwa czy primadonna są dla mnie dziwne. Z góry sugerują solową obecność na scenie. A ja wcale nie czuję tej samotności.

Bartoli ma apetyt na życie. Nie apyskuje – jak czynią to niektóre gwiazdy – i nie zazdrości innym. Stara się widzieć tylko dobre strony. Optymizm znajduje nawet w najbardziej ponurych sytuacjach. Mówi, że małe codzienne przyjemności – na przykład kupowanie gałzety, odwiedzanie przyjaciół czy picie cappuccino – leżą w jej nieskomplikowanym łańcuchem entuzjazmu do życia. – Kiedy śpiewam, próbuję wysłać publiczności pewną wiadomość. Kiedy koncert się kończy, a ludzie mówią: „Spędziliśmy wspaniały wieczór”, to przede wszystkim zależy mi, by tego szybko nie zapomnieli. Natomiast ja wracam do domu i zastanawiam się, co było dobre, a co złe. Myślę, że to jedyny sposób dla artysty, by się rozwijał.

Podczas występów w Polsce Cecilia Bartoli zaśpiewa arie z rzadko wykonywanych oper Vivaldiego (zgrupowane na płycie wydanej rok temu przez wytwórnię Decca, z którą artystka związana jest stałym kontaktem) oraz Glucka. Artystce towarzyszyć będzie słynna Akademie für Alte Musik.

JOWITA DZIEDZIC



DAVE MATTHEWS BAND. Płyta do powolnego wsłuchiwania się.

Po pierwszym razie nic szczególnego w tej muzyce nie odkrywamy. Ot – dwanaście ładnych piosenek. Dopiero po drugim, trzecim razie łapiemy, o co chodzi. A chodzi tu o dobrą, muzyczną zabawę. Inteligentne teksty, muzycy na dużym poziomie – grają z polotem, unikając samouwiebienia. Oto elementy układanki, która w USA cieszy się zabójczym wręcz powodzeniem. „Everyday” to album bardzo równy. Otwiera go dobry przebieg „I did it”, a potem jest jeszcze lepiej „When the world ends”, „Angel” to piosenki, po których wysłuchaniu aż chce się żyć. (RZ)

RCA



GARY MOORE. Ten dobry bluesowy gitarzysta zbyt często ucieka w stronę heavy metalu, co odbija się nie tylko na reputacji, ale zwłaszcza na muzyce. „Back to the blues”, jak sam tytuł wskazuje, jest powrotem na bluesowe ścieżki. Nie do końca udanym, ale dobrym. Po pierwszych trzydziestu minutach album zaczyna zwyczajnie przynudzać. Zagrany on jest na jednej nucie – w bluesie zarzut to żaden – ale pozbawiony feelingu. Za to sprawdza się doskonale w słuchaniu na „wyrwyki”. Wtedy każda z tych piosenek cieszy – zwłaszcza „Stormy monday” i „Picture of the moon”. I wtedy jest to album znakomity. (RZ)

Sanctuary Rec.



GORILLAZ. Na początku znajomy głos Damona Albarna (lider Blur). Muzyka też Blur przypomina. Ale co w Gorillaz robi Albarn?

W ogóle kim są Gorillaz? Długo można sobie łamać głowę. A prawda jest taka – Gorillaz to po prostu Blur. Płyta znakomita. Wśród gości m.in. Ibrahim Ferrer. Muzycznie rozrzucone od punk rocka, przez hip-hop, po psychodelię. Ciekawy zabieg wydania płyty pod pseudonimem. Ale to nie pomogło ukryć własnego, wyrobionego stylu. I to kładzie całą mistyfikację. Pozostaje muzyka, a ta nie pozwala się nudzić. Największe zaś chyba wrażenie robi kompozycja ostatnia „M1 A1” – wykorzystująca muzykę z filmu G. Romero „Świt żywych trupów”. (RZ)

EMI

CYMESIK DLA MELOMANA



VIKTORIA PO DRUGIEJ STRONIE LUSTRA

Flirty z lżejszą muzyką zdarzają się nawet najwierniejszym interpretatorom klasyki. Nowością płytową jest „Through the looking glass” znakomitej skrzypaczki Viktorii Mullovej. Propozycja repertuarowa (utwory Bee Gees czy Milesa Davisa) może sugerować kolejną próbę kokietowania szerszej publiczności (patrz: Vanessa Mae czy Tytus Wojnowicz), ale tu nie dzieje się to kosztem jakości. W aranżacjach wiolonczelisty Matthew Barleja nie czuć swądu tandety, jego pomysły są starannie przemyślane i wysmakowane.

Ewolucję Viktorii Mullovej śledzę od lat. Wielką światową karierę umożliwiło jej wygranie w 1982 roku Konkursu im. Piotra Czajkowskiego w Moskwie. Pamiętam ją z okładek pierwszych płyt – młodzieńką i słodką. Jakież było moje zdziwienie, kiedy spotkałam ją w latach 90. na festiwalu Schleswig Holstein. Orkiestra festiwalowa, w której miałam zaszczyt grać pod batutą Valerego Gergieva, oczekiwała na swoją solistkę. Mullova zjawiła się na próbie jakaś bardziej surowa, pewna siebie i... w zaawansowanej ciąży.

Próbowała także swoich sił jako wykonawczyni i zarazem dyrygent orkiestry kameralnej. Koncertuje z Piotrem Anderszewskim, jednym z najzdolniejszych polskich pianistów. A teraz „Through the looking glass” (w marcu miała tournée po Japonii promujące ten projekt). Czym nas jeszcze zaskoczy?

JULIA KUBICA

CECILIA BARTOLI

10 maja 2001
Warszawa

12 maja 2001
Wrocław

Wrocław Cantans

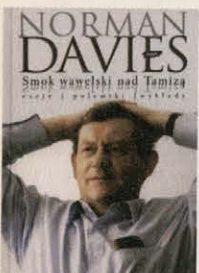
**Cecilia Bartoli wystąpi podczas dwóch koncertów w Polsce:
10 maja w Warszawie – z okazji 100-lecia Filharmonii Narodowej, a 12 maja we Wrocławiu w ramach 36. Międzynarodowego Festiwalu Wroclavia Cantans.**



•••

Dostępna u nas literatura cyganologiczna nie jest zbyt obfita. Tym gorzej należy powitać przekład zajmującej książki brytyjskiego autora, poświęconej historii Cyganów – od średniowiecza po współczesność. Angus Fraser, na podstawie imponującego materiału źródłowego, pasjonująco przedstawia mało znane, a niezmiernie ciekawe i częstokroć dramatyczne losy ludu tułaczy. Książkę, którą wzbogacają nie tylko liczne ilustracje, ale i komentarze najlepszego polskiego znawcy tematu, profesora Lecha Mroza, czytać można nie tylko dla zdobycia wiadomości o Cyganach. Jest to przecież także dzieło o osiadłych narodach Europy i ich reakcjach – najczęściej represyjnych – na radykalną odmienność sposobu życia wiecznych wędrowców. (MS)

Angus Fraser: „Dzieje Cyganów”. Przel. Ewa Klekot. PIW, Warszawa 2001



•••

Świetny zbiór esejów, artykułów, wykładów i polemik znakomitego angielskiego historyka zajmującego się Polską i jej pokrętną historią. Autor pokazuje, jak małe formy można nasycić maksimum treści. Część znanych wcześniej tekstów ukazuje się pierwszy raz bez ingerencji cenzury. Książkę czyta się jednym tchem – i zainteresuje ona nie tylko specjalistów, bo Davies jest przy okazji popularyzatorem, co się zowie. I jeszcze jeden bezcenny walor autora i jego książki – spojrzenie na naszą przeszłość oczami człowieka z zewnątrz – bez uprzedzeń, bez resentymentów, za to z porażającym bagażem wiedzy i umiejętności literackich. A oto przykład stylu Daviesa i przy okazji smakowity cytat dotyczący władania polszczyzną przez obcokrajowców: „Wbrew pozorom nie jest to takie trudne; wystarczy mieć pięknie podniebienie, metalowe koronki, rozwidlony język, dostatecznie szerokie szczeliny między zębami, żeby było ujęcie dla nadmiaru śliny, no i 20 lat praktyki”. (JAZ)

Norman Davies: „Smok wawelski nad Tamizą. Eseje, polemiki, wykłady”, Znak 2001



•••

Kolejny zbiór artykułów znanego publicysty i oryginała. Autor ma ustaloną renomę, opinie zaś o jego tekstach są podzielone – od zachwytów po najdziksze nagany. Tak będzie i teraz: Kałużyński nie bawi się w subtelności, wali na odlew i po nazwisku, zręcznie przeskakując z tematu na temat. Zajmuje się obyczajami, polityką, wygłasza bulwersujące sądy na tematy historyczne – i oczywiście – pisze o kinematografii. Jak zwykle nie zostawia suchej nitki na kinie polskim, co akurat się zgadza. Słowem: po raz kolejny i na pewno nie ostatni śmiesz, tumani, przestrasza i czasem daje do myślenia. Entuzjaści Kałużyńskiego przyjmą z entuzjazmem, wrogowie – z jeszcze większą wrogością. Zatem w dorobku publicystycznym Kałużyńskiego bez zmian. I z całą pewnością autor sam wymyślił tytuł swojego zbioru, pasuje jak ulał do zawartości. Na okrasę – niebywałe zdjęcie felietonisty w stroju roboczym. Jest wartością samą w sobie. (JAZ)

Zygmunt Kałużyński: „Wampir salonowiec”, Wydawnictwo Książkowe Twój Styl, Warszawa 2001

Życie to sen Barei, śniony nieprzytomnie

Filmy Barei przeżywają w III RP renesans popularności. Przypominają je kolejne stacje telewizyjne, a cytaty z Barei weszły do mowy potocznej. O Barei – zmarłym na wylew 14 czerwca 1987 r. – wciąż mówi się i pisze.

Popularność Barei dowodzi nie zwykłych możliwości, jakie tkwiły w – prawdziwym – realizmie socjalistycznym. Prawdziwym, to znaczy takim, który – w odróżnieniu od socrealizmu realnego – opowiadał o tym, jak życie w socjalizmie wygląda naprawdę, a nie o tym, jak powinno wyglądać zdaniem ideologów. Bo takie filmy, jak „Nie ma róży bez ognia”, „Miś”, „Alternatywy 4”, to po prostu dokumenty utrwalające dla potomnych zasady rządzące naszym życiem w czasach demokracji ludowej. Dokumenty porażające swą siłą.

– Bareja szedł dalej niż maniasty KOR-u – uważa przywoływany przez Macieja Łuczaka Jacek Kuroń. – Zamiast bojkotować filmy sowieckie, kręcicie własne – można rzec, trawestując inne znane powiedzenie Kuronia.

Rzeczywiście, filmy Barei, opisujące absurd peerelowskiego życia szły dalej niż niejeden z manifestów opozycji. I z pewnością docierały do znacznie większej liczby ludzi. Dziś szokuje samo to, że mogły powstać. Za peerelowskie pieniądze, za (wymuszoną) aprobatą peerelowskiej cenzury.

Maciej Łuczak opisuje kilka takich wydarzeń. Na przykład w „Małżeństwie z rozsądku” (rok 1966) filmowano scenę, w której Edzio (Bohdan Łazuka) zjada parówkę. Pierwsze ujęcie – bohater zjada pół kielbaski. Dubel – konsumuje kawałek innej parówki. Wreszcie scena jest kręcona po raz trzeci – i Łazuka się dławi. Okazało się, że oszczędny rekwizytor skleił taśmą dwa kawałki parówek, których w poprzednich ujęciach Edzio nie zjadł do końca.

Filmy Barei powstawały nie tylko wbrew oporowi materii. Ich współautorami są anonimowi pracownicy Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk oraz znani z nazwiska uczestnicy komisji kolaudacyj-

Gdyby odrzucić filmy Barei, życie w PRL byłoby jeszcze bardziej ponure i smutne.



nym, decydujący o dopuszczaniu filmów na ekrany – jak pisze Łuczak, z filmu „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz” usunięto 7 scen, skrócono 12, a 5 nakazano przemontować.

Bohdan Poręba, dysponując skalą od 1 do 25 punktów, przyznał temu filmowi zero. Bareja bronił się jak lew. Podczas kolaudacji „Nie ma róży bez ognia” mówił, używając języka zrozumiałego (i strawnego) dla partyjnych funkcjonariuszy.

Za takie wyrzeczenia – podczas prób pertraktowania z decydentami – Bareja zapłacił wysoką cenę. W kilka dni po kolaudacji „Co mi zrobisz...” dostał pierwszego ataku serca. Od tej chwili – jak pisze Maciej Łuczak – zwykł powtarzać: „Żeby robić komedie, trzeba mieć zdrowie, a ja mam anginę pectoris”.

Jego postawa była jednak doceniana. Zdjęcia do serialu „Alternatywy 4” rozpoczęły się we wrześniu 1981 r. i po wprowadzeniu stanu wojennego zostały zawieszone. Gdy można było wznowić pracę, trwał ogłoszony przez śro-

dowisko aktorskie bojkot telewizji. Ale, jak pisze Łuczak, „aktorzy grający w «Alternatywach 4» otrzymali od ZASP-u zgodę na występowanie w tym serialu. Ich postawa nie została uznana za złamanie obowiązującego praktycznie całe środowisko bojkotu”.

Ciekawe, jak dziś wyglądałaby polska kinematografia, gdyby nie przedwczesna śmierć Stanisława Barei?

– Na pewno doczekalibyśmy się jego świetnego filmu o konspiracji – mówi w książce Zbigniew Bujak, legendarny przywódca podziemnej „Solidarności” (Bareja – notabene – dbał o jego charakterystycję). A nasze życie wciąż pisze dla Barei scenariusze.

WŁODZIMIERZ JURASZ

Maciej Łuczak: „Miś, czyli rzecz o Stanisławie Barei”, Prószyński i S-ka, Warszawa 2001



Szkoda, że nie ma Barei

Rozmowa z prof. Ryszardem Legutko, filozofem i publicystą



FOT. G. KODANEWICZ

Dlaczego Stanisław Bareja wielkim reżyserem jest?

Ponieważ zachwyca. Ja go kochałem, może nie zawsze – pierwsze filmy Barei były średnie. Ale gdy zaczął zajmować się PRL-em, stwierdziłem, że to są najtrafniejsze obrazy tego czasu. Gdy oglądało się filmy Barei, miało się poczucie stuprocentowej trafności jego obserwacji. A przy tym były to filmy naprawdę śmieszne.

Czy kochamy Bareję tylko za pokazanie owych absurdów?

To nie jest wyłącznie prosta satyra. Gdyby tak było, prawdopodobnie dawno byśmy o tych filmach zapomnieli. To groteska pokazująca absurd systemowy i ponadczasowe mechanizmy rządzące ludzkimi zachowaniami. Na przykład serial „Alternatywy 4” jest satyrą na spółdzielczość mieszkaniową, ale i obrazem powstawania systemu władzy.

Czy za kilkadziesiąt lat filmy Barei będą jeszcze zrozumiałe?

Książka poświęcona jego twórczości zaczyna się od wyjaśnienia podstawowych pojęć i zjawisk: reglamentacja, kartki.

Sądę, że coś z Barei zostanie. Być może będzie to interesujące poznawczo, jako że nie mamy zbyt wiele kronikarskich zapisów życia w PRL-u. A może te filmy będą funkcjonować jako opis czystego absurdu? Absurd jest przecież wieczny.

Szkoda, że Stanisław Bareja nie doczekał czasów III RP.

Tak, byłoby ciekawe zobaczyć jego wizję naszej współczesności. On zawsze widział więcej niż inni. Dziś większość satyrków opisuje świat nader stereotypowo. Szkoda, że Go nie ma.

Rozmawiał WJ

MAKULATUTRA

LITERACKI TERCET EGZOTYCZNY

W przeddzień pierwszomajowego święta widzowie telewizji publicznej przez 35 minut mogli się plawić w tematyce kulturalnej. Oto bowiem „Jedynka” w godzinach powszechnie uznawanych za nieprzyzwoite (23.20) pokazała swój nowy program, zatytułowany „Dobre książki”. W studiu na tle tomów powiększonych do nadnaturalnych rozmiarów zasiedli – przy stole, którego blat wspierał się o paczki z książkami – uniwersytecki krytyk Kazimiera Szczuka, eseista, tłumacz i redaktor miesięcznika „Nowe książki” – Tomasz Lubieński oraz publicysta „Gazety Wyborczej” – Witold Beres. Zasiedli i zaczęli rozmawiać, ale jakoś tak bez widocznego zaangażowania, o dziełach Jarosława Abramowa-Newerlego, Marii Janion i Jerzego Pilcha. Dlaczego właśnie o nich? Trudno zgadnąć. Książki Janion i Pilcha ukazały się jesienią ubiegłego roku, zatem nie nowość była kryterium decydującym, książka zaś Newerlego nie jest, pozwolę sobie zauważyć, publikacją szczególnie ważną. Jedynie obecności książki Pilcha wyjaśniać może fraza Beresia, który stwierdził zdecydowanie, iż powieść „Pod Mocnym Aniołem” jest jego zdaniem najlep-

szą polską książką roku 2000 i powinna dostać literacką nagrodę Nike. Oprócz jałowych pogaduszek widzowie otrzymali jeszcze rozmowę z pracowniczką naukową Biblioteki Narodowej o tym, że Polacy mało czytają i nakręcony w Anglii felieton-wywiad z autorem powieści uniwersyteckich, Davidem Lodgem.

Pięknie, jestem zachwycony – program o książkach został zrealizowany i wyemitowany. Kłopot polega tylko i aż na tym, że „Dobrych książek” mogłoby tak naprawdę nie być. A przecież miłośnicy czytania także pragnęliby zobaczyć miłe swojemu sercu obrazki i usłyszeć mądre słowa na ekranie telewizora. Ale okazuje się, że telewizja publiczna wciąż nie jest w stanie przygotować programu o dziełach wartych lektury. Wciąż przypadkowo, choć jakoś tam kompetentni krytycy udowadniają jedynie, że książek można nie czytać, bo są mało interesujące i niepotrzebne do niczego. A to przecież nieprawda. Przynajmniej taką mam nadzieję. I wciąż czekam na polskiego Reicha-Ranickiego oraz Pivota.

MARCIN BARAN

ZDANIEM mojej ŻONY...

...długa ręka rynku zaczęła już delikatnie obmacywać jej gardło. „Wiesz, powiedziała moja żona, nakładając kolejną warstwę pudru, muszę się chyba dostosować. Nikt nie potrafi już wysłuchać więcej niż jednej szpalty moich zwierzeń (są jednak – pomyślałem – szczęśliwi ludzie na tej ziemi). Będę musiała zwierzać się krótko i atrakcyjnie. Moje przyjaciółki dawno już zrozumiały, że żyjemy w kulturze obrazkowej, więc nie mogę już liczyć na ich cierpliwość. Będę wyjątkowo pokazywać zdjęcia. Pokażę nasze zdjęcie ślubne i wszystkie odczytają to jako wołanie o pomoc. Pokażę zdjęcie naszego samochodu i zrozumią, dlaczego nie jadę na narty w Alpy. To fantastyczne, nieprawdą? Przecież i tak nikt nikogo już nie słucha. Wszyscy się tylko gapią i gapią. Takie czasy”. Cóż, nie lubię zdjęć, moje zmęczone oczy nie mogą żyć bez kilku szpalt drobnego druku, których nie sposób rozłożyć w tramwaju jadącym z placu Centralnego, bez pocierania ich o tyse czaszki synów nowohuckiej kultury obrazkowej. A co do zwierzeń, to i tak nikt mnie nigdy nie rozumiał, więc wszystko mi jedno. „Masz rację, jesteś taka piękna, że dla ciebie mogę nawet nie czytać „Tygodnika Powszechnego”, tylko prosić cię, nie pokazuj swoim przyjaciółkom mojego zdjęcia z MB, bo i tak nikt nie uwierzy, że otarłem się o wielką poezję”.

maż

Majówka

Majówka może być okazją do kulinarnych popisów i urokliwej konsumpcji al fresco.

Pośród pomysłów na majówkę rozróżniłbym dwa podejścia do jej kulinarnej treści. Pierwszy, eskapistyczny, sprowadza się do jedzenia tego, co podają w okolicznych lokalach. Kiełbasa, kaszanka, kurczak lub smażona ryba, do tego pieczywo, frytki, ketchup, musztarda i piwo. Klasyka. Pomysł drugi polega na zabraniu ze sobą prowiantu i napojów. Jeżeli majówkę potraktujemy lekko, weźmiemy to, co wymieniał kilka lat

temu kulinarny felietonista pewnej gazety: pieczony schab, marynowane ogórki czy grzyby, jajka na twardo i wódkę. Natomiast jeśli zapagniemy czegoś bardziej wyrafinowanego, majówka może stać się okazją do kulinarnych popisów i urokliwej konsumpcji al fresco.

Zacznijmy od spraw podstawowych. Na majówkę zabiera się wiklinowe kosze. Umieszczamy w nich obrusy, sztucze, korkociąg, kieliszki, serwetki, pieprz i sól, a także owoce, warzywa,

chleb i czerwone wino. Właściwe dania oraz wina białe transportujemy w pojemniku utrzymującym je w optymalnej dla nich temperaturze.

W takich pojemnikach możemy też zabrać lód. Jeżeli nie posiadamy specjalnych, izotermicznych skrzynek, możemy zastąpić je takimi torbami, dostępnymi w działach mrożonek dużych sklepów spożywczych. Coraz rzadziej spotykane termosy przydają się do przewożenia koktajlów, na przykład żubrówki z sokiem jabł-

kowym, idealnie dopasowanej do wędzonego pstrąga, od którego miło rozpocząć majówkowy popas. Przyjemne są też

kurze skrzydełko

Upieczone na ruszcie, wcześniej bejcowane przez kilka godzin w oliwie, cytrynach, czosnku i grubo potłuczonych ziarnach czarnego pieprzu. Do takich skrzydełek świetnie pasuje sałatka z soczewicy i koziego sera.

Najwłaściwsza jest tu soczewica zielona, o małych ziarnach.



RYŚ: PIOTR GIELEWSKI

Gotujemy ją w wodzie z pakiecikiem zawierającym natkę, bazylię i kilka ząbków czosnku, odciecujemy, wyrzucamy pakiecik, studzimy, następnie mieszamy z winnym octem i oliwą z pierwszego tłoczenia, rozdrobnionym koczim serem, szczypiorkiem, posiekaną natką i drobniutko posiekanym czosnkiem, solą oraz pieprzem. Chłodzimy przez kilka godzin i podajemy z pomidorami i liśćmi bazylii.

Mniej sycąca jest sałatka z kopru włoskiego i czerwonej

cebuli. Z bulw kopru odcinamy twarde dno i górne pędy, a pozabawione także zewnętrznej warstwy bulwy kroimy na cienkie plasterki. Czerwoną cebulę (jedną dużą na sześć małych koprów) także kroimy na cienkie plasterki. Przyprawiamy sosem winegret i chłodzimy przez godzinę przed podaniem.

Rzodkiewka, młoda kalarepka na surowo, jabłka, oliwki, gruszki i śliwki w occie, jak również kabanosy lub inne suche kiełbasy

świetnie się sprawdzają na majówkach, lecz są to rzeczy gotowe, nie wymagające dłuższych zabiegów wstępnych. Nieco więcej zachodu wymaga deser, nie tylko ze względów technicznych (trudno jest przewozić i przenosić niektóre desery bez uszczerbku dla ich wyglądu i konsystencji), lecz koncepcyjnych, ponieważ na majówce powinno się podawać

deser majowy

Ale cóż to takiego – deser majowy? Nie ma jeszcze owoców let-

nich, inne desery, takie jak piernik, sernik czy makowiec kojarzą się z minioną, długą i ciężką zimą. Za to rabarbar to roślina majowa par excellence, a kruche ciasto, pokryte podduszonym – z cukrem i kilkoma łyżkami dżemu morelowego – rabarborem, który z kolei pokrywa górną warstwę posypanego cukrem pudrem kruchego ciasta – to deser na maj najlepszy.

Dla wygody ciasto powinno całkowicie okalać rabarbar, czyli mieć brzegi łączące górę z dnem. Piekąc je, należy zrobić kilka otworów w górnej jego warstwie, aby gromadząca się para miała którędy uciec. Rabarbar zaś należy dobrze odciec przed położeniem go na kruchy spód, aby ten nie nasiąkł zbyt i nie stracił na kruchości.

Gdybym znał przepis na dobrą pogodę, już dawno bym go tu zamieścił.

TADEUSZ PIÓRO

LISTY PIECZĘTOWANE SOSEM Makłowicz do Bikonta

Piotrze!

Jestem otepiały i pisanie przychodzi mi z najwyższym trudem. Króciutko wspomnę, co dzisiaj jadłem, a z łatwością domyślisz się, skąd się te słowa. Na śniadanie omlet z boczkiem, a potem przez cały dzień: groch z wędzonką, cieniutko krojone świńskie uszy (bez paniki, wcześniej je ugotowano) z dodatkiem pasieczków jarzyn i sosu winegret, kawałki ciemnego chleba, smażone jak frytki i bardzo mocno czosnkowane, chłodnik z buraków, wielkie ziemniaczane, wrzecionowane kluchy z nadzieniem mięsny, polane skwarkami i śmietaną, a zwane cepelinami, śledzie ze śmietaną i jabłkami, podawane z ziemniakami gotowanymi w mundurkach, szczupak gotowany w barszczu i kilka innych, jeszcze mniej dietetycznych rzeczy. Krew Twoich żmudzińskich przodków już podsunęła Ci odpowiedź: tak jest, bawię na Litwie!

Jak mi się podoba? Wilno pełne jest knajp i knajpek, a ceny bardzo przyzwoite. Trudno znaleźć cepeliny droższe niż za 8 litów (1 lit to 1 złoty). Na porcję wchodzi trzy gigantyczne kluchy i do prawdy trudno to zjeść, zważywszy, że wszystko aż pływa w śmietanie i skwarkach, choć cepeliny powinny raczej latać, niż pływać. A propos śmietany – jest genialna, gesta niczym chmury nad Londynem i biała jak komunijne stroje. Litwa zawsze słynęła z doskonałych wyrobów mleczarskich i zdaje się, że nawet długie panowanie Sowietów nie zniszczyło tych tradycji.



FOT. BARBARA KANISKA-BELARFOTOCZYNISKA

Ciekawie rzecz ma się z kołdunami. Owszem, są, ale Litwini nieco gardzą tymi pierożkami i nie uważają ich za rodzimy pomysł, twierdząc, że kołduny to nic innego jak rosyjskie pielmieni. Czy zatem kołduny pojawiły się na Litwie dopiero po upadku Rzeczypospolitej Obojga Narodów? Ciekawe pytanie. By znaleźć na nie odpowiedź, muszę pobudzić mózg do pracy. Jest czym. Kapitałna starka, miodowy suktinis, nadzwyczajny krupnik (nie zupa przecież). Pół litra takich pyszności kosztuje ok. 12 zł. No to już kończę.

Twój przeżarty

ROBERTAS

Bikont do Makłowicza

Mój drogi Makloviciusie,

Tak się przedziwnie, a może właśnie nieprzeziwicznie składa, że Twój pobyt na Litwie pokrywa się w czasie z moim wyjazdem na Białoruś, ścieśnij rzecz biorąc do Mińska.

Jako ćwiartka kwartetu „Pociąg Towarowy” uczestniczyłem tu w festiwalu „Mińska Wiosna 2001”. Zaskakujące, co? Ale to, oczywiście, nie Łukaszenka nas tam zapraszał ku swej chwale, ale przeciwnie – wysłało nas nasze dzielne MSZ, idąc w sukurs białoruskiej inteligencji i młodzieży, zgłodniałej europejskich nowości kulturalnych.

Przeżyłem niemałe zaskoczenie, bo spodziewałem się wyładować w smutnej, zapyziałej mieścinie, gdzie psy nie mordą, bynajmniej, szczególnie, a tu tymczasem gigantyczna metropolia – no, nie powiem, żeby szczególnie wesoła, ale żywa, zadbana, z fajnymi ludźmi. A już w kwestii kulinarnej – niespodzianka totalna. W mieście, w każdym razie w jego centrum, cała masa knajp, i to zupełnie niezłych, na pewno lepszych niż w Rosji, ba, nie gorszych niż na Litwie!

Nie brak kuchni włoskiej, hiszpańskiej, meksykańskiej, ale mnie najbardziej interesowały lokalne przysmaki.

Widać wpływy sąsiedzkie ze wszystkich stron, ale najsilniejsze ze wschodu, czyli ruskie: solianka, pielmieni, bliny i blinczyki (naleśniki) z kawiozem, ogromny wybór ryb – jesiotr, sudak, tajmierz itd. Białoruskich oładzi (placki faszerowane mięsem) nie spotkałem, ale podobno wciąż je się tutaj jada. Są za to placki ziemniaczane ze śmietaną (też z czerwonym kawiozem – pyszota!), chłopskie zupy, bardzo do-

bre bakłazany na różne sposoby. W jednej z restauracji podają rewelacyjne pierogi, w tym ciekawostka – pielmieni z ziemniakami i grzybami.

Szczególnym i może najciekawszym wydarzeniem kulinarnym była prozowana kolacja w prywatnym mieszkaniu profesor Radosławy Ładowej, muzykologa, specjalistki od Szostakowicza i kuchni domowej. Stare, duże mieszkanie z kwaterunkowymi lokatorami, gdzie tradycje przedwojennej inteligencji wywierają z każdego kąta. Pani Radosława podała doskonałego śledzia „pod szubą”, czyli w jarzynach i majonezie, z dominującym wątkiem buraczanym, dalej grzanki ze szprotką, kurki osobiście przez gospodynię zbierane i marynowane w lekkim occie, sałatka jarzynowa z mięsem, ciekawe „leniwe gołąbki”, czyli pulpety z mięsno-ryżowego farszu, który – zamiast owijania w kapustę – wzbogacono o siekane liście tejże. A na deser doskonale parzona herbata z domieszkami ziół, w towarzystwie domowych konfitur, jakich po tej stronie Ściany Wschodniej próżno by szukać.

Co zaś do Litwy i jej kołdunów, to dwa lata temu miałem okazję stwierdzić, że znacznie lepsze niż w Wilnie podają w restauracjach kowieńskich. Ale i tak kołduny to potrawa par excellence domowa i raczej nie ma szans na całym bożym świecie znaleźć kołdunów, który – jak ja – wiedzę o smakach wyssał z soczystych kołdunów (bo przecież nie z pierśi) własnej matki i siostry dziadka, cioci Toni.

Twój chwilowo podbiałoruszczony, ale zawsze z twardym żmudzkim korzeniem

PIOTRAS



Rwać czy śiać?

Prasa służy mamonie i usiłuje choć trochę przysłużyć się Bogu.

Lektura gazet i tygodników uzmysławia mi dramatyczne rozdarcie współczesnej żurnalistyki – służącej Mamony, która jeszcze usiłuje choć trochę przysłużyć się Bogu.

Nie śmiecie się. Czasopismo opłakujące upadek człowieczeństwa, znajdujący finał w reality szołach, reklamuje jednocześnie na pół strony „Dwa Światy”. Gazeta promująca akcję rzucania palenia tak reklamuje papierosy, że teksty dziennikarskie coraz trudniej znaleźć na marginesach ogromnych zdjęć tego kowboja, co to lubi wleźć na wysoką górę, żeby sobie zakurzyć.

Przy okazji: zadziwia mnie, że łase na sensacje pisma milczą o wstydlivych tajemnicach potentatów rynku tytoniowego, które to tajemnice nakazały ujawnić amerykańskie sądy i od których aż trzeszczy w szwach nieskończenie pojemny Internet. Tylko w ekologicznych „Zielonych Brygadach” o tym czytałem, choć może coś przeoczyłem, bom czytelnik prasy niesystematyczny.

Ale chcę o czym innym: o dylemacie, przed jakim sam stanąłem wskutek lekkomyślnej lektury ogłoszeń w „Wysokich Obcasach”. Dzielę się one na trzy działy: „Uroda” (25 ogłoszeń), „Zdrowie” (2) oraz „Inne” (1). Oba zdrowotne dotyczą niepłodności, a „inne” są salonem sukien ślubnych.

A reklamodawcy od urody? Kilku oferuje zabieg powiększenia ust. Żaden nie zajmuje się ich pomniejszaniem. Klinika Estetyki Twarzy poprawia urodę i usuwa objawy starzenia. Centrum Zwalczania Cellulitu zajmuje się ujędrnianiem ciała. Posiadacz Autentycznej Amerykańskiej Li-

cencji usuwa z czoła bruzdy mimiczne! O ile nad powiększeniem ust i ujędrnieniem chwilę się zastanawiałem, o tyle od razu wiedziałem, że bruzd swoich nie oddam.

Nie śmiecie się. Mimiczne czy nie, są jedynym dowodem, że trochę człowiek w życiu myślał. Jednak najczęstsza oferta to: „usuwanie zbędnego owłosienia”, „depilacja laserowa”, „trwała depilacja”, „permanentna depilacja laserowa”, „laser diodowy”, „usuwanie owłosienia na stałe”, „Epilradical Laser”. Już-już miałem się zdecydować na pozbycie się włosów, kiedy natknąłem się na inne ogłoszenia: „laserowe leczenie tysiemia”, „transplantacja włosów”, „przeszczep włosów”.

Aha. Znaczący, płyn na porost włosów już nie w modzie, teraz się przeszczepia. Niektóre gabinety walczą i z nadmiarem, i z niedoborem włosów. Tu proponują tatuaż, a tam laserowe usunięcie go. Aż mi się przypomniał ten samochodziarz-lakiernik, który syna wysłał nocą, żeby drapał gwoździem karoserie zaparkowanych w okolicy aut.

Oto kolejny dramatyczny wybór: zarastać czy tysieć, oto jest pytanie! Nie śmiecie się. Skutki takiej decyzji mogą wcale mocno zaważyć na człowieczym losie. Ot, niedawno przyjechał do Polski znany reżyser Lynch, żeby szukać aktorki do nowego filmu. Jedynym warunkiem, jaki postawił, było posiadanie przez artystkę wyjątkowo obfitego owłosienia łonowego. Załapała się jedna pani z Łodzi. Wywiad w kolorowym piśmie z nią był. Podjąłem decyzję i ja: poddam się transplantacji. Włosy z głowy przeszczepię sobie gdzie indziej. Dreadlocki pod pachami. W uszach po irokezie. W kroczu kok. Potem jeszcze tylko zwalczyć niepłodność i już, z wybranką lub branką u boku, do tego salonu sukien ślubnych.

I nie śmiecie się. Bo Wam się bruzdy porobią.

JACEK PODSIADŁO

Rocznik 1964. Poeta. Współpracował z „bruLionem”, wydał wiele tomów wierszy; laureat nagrody Czesława Miłosa.



ROZWIĄZANIE REBUSU WIELKANOCNEGO

W „P” nr 15/2912 z dnia 15 kwietnia 2001 roku ogłosiliśmy REBUS WIELKANOCNY. Prawidłowe rozwiązanie brzmi:

OKNA UMYTE, JAJKA POMALOWANE, WIELKANOC U DRZWI PRZY ODROBINIE SZCZĘŚCIA CZEKA CIĘ DALEKA WYPRAWA

Spośród ośmiuset nadesłanych prawidłowych rozwiązań redaktor naczelny – Maciej Piotr Prus oraz jego zastępca – Piotr Bikont rozlosowali nagrody:

- Nagrodę główną – bon wycieczkowy o wartości 2 000 zł (cztery bony po 500 zł każdy) do realizacji w Biurze Podróży Sigma Travel otrzymuje Halina Siekierska z Brodnicy
- Ekspres do kawy z czajnikiem bezprzewodowym marki MPM PRODUCT otrzymuje Ewa Rogozińska ze Szczepanowa
- Robot kuchenny marki MPM PRODUCT otrzymuje Henryk Czerwiński z Zabrza
- Nagrody książkowe otrzymują: Romualda Dworcok z Wrześni; Władysława Broda z Cieszyna; Urszula Matuszek z Gliwic; Aleksandra Dobrucka z Warszawy; Karol Skrzypkowski z Woźnic; Elżbieta Trzcinka z Białegostoku; Krystyna Woźniak z Warszawy; Magdalena Knecht z Radzimina; Milena Wojtczak-Pastuszka z Piastowa; Krzysztof Sokolnicki z Wrocławia.

Gratulujemy! Za wszystkie nadesłane rozwiązania dziękujemy.

Główny Sponsor:



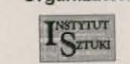
37
studencki
festiwal
piosenki
9-13 maja 2001
w Krakowie

INSTYTUT
SZTUKI

składa gorące podziękowania wszystkim Mecenansom, Sponsorom, Mediom i Instytucjom, które pomogły w realizacji 37. Studenckiego Festiwalu Piosenki - największego i najstarszego wydarzenia kulturalnego środowiska akademickiego. Bez Państwa pomocy to wspaniałe przedsięwzięcie nie mogło by się odbyć. Jeszcze raz dziękujemy.

Mecenat:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Ministerstwo Edukacji Narodowej
Urząd Miasta Krakowa
Urząd Marszałkowski Województwa Małopolskiego
Akademia Ekonomiczna w Krakowie

Organizator:



<http://www.proart.onet.pl>

Sponsorzy:



RAFINERIA CZECHOWICE S.A.



Sponsor Bankietu:



Media Patroni:

DZIENNIK POLSKI

POLITYKA

onet.pl

RADIO KRAKÓW

FILIPINKA

2

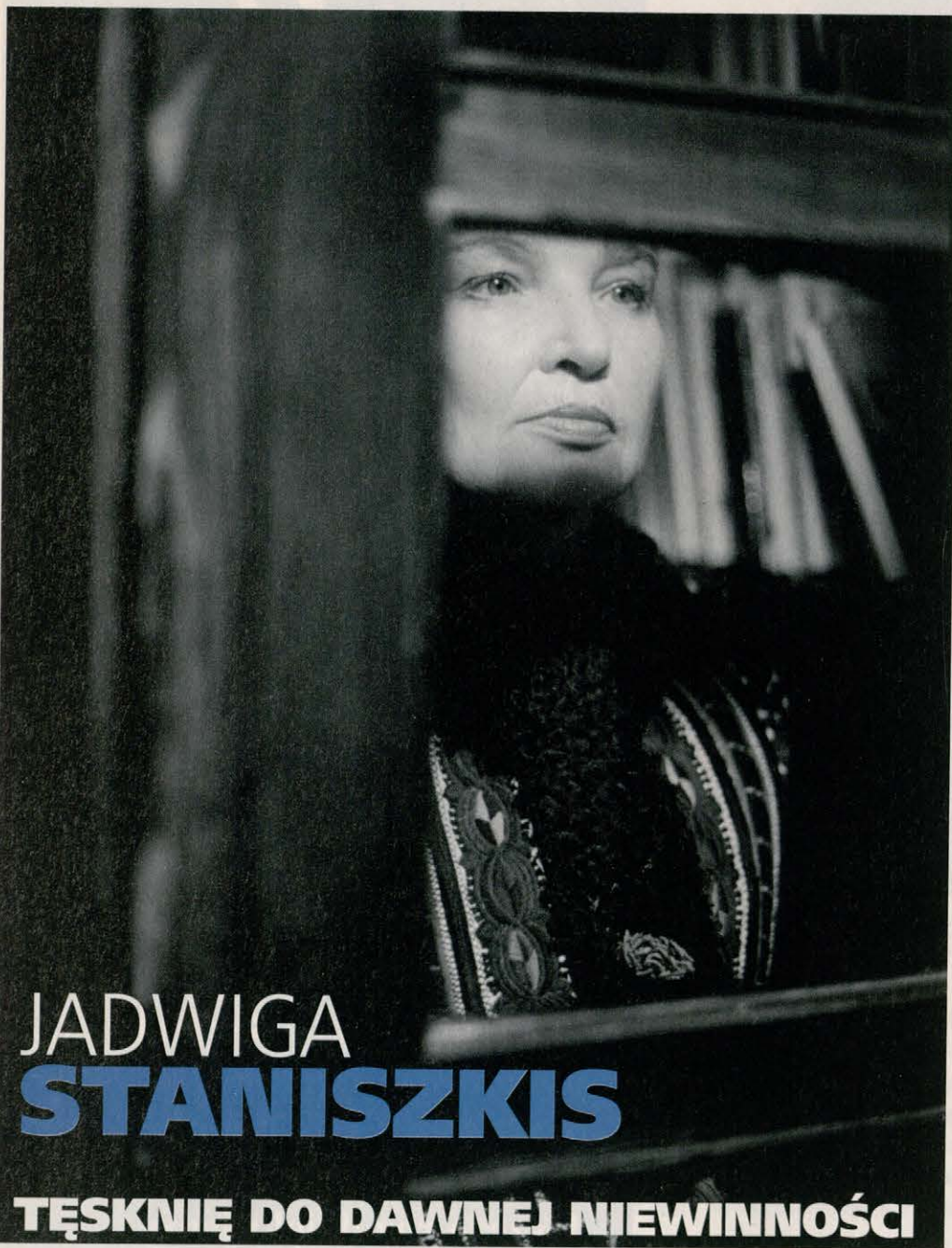
3

100,5 FM

100,5 FM

100,5 FM

100,5 FM



JADWIGA STANISZKIS

TĘSKNIĘ DO DAWNEJ NIEWINNOŚCI

Socjolog, politolog. Urodziła się w 1942 r. Jest profesorem Uniwersytetu Warszawskiego. W 1968 r. więziona za udział w niezależnym ruchu studenckim. W 1980 r. doradca Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Gdańsku, następnie „Solidarności”. Zajmuje się m.in. socjologią, polityką oraz problemami przekształceń postkomunistycznych społeczeństw. Opublikowała m.in. „Ontologię socjalizmu” (1992), „Continuity and Change” (1992), „The Dynamics of Breakthrough in Eastern Europe” (1993).

Co tutaj robisz?
Staram się zrozumieć.

Najbardziej niedoceniona z Twoich zalet?
Dwie: „autyzm” i poczucie odpowiedzialności.

Pokusa nie do odparcia?
Publiczne zabieranie głosu.

Co sprawia, że życie jest wyjątkowe?
Własne olśnienia intelektualne i dziedzictwo kulturowe świata.

Gdybyś była psem, kogo byś ugryzła?
Moje psy nie gryzą: są szczęśliwe. Ja też.

Twoje grzechy główne?
Obojętność. Także wobec siebie.

Gdybyś była zegarkiem, na której godzinie byś się zatrzymała?
Na 22.00.

Czego powinno nie być?
Okrucieństwa wobec dzieci i zwierząt. Chamstwa i rasizmu.

Czego masz za dużo?
Samowystarczalności.

Pierwsze największe marzenie?
Przeskoczyć siebie. Aktualne do dziś.

Najbardziej staram się...
...nie ranić bliskich.

Co odróżnia człowieka?
Oddzielanie się od natury kulturą.

Ostatnia tęsknota?
Wciąż ta sama: do dawnej niewinności.

Bez czego nie możesz zasnąć?
Bez dopilnowania, aby wszystkie koty i psy były bezpieczne w domu.

Wyjątek czy reguła?
Wyjątek.

Na co liczysz?
Na siebie.

Kiedy jestem sama...
...czuję się szczęśliwa.

Za co zapłaciłabyś każdą cenę?
Za zdrowie swoje i bliskich.

Co podpowiadają ci złe siły?
Zbyt jednoznaczne, ostre sądy.

Twój najbardziej zaniedbany talent?
Pisanie dziennika.

Jak chciałabyś być zapamiętana?
„Starła się i znała swoje wady, nie zależało jej na pochwałach, ale pogardzała niektórymi ze swoich wrogów”.

Co nowego?
Zakwitł hiacynt w ogrodzie. Zaczęłam drugi rozdział mojej książki.

SLUCHAJ razem z „P”

Festiwal Twórczości Witolda Gombrowicza



Program 2 Polskiego Radia zaprasza na spotkanie z twórczością Witolda Gombrowicza. W ramach festiwalu poświęconego pisarzowi przypomni fakty z jego życia oraz zaprezentuje jego dokonania literackie.

W cyklu SŁYNNNE POWIEŚCI (od 2 do 18 maja 2001 r., – poniedziałek–piątek, godz. 9.00) Program 2 przypomina jedną z najbardziej znanych powieści tego autora – „Ferdynand” w interpretacji Piotra Fronczewskiego.

W wieczornym paśmie prozy „To się czyta” (od 7 maja do 1 czerwca 2001 r., – poniedziałek – piątek, godz. 23.15) lektura „Dzienników” Gombrowicza.

Z kolei w cyklu „Biografie niezwykle” Ewa Stocka-Kalinowska przedstawi argentyński epizod z życia pisarza, gdzie wśród tamtejszej Polonii oraz świata kulturalnego Buenos Aires zyskał tyluż zagorzałych zwolenników, co przeciwników. „Witold Gombrowicz w Argentynie” we wtorek, 8 maja o godz. 22.00. Natomiast 15 V o godz. 22.00 audycja w opracowaniu Witolda Malesy „Witold Gombrowicz – powrót do Europy”.

W środę, 9 maja o godz. 22.00 w trzydziestominutowej audycji Bogumiła Prządka przedstawi wybór korespondencji między Witoldem Gombrowiczem a emigracyjnym pisarzem Józefem Wittlinem. 16 maja o godz. 22.00 Joanna Szwedowska zaprezentuje „Listy Witolda Gombrowicza i Jerzego Giedroycia”.

W sobotę, 12 maja o godz. 18.00 w cyklu Dramat w „Teatrze Wyobraźni” Program 2 zaprasza na półtoragodzinne spotkanie z jednym z najważniejszych dzieł Gombrowicza: „Operetka” to przewrotna analiza rewolucji. Reżyserem radiowej wersji tego utworu jest Zbigniew Kopalko. W spektaklu występują: Andrzej Żmurek, Stanisław Zaczek, Anna Seniuk, Marek Kondrat, Marian Kociniak i inni.

W niedzielę, 13 maja Program 2 proponuje trzy audycje związane z Witoldem Gombrowiczem: o godz. 14.00 „Anegdota o pisarzu”; o godz. 20.00 – pierwsza część adaptacji powieści „Opętani” (II cz. 20 maja o godz. 20.00). Adaptacja Bogumiły Prządki, reżyseria – Jan Warenycia.

Wśród wykonawców usłyszymy między innymi: Ewę Gawryluk, Tomasa Stockingera, Leszka Teleszyńskiego i Krzysztofa Chamca. Natomiast w Wieczorze Literackim (godz. 22.00) zapraszamy na audycję Hanny Bielawskiej, zatytułowaną „Odkrywanie Gombrowicza”. Autorka i jej gość – poetka, znakomita tłumaczka z literatury francuskiej i hiszpańskiej – Krystyna Rodowska, mówić będą o nieznanym, niedawno odnalezionym tekście Witolda Gombrowicza.

W cyklu Zapiski ze współczesności audycja „Mój Gombrowicz”, w której wypowiadać się będą: Joanna Siedlecka, Zofia Chądzyńska, Janusz Odrowąż-Pieniążek, Jolanta Pol, Rajmund Kalicki.

W sobotę 19 maja o godz. 17.20 „Trans-Atlantyk” Gombrowicza w adaptacji Elżbiety Marcinkowskiej i reżyserii Janusza Kukuły. Występować będą: Krzysztof Gosztyła, Jerzy Kamas, Paweł Wawrzecki, Janusz Zakrzeński i inni.

Podsumowaniem festiwalu będzie turniej literacki z telefonicznym udziałem słuchaczy, poświęcony życiu i twórczości Witolda Gombrowicza. To w niedzielę, 20 maja – w dwóch częściach: o godz. 12.00 i 14.00. Zapraszamy!

MAGICAL



MAGICAL zniweluje skutki nadużywania alkoholu, kawy, papierosów oraz przewlekłego stresu. **Magnez i Wapń** – jedno z najważniejszych mikroelementów współpracujących dla Twojego zdrowia w nowym preparacie szwedzkiej firmy NATURELL AB.

MAGICAL zalecany w stanach zmęczenia fizycznego i psychicznego, zwiększa odporność na stres, wzmacnia układ kostny i nerwowy, zapobiega miażdżycy, reguluje rytm serca.

**40 i 120 tabletek
MAGNEZ + WAPŃ
1000 mg**
tabletki powlekane
o przedłużonym działaniu

MAGICAL dostępny jest w aptekach i sklepach zielarskich bez recepty.



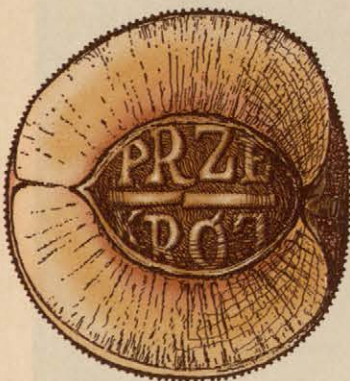
Każde spotkanie !!
Zatańc'!
Zadzwoń'!!!

i po zabawie... i na stres

Producent: NATURELL AB SZWECJA

Dystrybutor: NATURELL POLSKA Sp. z o.o.
31-435 Kraków, ul. Partyzantów 14, tel./fax (012) 411 01 55.
tel. (012) 417 26 52, e-mail: info@naturell.pl, www.naturell.pl

NOTKI i plotki



UPOJNA NOC. „Zwrot kosztów pobytu dla par małżeńskich, które poczęły dziecko podczas pobytu w hotelu”. Tak swych gości zachęcała dyrekcja jednego ze szwedzkich hoteli. Kiedy jednak zgłosiło się ponad 300 ciężarnych kobiet, ofertę... wycofano.

ODWDZIĘCZYŁ SIĘ. Darmowe wakacje swemu byłemu nauczycielowi zaufundował Cheeky Henry Wayne ze Stanów Zjednoczonych. Nie mógł zapomnieć słów belfra, wypominającego wówczas kilkunastolatki, że nie wierzy, aby był on w stanie zapewnić byt sobie i przyszłej rodzinie. Mylił się jednak – niesforne uczeń ma dziś 36 lat i jest milionerem. A rodzinę nauczyciela zaprosił na tygodniowe wakacje do swojego luksusowego hotelu.

KONFISKATA. „Antypaństwowe” kasety wideo z filmami o obronie praw człowieka skonfiskowali białoruscy celnicy. Wszystko działo się kilka tygodni temu, kiedy przewodniczący grodzieńskiego oddziału Białoruskiej Fundacji Helsińskiej, Aleksandr Antoniuk, jechał na międzynarodowe seminarium o prawach człowieka. Na przejściu w Berestawicy zabrano mu kasety (nawet nie sprawdzono zawartości). Gdy uszkodzony rozpoczął starania o ich zwrot, dowiedział się, że odesłano je do urzędu zajmującego się sprzedażą skonfiskowanych towarów. Kilka dni później swoje kasety odkupił w sklepie za niecałego dolara.



KOT NA ODWYKU. Pięcioletni Aitch to chyba pierwsze zwierzę domowe w Wielkiej Brytanii uzależnione od heroiny i wykazujące poważne

oznaki głodu narkotycznego. Losem kota zainteresowali się sąsiedzi jego właściciela. Zwierzę było bardzo zaniedbane, miauczało z bólu i miało silne drgawki. Kot trafił do schroniska. Weterynarz zauważył na ciele Aitcha liczne ślady po zastrzykach, najpewniej z heroiny. Po kuracji odwykowej zwierzę ma się już lepiej.



CYKLIŚCI-DŁUGODYSTANSOWCY. 600 kilometrów ścieżki rowerowej między Berlinem a Kopenhagą to najdłuższa europejska trasa dla jednośladów, świetne miejsce dla amatorów rowerowych wypraw. Jadąc asfaltowym szlakiem, można podziwiać lasy, jeziora, morskie wybrzeże i wyspy. Przy trasie łatwo znaleźć noclegi i sympatyczne knajpki.



OKIENKO Z WIERSZEM

Antoni Pawlak

Stefanowi
Niesiołowskiemu
do sztambucha

kobieta odziera mężczyznę ze skóry

ubrania

mężczyzna czyni kobietę nagą

kobieta ssie sok mężczyzny

mężczyzna płatkami języka pieści

kobieta

spoczone ciała jęki rozkoszy

cichy szum przewijającej się taśmy

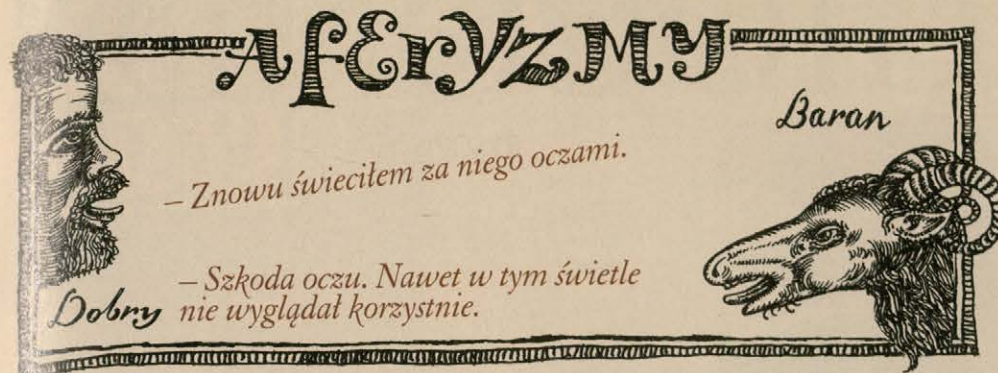
ja wiem Stefanie to tylko

pomografia

ale ja ją lubię



Antoni Pawlak. Rocznik 1952.
Autor ponad 20 zbiorów wierszy.
Również dziennikarz i wydawca.



OPOWIEŚCI PANA Z SOPOTU

Ten pak to na liść idzie, a ten idzie na kwiat – rzekł Iwan Miczurin, botanik radziecki, członek Akademii Nauk Związku Radzieckiego, zwany naukowcem w białym garniturze i takimże kapeluszu.

Profesor Miczurin zakończył wnikliwą uwagę i ujął w dłonie Mutię Dymitrjewną, siostrę Patiejewą, przywiązał ją do pąka, drzewo jęknęło, a profesor rzekł, zaciągając z ruską.

– Doczekamy się, Mutia Dymitrjówna urodzi nam nowe pokolenie, gdyż jest przy nadziei. Wyrośnie populacja, którą nazwiemy dzieci kwiaty i wyprzedzimy imperialistów amerykańskich pod względem



kwiatostwa dziecięcego. Nasze dzieci będą lepszymi dziećmi, gdyż obcy im będzie protest przeciwko wojnie, one będą

domagały się wojny jako czynnika regulującego stosunki międzyludzkie i stabilizujące umysły proletariatusy.

Tak jest, tak jest, w samej rzeczy – zapiszczał Patiejew, pomocnik techniczny profesora.

Razem mocniej przywiązali Mutię Dymitrjewną do gałęzi, konstrukcję tę podparli naukową brytfanną i orczykiem wielofunkcyjnym. Mutię usytuowali na drzewie tak, by jej tłuste łono wydało na świat nowe, postępowe pokolenia.

Iwan Miczurin zdjął biały kapelusz, obtarł naukowe czoło z potu. Patiejew po zdjęciu czapki z błyszczącym daszkiem wytarł proletariackie czoło i razem udali się pieszo do powiatu po order.

FELIKS CHUDZYŃSKI

Savoir-vivre 2*

LESZEK Z WIELKOPOLSKI. Moja dziewczyna kompletnie mnie ignoruje. W zasadzie się nie odzywa, gdy do niej mówię. Nie daje się nigdzie zaprosić. Sama również niczego nie proponuje. Zawsze z tym samym przyklepionym uśmiechem na twarzy. Czy bez wyrazu i monotonna poza to cała ona. Wiem, co czujesz, ale próby wpływania na innych to ciężka sprawa. Proponuję zdjąć już ją ze ściany (dawno to powinienś zrobić). Wiele czasopism dostępnych na rynku zawiera wspaniałe „pin-up girl”, jest w czym wybierać. Spróbuj także w Internecie.

ŚLAWOMIR Z CHRZANOWA. Czy to prawda, że istnieje coś takiego jak „zaręczynowy pierścionek”? Do czego to służy i czy ma coś wspólnego

z leczeniem świerzb? Wybieram się na medycynę i chciałbym wiedzieć jak najczęściej na ten temat. Zaręczynowy pierścionek oczywiście nie ma nic wspólnego z leczeniem świerzb. Nie daj się nabrać na egzaminie wstępnym na to podchwytliwe pytanie, które zwykle jest zadawane jako jedno z pierwszych. Chyba że chodzi o leczenie jęczmienia na oku. Tę przypadłość często leczy się za pomocą obrączki ślubnej – to takie kółko zakładane na palec specjalnie w tym celu zrobione ze złota. Jeśli zauważysz coś takiego u kogoś z egzaminujących, nie przejmuj się, to nie jest zaraźliwe. Powodzenia.

JAN W. 1. Jestem szefem dość dużej instytucji, w której pracuje wiele kobiet na różnych szczeblach. Czy

powinienem zawsze wszystkim pierwszy się kłaniać? Nie wszystkie potrafiłbym rozpoznać, mogę mylić z interesantkami. Pana odpowiedź ułatwi życie biurowe. 2. Jak się zwracać do pisarza, artysty plastyka? W towarzystwie mówi się do niektórych: panie redaktorze, doktorze, profesorze, natomiast do cenionego



literata, plastyka, per proszę pana. Niektórzy próbują zwrotu mistrzu, co wydaje mi się sztuczne. Czy rozpatrywał pan możliwość zrezygnowania z szefostwa? Nie? Tak myślałem. Problem tkwi w panu samym. Przerost ambicji, nadmierna wrażliwość na punkcie swojego ego, przy niskim poczuciu własnej wartości to w naszych czasach często spotykane zjawiska. Do tego dochodzi kryzys zaawansowanego wieku i uporczywe trzymanie się złudzeń, mimo że coraz bardziej zdradzają nam swoją iluzorność. Wszystko to staramy się zakryć jakimś drugorzędnymi tematami zastępczymi, jakimś sztucznymi problemami o znajomości zasad dobrego wychowania, jakimś savoir-vivre'em. Proszę się odzwagać za jakiś czas.

Odp. KRZYSZTOF JANICKI

*2 (arab. [wym. dwa]) cyfra, liczebnik porządkowy



BikoNt grzebie w starych „Przekrojach”

Podobizna pani Lisy,
żony Francesca del Giocondo,
obywatela Ferrary, nie jest może
najwybitniejszym z dzieł
Leonarda, ale to właśnie
ten obraz urósł do roli ikony
europejskiej kultury.

Podobno kilka lat temu redakcja
„Przekroju” próbowała się
doliczyć, ile razy w historii
La Gioconda – w tej czy innej
formie – pojawiła się na jego
łamach, ale archiwiści
pogubili się w rachunkach.
W każdym razie Mona Lisa
uśmiecha się
do czytelników „Przekroju”
od początków jego istnienia,
wiele razy padła ofiarą
złośliwego piórka
Mariana Eilego,
ale inspirowała także
późniejszych przekrojowych
grafików i redaktorów.



Okladka nr 726, 8 III 1959 r.

GIOCONDA



Pewien lekarz wystąpił z teorią,
że Gioconda miała astmę. Inny twierdził,
że jej wyraz twarzy i pozycja świadczą,
iż była w odmiennym stanie.

Nr 750, 23 VIII 1959 r.

INWENTARZ OBRAZU

Jedna kobieta, w tym:

- ust 1
- nosów 1
- oczu 2
- rzęs 2-3
- czoł 1
- policzków 2
- podbródków 1
- włosów normalna ilość
- uśmiechów (tajemniczych) ... 1
- przedziałków na głowie 1
- rąk 2
- wielkich palców 1
- palców wskazujących 2
- palców środkowych 2
- palców serdecznych 2
- małych palców 2
- szyj 1
- biustów (płaskich) 1
- welonów 1
- plaszczy 1
- mantyl 1
- staników sukni 1
- rękawów 2
- niepokojących spojrzeń 1
- balustrad 1
- oparcie krzesła 1

Jeden fantastyczny pejzaż,
w tym:

- mostów 1
- mórz 1
- rzek 1
- dolin 1
- dróg 1
- potoków 1
- łańcuchy górskie, w tym:
- skały,
- turnie,
- żleby,
- stromie stoki,
- nieb 1

Nr 750, 23 VIII 1959 r.

RYSOPIS

- Wzrost 1 m 73
- Włosy kasztanowe
- Brwi brak
- Czoło wysokie
- Oczy piwne
- Nos prosty
- Usta średnie
- Zarost brak
- Podbródek okrągły
- Twarz owalna
- Cera matowa
- Znaki szczególne niewyraźny uśmiech

Nr 750, 23 VIII 1959 r.



Reklama opakowań
blaszanych
(Francja).
Tekst: Gdyby włosy
Giocondę do tego
pudełka,
zachowałyby się
100.000 lat!

Nr 750,
23 VIII 1959 r.



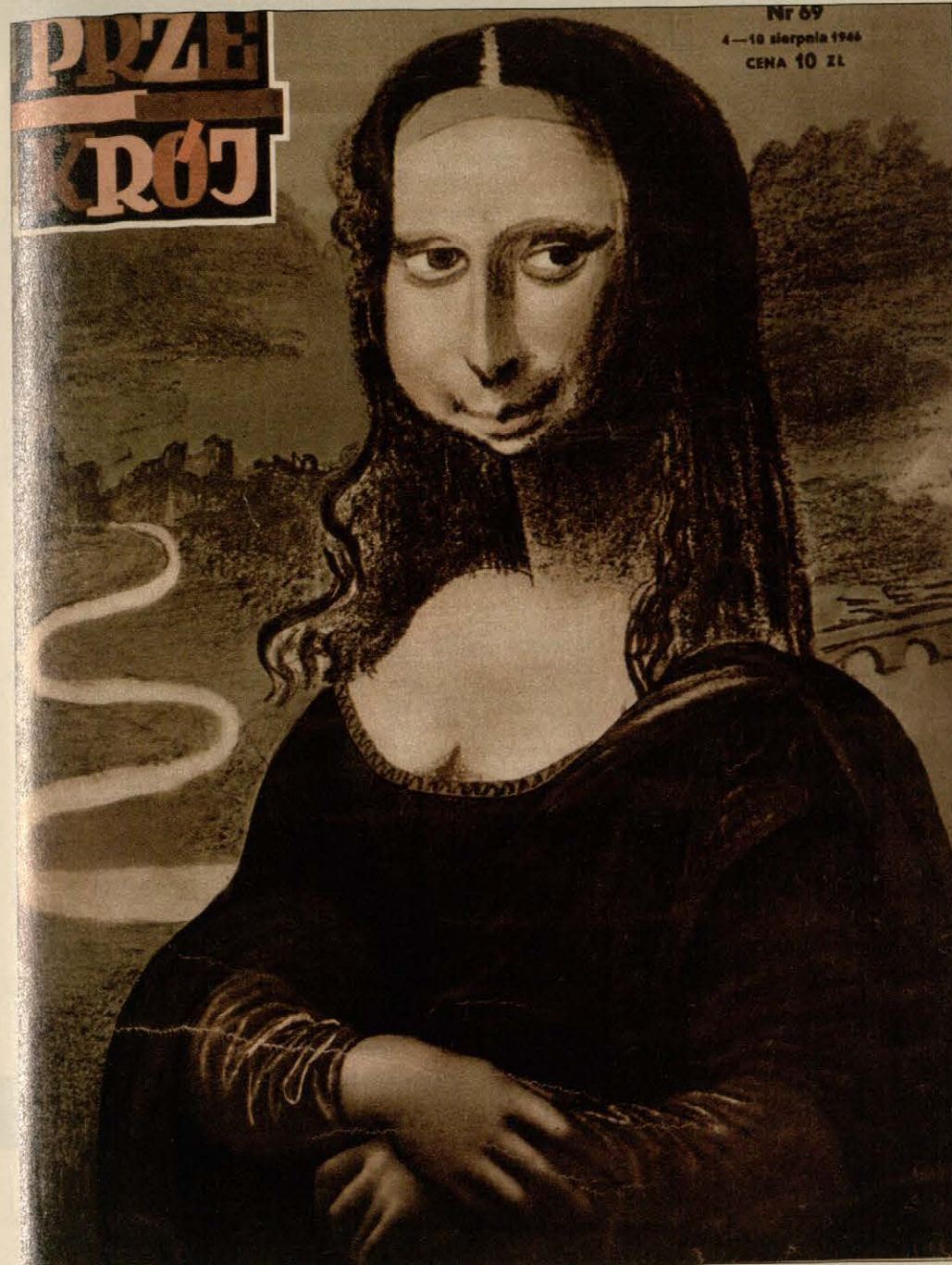
Marka fabryczna
siera „Robiolina
Gioconda” (Włochy)

Nr 750,
23 VIII 1959 r.



Salvador Dali
jako Gioconda
(autoportret)

Nr 750,
23 VIII 1959 r.



Gioconda Mariana Eilego

Nr 69, 4-18 VIII 1946 r.

MOŻLIWOŚĆ ZASTOSOWANIA GIOCONDY W PRZYSŁOWIACH I POWIEDZONKACH

Nie bądź taka Gioconda! (*nie zadzieraj nosa*).
Lepszy wróbel w garści niż Gioconda na dachu.
Przypiął Giocondę do kożucha.
Inne czasy, inne Giocondy.
Nie wylewaj Giocondy z kąpielą.
W nocy wszystkie Giocondy czarne.
Co ma Gioconda do wiatraka.

Nie będziesz uczył Giocondy się uśmiechać.
Każda Gioconda ma dwa końce.
Bliższa ciału Gioconda.
Lepiej z Giocondą zgubić niż z głupim znaleźć.
O Gioconda! O mores!
Nim słońce wszędzie, Gioconda oczy wyje.

Nr 750, 23 VIII 1959 r.



Gioconda Andrzeja Kowalczyka
Nr 2082, 5 V 1985 r.



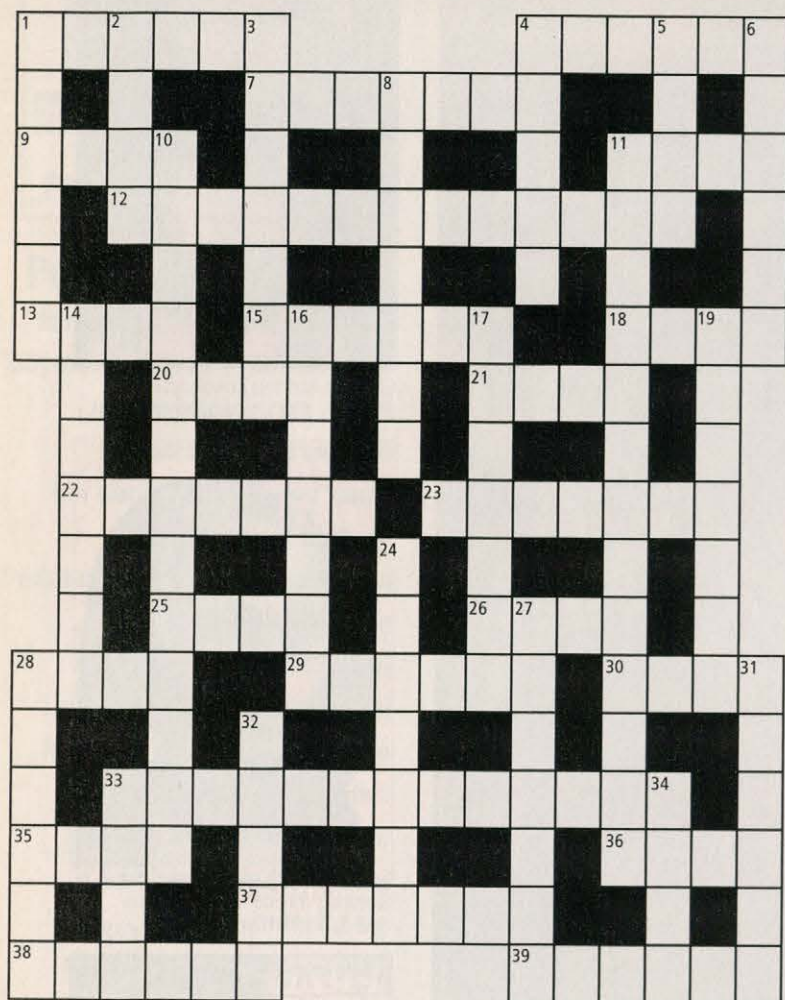
Gioconda Witolda Siemaszkiewicza
Nr 2591, 19 II 1995 r.



Gioconda Witolda Siemaszkiewicza
Nr 2640, 28 I 1996 r.



Gioconda Witolda Siemaszkiewicza
Nr 2743, 18 I 1998 r.



POZIOMO:

- 1 czerwieni się na kwas
- 4 amerykańska pantera
- 7 gdzie nigdy nie brakuje forsy
- 9 między baronem a margrabią
- 11 zamrożony ziarnisty śnieg
- 12 dział mikrobiologii
- 13 as w rękawie
- 15 poduszczenie
- 18 odbiornik dźwięków
- 20 natarcie
- 21 tancerzowi potrzebny
- 22 argentyńskie stepy
- 23 działowa
- 25 ... i doliny
- 26 kosaciec
- 28 głupsze od kury
- 29 W łobzie leży...
- 30 z reguły – na fasadzie
- 33 pani księgozbioru
- 35 z kurantem
- 36 w „Strasnym dworze”
- 37 Bikini
- 38 tchórzliwa jarzyna
- 38 Aniela małżonka Felicjana
- 39 wiekowy spód Troi

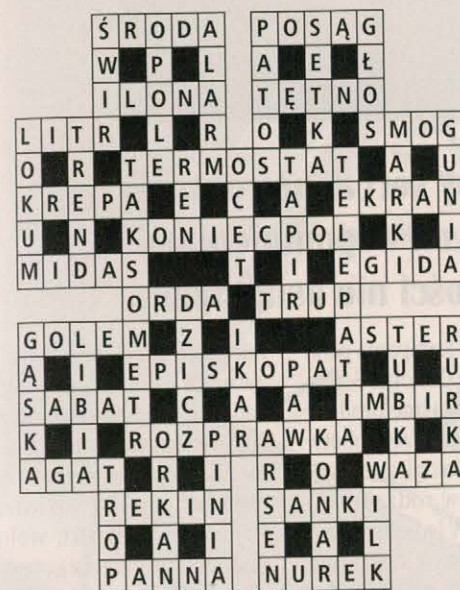


PIONOWO:

- 1 w parze ze zdrowym rozsądkiem
- 2 skorupiak jadalny
- 3 Libużę uoperował
- 4 tyle co arbuż
- 5 związek organizacji międzynarodowych
- 6 duże westernowe gospodarstwo
- 8 stolica Kenii
- 10 iluzja
- 11 zapalczanych etykietek zbieractwo
- 14 malarska farba emulsyjna
- 16 pracuje nad dobrą słyszalnością
- 17 orzeszek ziemny
- 19 porwyisty wiatr o niebawalej sile
- 24 małe do uprawiania
- 27 miesiąc muzułmańskiego postu
- 28 ze Spychowa
- 31 szlifierz kryształów
- 32 miejska droga
- 33 bez niej nie byłoby czerni
- 34 to samo co 13 poziomo (innego wyjścia nie było)

• Pomiedzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie krzyżówki do **niedzieli 20 maja** (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych **pięć zestawów kosmetyków ufundowanych przez Pollenę Ewę** – wiodącego producenta kosmetyków w Polsce. Nasz adres: PRZEKRÓJ, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem „Krzyżówka 19”.

Rozwiązanie krzyżówki nr 17



• Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 16 pięć zestawów kosmetyków ufundowanych przez CUSSONS SA wylosowali: Teresa Gószcz, Teresin; Magda Gruszecka, Bielsko-Biała; Teresa Kubiak, Auguśów; Hanna Lebieowska, Włocławek; Małgorzata Ropska, Kłobuck. **Gratulujemy!**

JOLKA nr 19



Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Dla ułatwienia ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

K15 – D4 – B14 – G10 – C1 – E6 – L7 – F15 – J12 – I11 / A6 – F13 – K9 – G8 – E2 – L11 / C11 – G5 – E1 – I3 – E13

Wyrazy 11-literowe:

- ten to ma co bon tom w dom • robi pętle w C++

Wyrazy 10-literowe:

- oddawana i odzyskiwana nie tylko na boisku • okapi opuka

Wyrazy 9-literowe:

- Wódz Powstańców – Emilija Plater! • Stefka Burczymuchy kolega po fachu

Wyrazy 8-literowe:

- w lejce, ajuści, justowany • zguba go czeka

Wyrazy 7-literowe:

- szybka w barze • kulka nie na piątek • pozycja propozycja dla

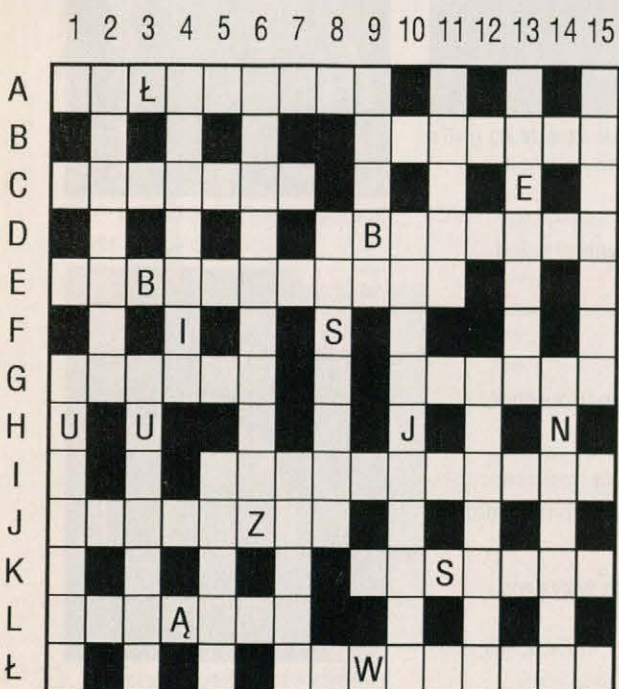
krzyżówkowicza • bla-bla-bla akademików • zakażny fragment • w Jaktorowskiej nie ma już tura • medycyna środka • oreżni towarzysze podróży • cichy i spokojny, bo nie wszystko do niego dociera • Kochanowska lub Dudziak • dba • nabożeństwo otaczania • otwierana wyłącznie z zewnątrz

Wyrazy 6-literowe:

- ssaczek, który ma dużo na później • jego frasonek – nilowy gatunek

Wyrazy 5-literowe:

- Bóg Kubie • jajeczne smarowidło • pawie w akwarium • święty z numerem 16670



AUTOR: JERZY BUZIEK

Ten numer „P” gości w:

Ostrołęka
106.7 MHz

SLUPSK 91.00 FM
KOZALIN 99.70 FM
LEBORK 102.90 FM
tel. 059 8423257

98.10 FM
Tarnów
Biuro reklam: tel. (0-41) 621-29-29

WAŁBRZYCH 91.8 FM

91.1 FM
91.9 FM
100.9 FM
102.7 FM
103.6 FM
POZNAN
tel. (0-41) 655-03-73

98.0 i 106.5 FM
Biuro Reklam: 25-363 Kielce, Wesola 47/49, tel. (0-41) 362 09 51

99.40 FM 91.30 FM
ul. Wałowa 6
33-300 Nowy Sącz
tel. (0-18) 443-73-21

Kraków: 101.6 FM
Tarnobrzeg: 101.0 FM
Kielce: 100.0 FM
Krynica: 102.1 FM
Rzeszów: 87.6 FM
Sulechów: 87.6 FM
tel. www.radio-krakow.pl

JOWISZ 106.2 FM

96.00 FM

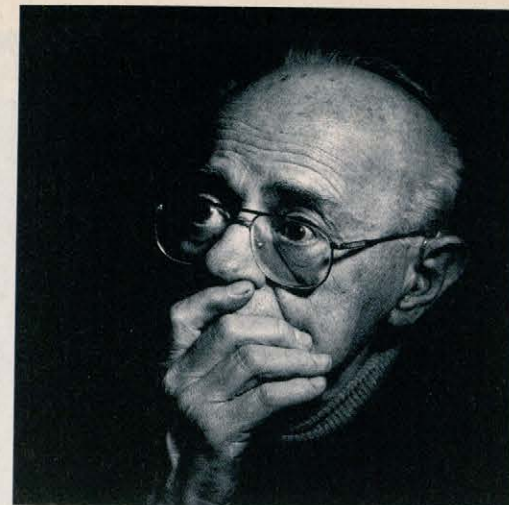
• Pomiedzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie Jolki do **niedzieli 20 maja** (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych **pięć upominków-niespodzianek ufundowanych przez „Przekrój”**. Rozwiązania prosimy nadsyłać do redakcji „Przekroju”, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem „Jolka 19”.

Rozwiązanie Jolki 17: CZY MOŻE BYĆ COŚ BARDZIEJ ZMIENNEGO NIŻ MODA NA KAMELEONY?

- Rzędami: bazyliżek, ulicznik, globtroter, zmierzch, rączka, dywan, winorośl, ekran, zasmażka, Lenin, stalle, krojenie, tranzystor, wędzidło, nibyjaгода.
- Kolumnami: bagdadczyk, ręc, złomowisko, jazz, latarnia, żenada, słoiczek, kaseton, kurzawa, Inflanty, milion, odleżyna, czar, złotnictwo, piec, holenderka.

• Za poprawne rozwiązanie Jolki nr 16 pięć upominków ufundowanych przez redakcję „Przekroju” wylosowali: Elżbieta Buszyńska, Piła; Danuta Lobry, Dąbrowa Górnicza; Agnieszka Łukawska, Miechów; Adam Moliński, Międzybrodzie Żywieckie; Jolanta Szade, Wrocław. **Gratulujemy!**

Co Pan na to, Panie LEM!



FOT. BOGDAN KRZEL

Przypadłości obecnie zabójcze – choroby serca, nowotwory, choroba Alzheimera – staną się jedynie przykrymi wspomnieniami. Ale nieśmiertelności nie osiągniemy.

Artykuł Davida Ignatiusa, którego tytuł w wolnym tłumaczeniu brzmi „Nauka daje nadzieję na nieśmiertelność”, otwiera pytanie: co będzie przyczyną zgonu za sto lat od dnia dzisiejszego? Jeśli wydaje wam się, że odpowiedź jest oczywista, to znaczy, że nie doceniliście rewolucji zachodzącej w biotechnologii. Podstawową przyczyną śmierci w niedalekiej przyszłości staną się nieszczęśliwe wypadki, morderstwa lub wojna! W dwudziestym pierwszym wieku, wobec rozmnożenia się instrumentów „medycyny regeneratywnej”, ciało ludzkie będzie mogło trwać bardzo długo. Przypadłości obecnie zabójcze – choroby serca, nowotwory, choroba Alzheimera, nawet sam proces starzenia się – staną się jedynie przykrymi wspomnieniami naszego gatunku.

Jak dotąd uczeni byli pewni, że materiał komórkowy, z którego zbudowane są nasze ciała, musi się zużyć. Bez względu na osiągnięcia w leczeniu nowotworów albo chorób serca, człowiek nie może żyć dłużej niż sto dwadzieścia lat. Toteż myśl człowieka przemieszczała nieśmiertelność w obręb utwierdzanych religiami zaświatów. Biotechnologowie twierdzą jednak, że nowe typy terapii medycznej strzaskają obowiązujące dzisiaj granice życia.

Zgodnie z opublikowanymi przewidywaniami, w drugiej połowie XXI wieku medycyna osiągnie takie postępy, że ludzie będą mo-

gli otrzymywać dawkę komórek macierzystych zdolnych odtwarzać rozmaite narządy. Komórki te – w biologicznej nomenklaturze zwane totipotennymi – znajdują się w zapłodnionym jajeczku i z nich wykształca się żywa całość ludzkiego ustroju. Dalszą drogę rozwojową leczenia, zmierzającą do immortalizacji człowieka, przedstawia William Haseltine, uczony, który prowadzi biochemiczne laboratorium farmakologiczne w Bostonie. Dzisiaj, powiada on, potrafimy zastępować zużyte stawy kolanowe albo biodrowe, lecz w nadchodzących dziesięcioleciach XXI w. będziemy umieli produkować repliki narządów ludzkich, używając materiałów kształtowanych z dokładnością do pojedynczych atomów. Lista owych mikroprotetycznych urządzeń biegnie od sztucznych żył do siatekówek oka, a nawet do sztucznej pamięci przechowywanej w chipach zbudowanych tak jak neurony.

Początek owej przyszłości można obejrzeć w Rockville, gdzie kompanie biotechniczne rozmnażają się z szybkością kul-



RYT. DMITRI SZENONKOW-KSMELOW

tur bakteryjnych. Kompania pana Haseltine Human Genome Sciences wykorzystuje taśmę produkcyjną nadzorowaną przez roboty, co obraca stare biologiczne laboratorium w coś w rodzaju wytwórni dorożek. W jednym skrzydle szeregi maszyn dokonują „rozszyfrowania” nukleotydowych spirali ludzkiego genomu. Jak dotąd zbadano dwa miliony fragmentów genowych, a z nich wyizolowano sto dwadzieścia tysięcy różnych genów. Pośród nich znajdują się „molekuły sygnałowe”, które stymulują inne komórki do wzrostu, do przemiany albo śmierci i dlatego mają szczególną własność jako potencjalne leki.

Autor artykułu powiada w zakończeniu, że jest zarazem rzeczą wspaniałą i przerażającą wyobrazić sobie działanie nauki zdolne do podważenia, a nawet unicestwienia najbardziej podstawowego procesu egzystencji człowieka – starzenia się (senilizacji). Na tej drodze jest jeszcze bardzo wiele przeszkód do pokonania, lecz kierownik zakładów biotechnicznych powiada na końcu: oto po raz pierwszy możemy sobie wyobrazić nieśmiertelność człowieka.

Powyższe nadzieje zdaje się potwierdzać prestiżowe czasopismo naukowe „Scientific American”, którego cały numer jest poświęcony narodzinom inżynierii tkankowej, mającej umożliwić hodowlę nowych narządów: serca, wątroby, nerki, rozwijających się w środowisku sztucznym z komó-

rek pobieranych najpewniej z łak zwanymi embrioblastów. Na razie badania znajdują się we wczesnej fazie eksperymentalnej, ale jeśli by ruszyły z przyspieszeniem równym innym dziedzinom współczesnej nauki, wolno by mieć nadzieję na osiągnięcie immortalizacji człowieka, którą piora amerykańskich dziennikarzy już dzisiaj ściągają na łamy prasowe, obiecując nam osiągnięcie indywidualnej nieśmiertelności.

Wszystkie procesy, z jakich składa się streszczona powyżej wizja biotechniczna, można spróbować do zastępowania zużywających się elementów organizmu – nowymi. Problem w tym, że każde życie, a więc nie tylko ludzkie, ma za fundament procesy nieodwracalne w czasie, które jednocześnie są motorem napędzającym ewolucję. Już noworodek, w momencie przyjścia na świat, niesie w sobie widoczną dla fachowca znamiona przyszłej śmierci. Dlatego bardzo trudno wyobrazić sobie odwrócenie biegu normalnych procesów metabolicznych, które dopiero otworzyłyby nam drogę do nieśmiertelności. Gdyby taki zamysł mógł się powieść, oznaczałby moim zdaniem największy triumf człowieka, będący równocześnie zwycięstwem nad podstawowymi regułami ewolucji.

STANISŁAW LEM

„Science is Warming to Intimations of Immortality”, „International Herald Tribune” 9.03.2000.

CYMA
1862



Oficjalny Agent:
MADEX S.C.

tel./fax 032/ 20 10 216

tel. 032/59 44 44

e-mail: madex@madexsc.com.pl

www.madexsc.com.pl

**PROSIMY NIE
POWTARZAĆ**

Hurra! Jest dziedzina, w której jesteśmy trzecim mocarstwem świata! W piąciu gorzały wyprzedzają nas tylko Stany Zjednoczone i Rosja. No to lu, pod ten brązowy medal!

**ROK TEŻ
ZREFORMOWALI**

Zapowiada się znaczne wydłużenie bieżącego roku. Oto dowód z „Gazety Wrocławskiej”:

9
kwietnia
● 997 dzień roku

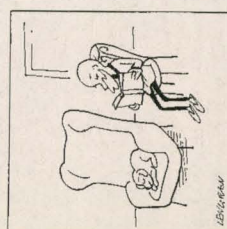
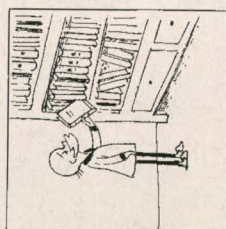
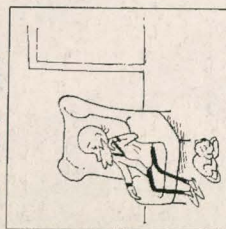
Sylwestrowego szampa będziemy pić za-tem w 1263 dniu bieżącego roku, jeśli tylko „Gazeta Wrocławska” znów go nie wydłuży.
(Nadstat: Z. Chuchla)

O WACUSIU

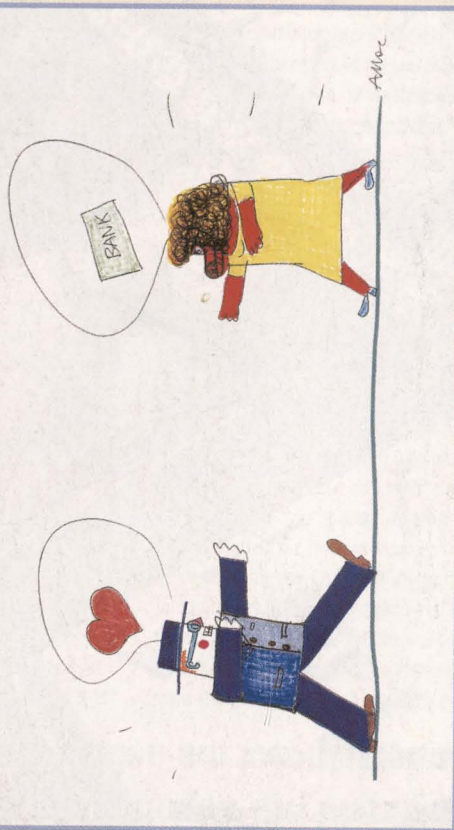
Niczego złego nie widzę – powiedział doktor po zbadaniu Falczaka. – No, może o połowę powinien pan zmniejszyć te erotyczne sprawy.

– O jaką połowę panu chodzi? – spytał po chwili namysłu Falczak. – O to, co mi się śni, czy o to, co opowiadam?

FLUTEK



Rys. Adam MACEDONSKI



**GOBRÓDZIK
FRASZEK**

ŻYWOT WESOŁKA

Pędzę wesołka żywot uparty, choć jedna myśl mnie przeraża: wielu obraża się nie na żarty, większość – na żarty się obraża.

(Wiesław Brudziński)

**NATURALNY
SZLABAN**

Do czego dochodzi na meczach koszykowi męskiej, informuje nas „Gazeta Morska” w numerze 87:

...Golański dostał piłkę w samym narożniku boiska, zmylił wro- dem chcącego go zablo- kować Władimira Krsti- cia...

Teraz rozumiemy, dlaczego panie słabiej na ogół grają w koszy- kówkę.

(Nadstat: B. Klimczewski)

Mecz zakończył się wynikiem 0:0, nie pamiętam tylko, jaki był wynik do przerwy.

Bogini Antena nie urodziła się jak dziecko, tyl- ko gotowa w zbroi wyskoczyła z głowy Zeusa.

Jacek Soplica schował swoją przeszłość pod sutannę.

Po śmierci syna Kochanowski napisał cykl fra- szek poświęconych Urszulce.

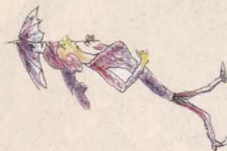
HUMOR ZESZYTÓW nadesłali: J. Kaptur z Toma- szowa Lubelskiego, H. Jurkowska z Wrocławia, E. Biela z Myślenic i K. Kidawa z Będzina. Dziękujemy.

Ludwik Jerzy Kern

Z cyklu: „Imiona nadwiślańskie”

ZOFIA

Jak Anglia – z mgłami,
Afryka – z lwami,
Działka – z grabkami,
Stek – z pieczarkami,
Cyrk – z fikołkami,
Morze – z falami,
Zebra – z pasami,
Melba – z damami,
Niebo – z chmurami,
Sen – z marzeniami,
Potok – z pstrągami,
Cisza – z pluszami,
A cień – z drzewami...
Tak imię Zofia
Kojarzy mi się
Zawsze
Z majowymi bzami.



O WACUSIU

– W przyrodzie nie ginie – powiada Falczak. – Odkąd męż- czyźni zaczęli zapusz- czać brody, kobiety za- częły golić nogi.

INWESTYCJA

Zdjęcie z podpisem z wielkanocnego numeru „Głosu Wielkopolskiego”:



Najważniejszą inwestycją w tegorocznym budżecie będzie remont wiaduktu na ulicy Gorzyckiej.

Prześta pod ten wiadukt już zwieziono.

(Nadstat: B. Falkowski)